CO SIĘ DZIEJE NA WSCHODNIEJ GRANICY POLSKI

Na zimno przygotowana operacja białoruskich służb

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 35/440 30 SIERPNIA–5 WRZEŚNIA 2021 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Biden pod sąd wojenny? Felieton Cejrowskiego

JAK PIŁSUDSKI OGRYWAŁ HITLERA I STALINA

ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM RAKIEM

Ksiądz Kobyliński o korzeniach religii Holokaustu

POLSKA WEDŁUG AGNIESZKI HOLLAND

Żeby było tak, jak było

PAMFLET KRZYSZTOFA MASŁONIA

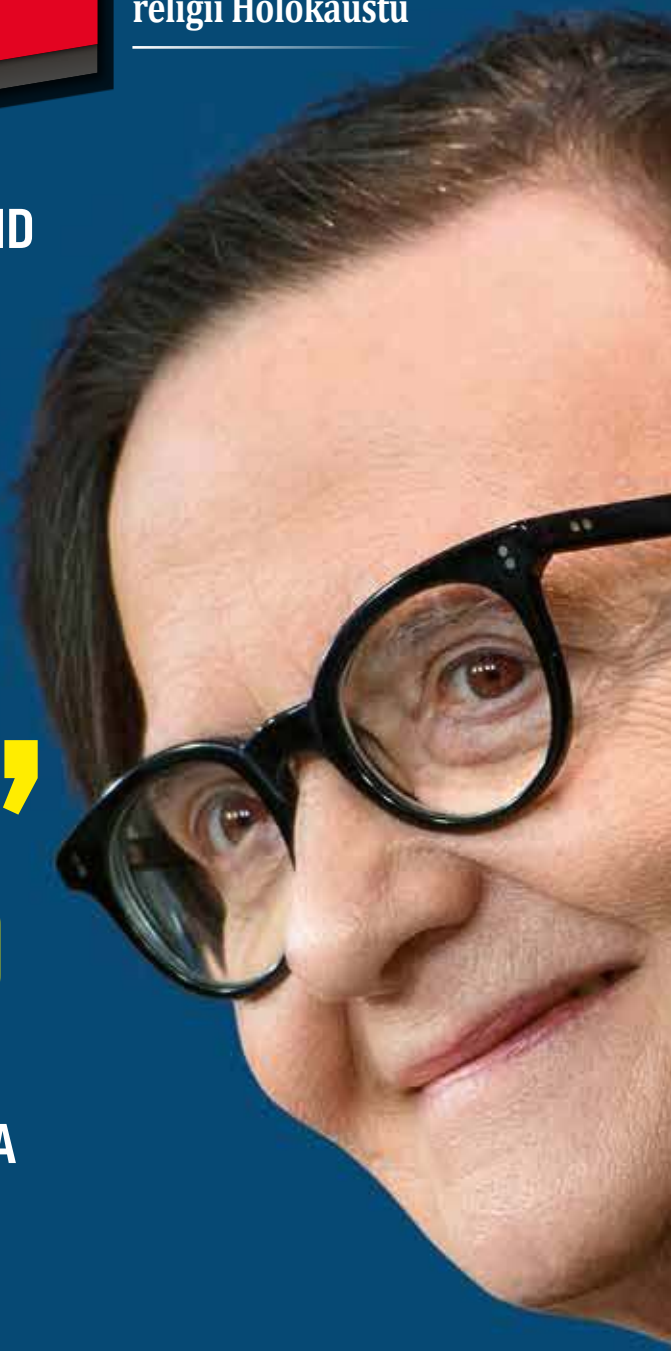

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

35 >

9 772299 850000

Nakład: 55,6 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 21900df7cb

DO RZECZY
HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY ORLEN

PARTNER GŁÓWNY PZU

PARTNERZY KGHM POLSKA MIEDŹ

Grupa HM Inwest S.A.

eprasa.pl 21900df7cb

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Czas pożytecznych idiotów

Być może największą zaletą kryzysów jest to, że dzięki nim można przejrzeć na oczy. Kto chce widzieć, ten zobaczy. Tak jest właśnie w przypadku obecnego napięcia na granicy białorusko-polskiej w okolicach Usnarza Górnego.

To, że mamy tam do czynienia z prowokacją Mińska, widać gołym okiem. Prezydent Aleksander Łukaszenka, a ściślej jego służby, zgromadził nad granicą z Polską kilka tysięcy nielegalnych imigrantów i w ten sposób wywiera coraz większą presję na Unię i Polskę. Z jednej strony to zemsta na Polsce za wsparcie białoruskiej opozycji, z drugiej, być może, próba napuszczenia Brukseli na Warszawę. Po trzecie to próba podbicia stawki w rozmowach z Unią: albo pozwolicie mi rozprawić się z moimi przeciwnikami politycznymi po mojemu, albo będą wam przesyłał kolejne masy „uchodźców". Można było oczekiwać, że intryga jest szyta tak grubymi nićmi, iż tylko naiwniacy i durnie nie będą jej w stanie przejrzeć.

Co do tego, że w tej roli wystąpi duża część polskiej opozycji, nie miałem wątpliwości. Już przed tygodniem pisałem, że niektórzy jej przedstawiciele dla zrobienia kuku PiS i prezesowi Kaczyńskiemu gotowi są na wszystko, nawet na rezygnację z podstawowych atrybutów polskości. Do tego prowadzi ich wyznawany od lat, z coraz większym uporem, kieszonkowy manicheizm: złe jest wszystko, co robi PiS, dobre jest wszystko, co szkodzi PiS. Więc nie zaskoczyły mnie ani wulgaryzmy Władysława Frasyniuka pod adresem polskich żołnierzy, ani wsparcie, jakiego udzielił mu Lech Wałęsa. Wszystko z góry było wiadomo. Tak jak i wygibasy innych heroldów postępu, którzy postanowili okazać swój humanitaryzm i ludzkość, lansując się nad granicą bez względu na skutki i cenę dla Polski.

Podobnie nie zdziwiło mnie zachowanie jaczejki postępu z Czerskiej, która to w polskich żołnierzach widzi niemal siły okupacyjne i brutalnych oprawców. Nawet porównanie do SS nie zrobiło na mnie specjalnego wrażenia. Kto, tak jak ja z powodów zawodowych, musi obserwować radykalizację środowiska „Wyborczej", ten nie mógł być zaskoczony tym, że wielu wyznawców tej sekty wspięło się na nowy stopień szaleństwa i nihilizmu.

W całej tej sprawie czymś osobliwym były dwie rzeczy. Po pierwsze, dość rozsądna wypowiedź Donalda Tuska, który zauważył, że „reżim Łukaszenki przygotowywał prowokację, organizując strumień migrantów i kierując ich w stronę Unii Europejskiej", i dodał: „Musimy umieć zapewnić bezpieczeństwo naszym granicom". Cóż, nie wiem, czy to zagranie taktyczne czy jakaś intryga, ale w porównaniu z większością różnej maści podnieconych paniuś i strojących się w pióra świątobliwych altruistów panów, w zderzeniu z retoryką całej tej lewackiej małpiarni z PO i Lewicy, był to głos trzeźwy. Zabawne skądinąd, że wywołał on wśród opozycji sporą konsternację. Jak to? Nasz Tusk mówi jak PiS? Zdrada, zdrada i jeszcze raz zdrada.

Po drugie, zaskoczyła mnie środowa decyzja Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Otóż zdaniem sędziów: „Polska ma obowiązek dostarczyć koczującym na granicy polsko-białoruskiej migrantom żywność, wodę, ubrania oraz opiekę medyczną", chociaż – łaskawcy – „nie musi przyjmować migrantów na swoje terytorium". To, że ETPC wydał wyrok w odpowiedzi na wniosek warszawskich adwokatów, którzy to postanowili wziąć na siebie rolę pożytecznych idiotów – przecież imigranci chcą uzyskać status uchodźcy, więc go im dajmy – w niczym sędziów nie usprawiedliwia. Nie tylko że wydali wyrok niesłuszny, lecz także, co się zowie, głupi. W jaki to niby sposób polscy żołnierze mają pomagać imigrantom przebywającym po białoruskiej stronie granicy? Czy sędziowie ETPC zachęcają Polskę do agresji na Białoruś? Byłby to przecież jedyny realny sposób wykonania orzeczenia. Jedno jest pewne: wydając taki wyrok, ETPC sam zrujnował swój autorytet.

Na szczęście, i to wniosek pozytywny, presji i histerii nie ulega polski rząd. Premier przytomnie zauważył, że pomocy można udzielać po polskiej stronie granicy, a minister Mariusz Błaszczak zapowiedział zbudowanie płotu na granicy. Mam nadzieję, że wystarczy im siły woli, żeby od takiej polityki nie odstępować. W końcu to jest ich najważniejsze zadanie: obrona bezpieczeństwa Polski i polskich granic. ©℗

eprasa.pl 21900df7cb

TEMAT TYGODNIA

16 KRZYSZTOF MASŁOŃ
REWOLUCYJNA ŚWIADOMOŚĆ
Rozpolitykowana reżyserka

20 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
LWY Z TRÓJMIASTA

KRAJ

22 WITOLD REPETOWICZ
OPERACJA „KRYZYS MIGRACYJNY"
Łukaszenka na wojnie z UE

26 ROZMOWA Z JANEM KRZYSZTOFEM ARDANOWSKIM
OBAWY ROLNIKÓW SĄ UZASADNIONE

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POŻEGNANIE Z DOBROBYTEM

30 KAMILA BARANOWSKA
SZORSTKA LOJALNOŚĆ

32 TOMASZ ROWIŃSKI
PRZYWRACANIE OPINII KATOLICKIEJ

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
KONIEC ZDALNEJ EDUKACJI?

36 FRAGMENT KSIĄŻKI „PIĄTKA U SEMKI"
W OBJĘCIACH POSTKOMUNISTÓW

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
WAKACJE W TŁOKU

KULTURA

40 ROZMOWA Z ELEONORĄ SZAFRAN
NA RINGU ŻYCIA
Ten, który „bił Niemców, jak chciał"

42 PIOTR GOCIEK
ŚWINIE I LUDZIE

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 ŁUKASZ WARZECHA
OGRANY MUZYK
Kukiz zostanie sam

54 KS. ANDRZEJ KOBYLIŃSKI
RELIGIA HOLOKAUSTU

HISTORIA

58 ROZMOWA Z DR. KRZYSZTOFEM RAKIEM
JAK PIŁSUDSKI BALANSOWAŁ MIĘDZY STALINEM A HITLEREM
Najważniejszy jest interes państwa

ŚWIAT

64 JACEK PRZYBYLSKI
EUROPEJSKA FORTECA
Coraz więcej państw uszczelnia swoje granice

EKONOMIA

68 KAROL GAC
OBRONIĆ TURÓW
Polsko-czeski spór o kopalnię

O ZDROWIU

74 ROZMOWA Z MICHAŁEM GRZYBOWSKIM
LIDERZY OCHRONY ZDROWIA W POLSCE Z OPTYMIZMEM PATRZĄ W PRZYSZŁOŚĆ
Raport Future Health Index 2021

„DO RZECZY" NA WAKACJE

76 JACEK KOMUDA
RESZEL – OD TWIERDZY DO REZYDENCJI BISKUPIEJ
10 najwspanialszych zamków Polski

FELIETONY:

SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (62), PRZYBYLSKI (66), GABRYEL, WARZECHA (72), KARWELIS (79), ZALEWSKI, WOŁCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 21900df7cb

ALIOR BANK

APLIKACJA MOBILNA

KONTO W APLIKACJI **ALIOR MOBILE** – PROSTA CODZIENNOŚĆ

POBIERZ Z Google Play | Pobierz w App Store | ODKRYWAJ W AppGallery

www.aliorbank.pl

Aplikację Alior Mobile można pobrać na telefon bezpłatnie ze sklepów App Store (iOS), Google Play™ (Android™) lub AppGallery (dla urządzeń Huawei opartych na Google Mobile Services). Android i Google Play to znaki towarowe Google Inc. Szczegółowe informacje znajdują się w Taryfie opłat i prowizji dla Klientów Indywidualnych, Regulaminie korzystania z kanałów elektronicznych dla Klientów Indywidualnych oraz właściwych regulaminach produktowych dostępnych w placówkach Alior Banku i na www.aliorbank.pl. Usługę Bilety i Parkingi realizuje Mobile Traffic Data Sp. z o.o. za pośrednictwem Systemu moBILET. Usługę Autostrady realizuje Autopay Mobility Sp. z o.o. Zgodnie z wykazem usług reprezentatywnych konto oznacza rachunek płatniczy. Stan na 16.08.2021 r.

eprasa.pl 21900df7cb

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Gregor Fischer/DPA/PAP, Maciej Kaczmarski/REPORTER**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829
Nakład 55,6 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za Wasze listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Lapid jak talibowie

„Szarża Lapida" (R.A. Ziemkiewicz) nie byłaby możliwa, gdyby poparcia jego poglądom w ramach „wewnętrznej politycznej rozgrywki w Izraelu" nie udzielała znaczna część Izraelczyków i amerykańskich Żydów. Wbrew propagandzie, która od lat dominuje w Polsce, mydląc nam oczy frazesami i obietnicami bez pokrycia, oni zawsze myślą i działają tak, jak znalazło to wyraz we „wściekłości i agresji, pokazanej przez Lapida i Bennetta po podpisaniu przez prezydenta Dudę nowelizacji KPA". Lapid powiedział głośno to, czego nie chcieli widzieć i systematycznie przemilczali ci, którzy po stronie polskiej roszczą sobie prawo do monopolizowania relacji z Izraelem i diasporą żydowską na całym świecie. Jak talibowie odsłonili rzeczywisty stan sytuacji w Afganistanie, która od początku była całkowicie i programowo zafałszowywana, tak Lapid obnażył tę odmianę naiwności albo ignorancji, która nie bierze pod uwagę, że droga od sugestii i oczekiwań (deklaracja terezińska) do żądań i wymuszania jest krótka.

ks. Waldemar Chrostowski

Zwiedzam z Wami

Szanowna Redakcjo „Do Rzeczy", a zwłaszcza Szanowny Panie Redaktorze Jacku Komudo!

Na koniec wakacji, a zatem zapewne także na koniec Waszego wakacyjnego cyklu, serdecznie Wam dziękuję za tegoroczne artykuły poświęcone „10 najwspanialszym zamkom Polski". Nie wiem, ilu czytelników zainspirowaliście do podróży śladem tych (i innych, nie będę udawał, że szedłem tylko tropem zasygnalizowanym przez pana redaktora Komudę) zamków, ale mnie tak. Ja z kolei namówiłem swoją rodzinę, spakowaliśmy walizki i ruszyliśmy w Polskę.

Dzięki Wam za tę inspirację, bo to były jedne z najciekawszych wakacji w ostatnich latach! Pan Komuda opowiada o tych zamkach i historii w ogóle w sposób fenomenalny, przytaczając mniej znane fakty i smaczki, których nie znajdzie się w powierzchownych opisach, na które zwykle trafia się podczas takich wycieczek. Część zamków już udało nam się zobaczyć, inne musieliśmy odłożyć na kolejne wakacje lub zimowe ferie.

A jeśli Wy – zwracam się tu do pozostałych czytelników „Do Rzeczy" – nie zdecydowaliście się na podróż po polskich zamkach, to polecam zachomikować wakacyjne wydania tygodnika i kiedyś spróbować. Ciekawa i pouczająca przygoda nie tylko dla maniaków historii. Dziękuję raz jeszcze i słonecznej jesieni nam życzę.

Czytelnik z Podkarpacia

eprasa.pl 21900df7cb

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Śmierć prymasa Hlonda

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956":

W październiku 1948 r. prymas August Hlond nagle zachorował. Atak ostrych bólów nastąpił 13 października 1948 r. Kolegium specjalistów chirurgów, podejrzewając zapalenie wyrostka robaczkowego, uznało konieczność operacji, która trwała w nocy z 14 na 15 października. 16 października nastąpiło ponowne pogorszenie stanu zdrowia prymasa. Cztery dni później doszło do kolejnej operacji. Według licznych wspomnień prymas był głęboko zaniepokojony zmieniającymi się diagnozami lekarzy i obawiał się sprowokowanej infekcji. 22 października rano nastąpił zgon.

Uroczyste przeniesienie zwłok prymasa Polski do kościoła św. Józefa, pełniącego tymczasową funkcję katedry, które odbyło się 24 października 1948 r., było ostatnią wielką demonstracją katolików na ulicach powojennej Polski w końcu lat 40. ubiegłego wieku.

Maria Dąbrowska tak pisała 26 października 1948 r.: „W niedzielę na eksportacji prymasa Hlonda były stutysięczne przeszło tłumy, tak że ruch tramwajów musiał zostać wstrzymany na dość długo. Przypuszczam, że dziś takie same tłumy były na pogrzebie, i żałuję, że nie poszłam. Ostatni to bowiem princeps dawnej Polski schodzi do grobu. Ciekawe, że trasa eksportacji szła od Szpitala Elżbietanek na Mokotowie przez Bagatelę i Aleje koło Belwederu – wyobrażam sobie, jak ludzie Moskwy, patrząc przez okna siedziby Piłsudskiego, musieli zielenieć z wściekłości. Dziś widziałam na ulicach sporo chłopów w barwnych regionalnych strojach, którzy widać przyjechali na ten pogrzeb. A w gazetach wczorajszych na pierwszym miejscu pod olbrzymimi tytułami opisano pogrzeb 30 ekshumowanych PPR-owców, powieszonych czy rozstrzelanych za okupacji, oraz »tłumy« pogrzebowi temu towarzyszące. A o eksportacji Hlonda tylko: »w eksportacji kardynała Hlonda wzięło udział duchowieństwo katolickie, bractwa kościelne oraz przedstawiciele organizacji katolickich. Narodu nie spostrzeżono«".

Zwłoki prymasa Polski spoczęły w grobowcu w podziemiach katedry św. Jana w Warszawie. Odbudowywana dopiero katedra została wybrana na miejsce spoczynku pierwszego prymasa, któremu dane było zmierzyć się z czerwoną dyktaturą. Był w tym jakiś rys ufności i optymizmu. Do tradycji przeszły słowa prymasa Hlonda, który w przededniu śmierci miał powiedzieć, że „zwycięstwo, gdy będzie, będzie zwycięstwem Błogosławionej Maryi Dziewicy". Te słowa przypomniano dokładnie trzy dekady później, 22 października 1978 r. – w dniu inauguracji pontyfikatu Jana Pawła II. ©℗

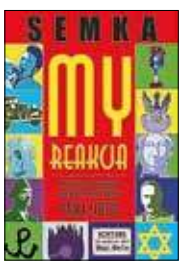

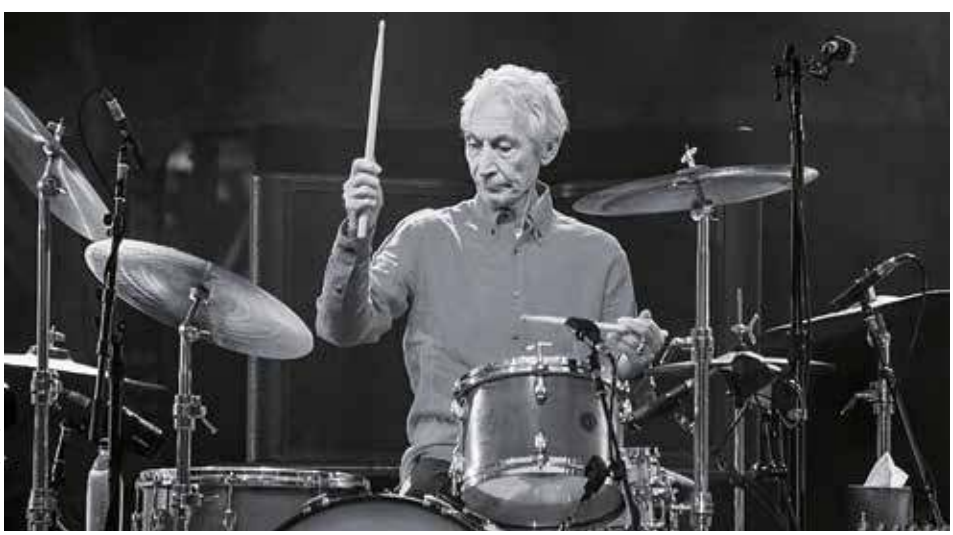

FOT. NEIL LUPIN/VENN/EAST NEWS

NIE ŻYJE SŁYNNY CHARLIE WATTS

Perkusista legendarnego zespołu Rolling Stones zmarł w zeszły wtorek w Londynie w wieku 80 lat. Kilka tygodni temu Charlie Watts – jako pierwszy od 58 lat – zrezygnował z koncertów z The Rolling Stones. Giganci rocka na jesień planowali kolejną trasę koncertową. Watts został perkusistą grupy w 1963 r. i w odróżnieniu od Micka Jaggera czy Keitha Richardsa nie był znany ze skandali, głośnych romansów czy miłości do używek. W przyszłym roku Stonesi chcieli wydać pierwszy po 17 latach album z nowymi utworami. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 21900df7cb

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Nowy bambizm

Słowem „bambizm" nazwano kiedyś postawę częstą wśród działaczy „ekologicznych", których miłość do zwierząt nie idzie w parze, delikatnie mówiąc, z wiedzą. Świat zwierzęcy wyobrażają sobie przez pryzmat jelonka Bambi z kreskówek – jako świat, w którym nikt nikogo nie zagryza, nikt nikomu nie wyrządza żadnych przykrości, wszystkie zwierzątka się kochają, głaszczą nawzajem po puszystych pyszczkach i pomrukują przyjemnie.

Podobna postawa wydaje się królować wśród miłośników imigrantów. Środowiska lewicowo-liberalne kochają ich, bo taka panuje tam moda, bo to na złość PiS i znienawidzonym „prawdziwym Polakom" (ach, ta lewicowo-liberalna tolerancja!), przede wszystkim – bo dogadza to ich miłości własnej i potrzebie wynoszenia się ponad „ciemnych" rodaków. Ale wiedzą o nich tyle, ile z wierszyka Tuwima o Murzynku Bambo.

Tymczasem imigranci, nawet ci prawdziwi uchodźcy, których przygnały do Europy nieudawane nieszczęścia, to ludzie zupełnie do oczekiwań lewicowego salonu nieprzystający. Nienawidzą Żydów, gardzą kobietami, przemoc uważają za coś oczywistego i codziennego, a państw, w których się znaleźli, wcale nie szanują, nie uważając ich za cywilizacyjnie lepsze czy stojące wyżej, a tylko za bogatsze.

Gdyby był ktoś gotów zapoznać się z faktami, to polecam tekst „10 przykazań dla polskich kandydatów na zbawicieli uchodźców", zamieszczony na facebookowym profilu Urszuli Ptak (występującej tam jako Ula Ptak). Jest ona publicystką Onetu i Deutsche Welle, a więc raczej nie „pisówką" – tyle że ma parenaście lat doświadczenia pracy z imigrantami. Wykłada ona w punktach, na czym naprawdę polegają problemy uchodźców i z uchodźcami, przy okazji zamieszczając na swoim profilu politycznie niepoprawne dane statystyczne.

„Ale tak naprawdę wcale nie o uchodźców chodzi, ale o wasze wysokie poczucie własnej wartości" – zwraca się publicystka na końcu swego tekstu do lansujących się dziś pod wschodnią granicą „bambistów". I trudno jej odmówić racji. A jeszcze bardziej – odwagi wychylenia się z prawdą tak bardzo niepasującą do tego lansu. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Cenzura we Francji

W Parlamencie Europejskim wielokrotnie mówiłem o systemowym naruszeniu wolności słowa we Francji poprzez wprowadzenie ustawy „o zakazie utrudniania aborcji". Wiele osób, nawet wśród oburzonych ustanowieniem kar za wypowiedzi przeciw dzieciobójstwu prenatalnemu, zakładało jednak, że chodzi tylko o „straszak ustawowy", pałkę, która będzie wisieć na ścianie, po którą jednak Republika sięgać nie będzie. Niestety, rewolucja przekracza już prędkość przerażenia, działa szybciej, niż opinia jest w stanie wyobrazić sobie jej skutki.

Dwa tygodnie temu francuska telewizja C8 wyemitowała znany również u nas amerykański film „Nieplanowane", historię Abby Johnson, która dotknięta przez Łaskę z funkcjonariuszki Planned Parenthood zmieniła się w zaangażowaną obrończynię życia. Zaraz po emisji minister „równouprawnienia" Elisabeth Moreno oskarżyła stację o naruszenie ustawy o zakazie utrudniania aborcji. Zawtórowała jej od razu Marlène Schiappa, minister spraw obywatelskich. Zajęcie się filmem, a dokładnie jego emisją, zapowiedziała też Wysoka Rada Audiowizualna (CSA), odpowiednik naszej Krajowej Rady RTV. Tyle fakty.

W naszej chrześcijańskiej kulturze fakty i okoliczności mają jednak charakter zobowiązujący. Apelowałem od lat o powołanie w Sejmie przynajmniej podkomisji ds. praw podstawowych (np. w ramach Komisji ds. Unii Europejskiej), która rejestrowałaby wszystkie przypadki formalnych naruszeń wolności i praworządności w państwach Unii. W prostym celu – publikowania (na wzór Kongresu USA) dorocznych raportów o tym, jak prawa człowieka są przestrzegane naprawdę. Apelowałem od lat, apeluję raz jeszcze. A przy okazji chętnie bym się dowiedział od jakiegoś przedstawiciela Klubu Parlamentarnego Prawa i Sprawiedliwości, dlaczego nie zrobiono tego do tej pory. Po prostu w ramach – a jakże – „rozmowy z ludźmi". ©℗

eprasa.pl 21900df7cb

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Znów o głupocie

W czasach prehistorycznych, kiedy jeszcze nie było Internetu, spotkałem damę, która z zapałem opowiadała jadowite, antysemickie brednie. Spytałem zatem, skąd to wie. Jak to?! – oburzyła się dama. – W książce czytałam!

Kobieta, nauczycielka z zawodu, reprezentowała tę dość liczną grupę głupców, którzy uważali słowo drukowane za prawdę objawioną. Wychodzili z założenia, że przecież kłamstw nikt by nie drukował. Byli zapewne przekonani, że nad zgodnością z faktami i rzeczywistością publikowanych książek czuwa jakiś wszechwiedzący organ. Dziś, gdy w księgarniach pięknie wydane i oprawione kłamstwa stoją na półkach, nierzadko przecząc sobie nawzajem, nie ma to już żadnego znaczenia, bo mało kto książki czyta.

Gdy raczkował Internet, pięknoduchom wydawało się, że wiedza i jej dostępność w sieci oświecą nieoświeconych, pozwolą uporządkować myśli nieuczesane i douczyć niedouczonych. Jak jest, wiemy. Internet upowszechnia myśli złote i pomnikowe kretyństwa bardzo sprawiedliwie. W dobie pandemii na internetowym kłamstwie i ludzkiej głupocie pobudowano antyszczepionkową religię.

W Bolonii dwie kretynki omal nie wysłały swego nieprzytomnego ojca na lepszy ze światów, bo nie wydały zgody na potrzebną mu transfuzję. Wyczytały w necie, że krew osoby zaszczepionej jest zabójcza.

Mój znajomy (lekarz) po wnikliwej lekturze internetowych publikacji jest przekonany, że kampania szczepionkowa jest ogólnoświatowym spiskiem, który pozwoli elitom zawładnąć masami. Sugeruje, że spiskowcy w jakiś sposób będą mogli manipulować zaszczepionymi, a nawet, jeśli zajdzie taka potrzeba, błyskawicznie ich uśmiercić.

Co więcej, upowszechnianie takich i podobnych idiotyzmów popłaca. Trudniąca się tym pewna pani w USA na dalsze szerzenie „covidowej prawdy" zebrała już w sieci pół miliona dolarów, a jeden pan 200 tys. „Wybudzenie" z tej religii bywa bardzo bolesne. Pod Neapolem facet, który twierdził, że COVID nie istnieje, zaraził się, rozchorował i ze wstydu wyskoczył przez okno. Szczęściem przeżył. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Korki! Franek, załóż korki!

Owszem, turlałem się. Być może to niegodziwe, niemniej turlałem się. Trzy czwarte Polski się turlało, a reszta to się albo ledwo powstrzymywała, albo występowała z pozycji wyższościowo-godnościowych. Niewygodna pozycja. Turlałem się ze śmiechu, obserwując posła Franciszka Sterczewskiego biegnącego w pobliżu granicy polsko-białoruskiej z niebieską torbą, chyba z Ikei. I ten moment, kiedy Franek zalicza glebę (mało literacki zwrot precyzyjnie opisuje wydarzenie). Na Twitterze odbyła się dyskusja analizująca wiele aspektów biegnącego Franka. Moją uwagę zwróciła porada jednego z użytkowników Twittera. Wiedzieć należy, że poseł Franek, zanim stał się znany, stał się znany z butów. W 2019 r., odbierając w Sejmie zaświadczenie o wyborze na posła (tak, byli rodacy, którzy głosowali na Franka), wystąpił w brudnych butach sportowych firmy Nike. Trochę się społeczeństwo zżymało, że śmodrucha z siebie robi, a przecież posłem został i reprezentuje naród, czy tam ekstrawagancką, nie za bardzo dbającą o czystość jego część. Niemniej poseł Franek rzekł wtedy, że te buty są wygodne. Może stąd właśnie teraz ta porada, bo ktoś temu posłowi napisał: „Korki! Franek, załóż korki!". I ma to sens. Bieganie po trawie w płaskim obuwiu sportowym musiało się skoczyć tak, jak się skończyło, czyli bęcem, a gdyby Franek miał korkowe obuwie, tak jak piłkarze, to na pewno dalej by zabiegł w swoim życiu.

Społeczeństwo okazało się równie złośliwe, co kreatywne. Ktoś podłożył pod filmik z naszym biegaczem skoczną muzykę z „Benny'ego Hilla", ktoś inny zrobił obraz strusia pędziwiatra z głową posła Sterczewskiego. Niemniej nie wszyscy byli tak beztrosko radośni. Dziennikarka Renata Kim napisała na TT: „Sterczewski zachował czułe serce. Ci, którzy go krytykują, są niegodziwi". W ten właśnie sposób turlacze – w tym autor tychże słów – dowiedzieli się, że są niegodziwi. Jak już się dowiedzieli, zaczęli się zastanawiać – w tym autor tychże słów – czy my wybieramy posłów z powodu czułych serduszek czy może rozumu, rozsądku, powściągliwości, umiejętności przewidywania sytuacji, konsekwencji własnych czynów, myślenia kategoriami państwa, umiejętności zachowania powagi w słowach i czynach? Ciekawe, prawda? Tymczasem jest, jak jest, a Frankowi trzeba kupić korki. Upadły poseł to widok może i ucieszny, ale nie propaństwowy! To co? Zakładamy zrzutkę: „Na korki dla Franka"? ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

eprasa.pl 21900df7cb

MIESZANE UCZUCIA

Małgorzata Rozenek-Majdan to jedna z gwiazd, którą wypromował TVN. Zaczęło się od „Perfekcyjnej pani domu" i białej rękawiczki, a potem to już jakoś samo poszło. Okazało się, że Rozenek ma dryg do show-biznesu i tak jakoś zagościła w nim na stałe, ku uciesze władz TVN, które korzystały z jej popularności i ją nakręcały, obsadzając w kolejnych i kolejnych programach. I tak to się kręci. Rozenek czuje więc dług wdzięczności za swoje obecne luksusowe życie. – TVN zmienił moje życie w każdym aspekcie. Nie istniałabym zawodowo, gdyby nie Edward Miszczak [dyrektor programowy stacji – przyp. K.B.] i TVN. Mam nadzieję, że za 20 lat będę w TVN-ie – mówiła celebrytka z okazji ostatniego jubileuszu stacji. Ale żeby nie było, że nie miała innych perspektyw, dodała też: – Gdyby nie stacja, to pewnie byłabym partnerem w kancelarii.
I teraz nie wiadomo, czy dziękować Miszczakowi w imieniu wszystkich potencjalnych klientów niedoszłej prawniczki Małgorzaty, czy przeklinać go za jej obecność w show-biznesie i w ogóle wszędzie. To się chyba nazywa mieć mieszane uczucia.

PRZYSZŁOŚĆ W KANCELARII

Nasze dylematy dotyczące lady Rozenek mogą się niebawem rozstrzygnąć same, bo jak – na razie bardzo nieśmiało – donoszą plotkarskie media, celebrytka popadła w niełaskę kierownictwa stacji, w której chciałaby pracować przez najbliższych 20 lat. Koronne dowody są dwa. Pierwszy – Rozenek nie została zaproszona na ślub Edwarda Miszczaka z aktorką Anną Cieślak, na którym to ślubie i weselu bawiła się cała plejada TVN-owskich gwiazd i gwiazdeczek. Drugi dowód – Rozenek nie pojawiła się także na prezentacji jesiennej ramówki TVN (w czasie trwania imprezy wrzucała za to zdjęcia śpiącego Radzia, mające pokazywać, że „hej, wcale się nie martwię tym, że mnie nie ma na ramówce, patrzcie, jak fajnie jest z Radziem w domu"). Wytłumaczeniem wielkiej nieobecności ma być fakt, że jesienią nie zobaczymy żadnego programu z Rozenek w roli głównej, bo te dopiero mają się nagrywać. No właśnie, mają. Ale czy będą? W tej sytuacji nie pozostaje nic innego, niż na wszelki wypadek pomyśleć ciepło o wszystkich przyszłych klientach prawniczki Rozenek.

FOT. PAWEŁ GROMADA

LICZY SIĘ PROCENT

Magda Gessler została zapytana przez portal Pudelek o to, czy czuje dumę z faktu, że to jej program „Kuchenne rewolucje" przyciąga do stacji najwięcej reklamodawców. – Nie, bo nie mam z tego procentu – skwitowała gwiazda. Zorientowawszy się jednak, że jej odpowiedź może nie wypaść najlepiej, dopowiedziała, co lubi najbardziej w swojej pracy. – Ja się bawię dobrze, pomagam, robię to, co kocham [...]. Napisałam cudowną książkę, którą wszyscy muszą przeczytać, wtedy nauczycie się prawdziwego życia. I asertywności, moje drogie kobiety, nie będziecie płakać po kątach, nie będziecie szare myszy, tylko będziecie królowymi – mówiła, odnosząc się do wydanej niedawno autobiografii. Nic dziwnego, że o książce mówi chętniej niż o programie. Z jej sprzedaży pewnie ma procent. Może nawet niezły.

PATRZCIE, JAK CHRONIĘ PRYWATNOŚĆ!

Agnieszka Popielewicz, po mężu Hyży, ogłosiła niedawno światu, że jest w ciąży i że jest to ciąża długo wyczekiwana. Z tej okazji postanowiła także po dłuższej nieobecności powrócić do mediów społecznościowych, w tym także na Instagram, gdzie od razu podzieliła się zdjęciami z ciążowej sesji. – Pod koniec lipca wróciłam

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

po wielu miesiącach nieaktywności do swojego Instagrama. Wróciłam z kolorowym zdjęciem, nieśmiałym uśmiechem i enigmatycznym opisem. Od pasa w górę! Skrywając najważniejszy fragment mojej opowieści. Dziś już go nie ukrywam, chronię z całych sił i cieszę każdym dniem – napisała celebrytka. Chronię z całych sił, wstawiając zdjęcia do Internetu. A potem ponarzekam sobie na hejt, brak prywatności i co tam jeszcze. Dzień jak co dzień. ©℗

eprasa.pl 21900df7cb

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, pomimo ciążącej nad nami groźby interwencji ze strony siepaczy ze Straży Granicznej czy innego wojska postanowiliśmy się udać na granicę polsko-afgańską, iżby dostarczyć osobouchodźcom kontenery lajków, jakie zebraliśmy dla nich w ramach fejsbukowej akcji humanitarnej.

Kiedy dotarliśmy na granicę, okazało się, iż nie dość, że jej nie ma, to jeszcze nikogo na niej nie było. Zostaliśmy więc z tonami lajków i wyrazów wsparcia, a iż nie jesteśmy w tak dobrej kondycji fizycznej jako poseł Sterczewski, to nie mieliśmy siły biegać i szukać, gdzie nasze lajki zostawić. W tej sytuacji tysiące lajków idą na zmarnowanie, za co oczywiście odpowiadają polski rząd i podległe mu służby.

W wielu mediach trwa oburzenie i wstyd za to, iż Polacy ośmielają się jeździć na wakacje. Co gorsza, pchają się tam, gdzie wyjeżdżają tenkrajowi celebryci, którzy nie mogą w spokoju cieszyć się zasłużonym wypoczynkiem, iż pierwszy lepszy janusz zajmuje mu plażę.

Dlatego też naszym zdaniem należy znieść uprawnienia urlopowe dla Polaków. Albo przyznawać im możliwość wyjazdu na urlop wyłącznie na przełomie października lub listopada, no ewentualnie lutego i marca.

I żeby mogli jeździć nie dalej niż obszar jurysdykcji ich gminnych ośrodków pomocy społecznej. Dzięki temu większość z nich nie będzie mogła pojechać do żadnego modnego kurortu, a więc nie będą przeszkadzać celebrytom, dziennikarzom i czytelnikom wiodących mediów w spokojnym wypoczynku.

Może widzieliście to słynne ogłoszenie o możliwości wynajmu 12-metrowej kawalerki we Wrocławiu, gdzie na otwartej przestrzeni znajdowały się m.in. kabina prysznicowa oraz muszla klozetowa.

Otósh nie ma się co oburzać, iż za standard życia w wielkim mieście po prostu się płaci, a jeśli komuś się nie podoba, iż w kuchni ma klozet, to cóż, niech wraca do swojego Strzegomia czy innych Ziębic.

Poza tym zawsze istnieje możliwość aranżacji wnętrza i dobrania np. ekskluzywnych zasłon czy parawanów, a nade wszystko istotna jest możliwość zamieszkania w prestiżowej lokalizacji, która przeciesh jest ważniejsza niż komfort czy higiena.

Dlatego nie rozumiemy hejtu, jaki się wylał na to ogłoszenie, zupełnie normalna sprawa, a kto się śmieje, ten ciemniak z podkarpacia, który uważa, iż wychodek należy mieć na podwórku, a pewnych potrzeb nie da się załatwić w domu xD ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Buty z kolcami

Panie Franciszku...
Daj spokój, Donek, z tymi boomerskimi formami. Franek po prostu mi mów.

Tak... Jak pan... jak wolisz. Więc, Franku, ten twój wyścig ze Strażą Graniczną...
Widziałeś, prawda? A widziałeś, jak dałem czadu? Te repy stare nie miały ze mną szans. Jakby nie ta torba...

Właśnie: jeszcze z tą torbą niebieską...
Ale słuchaj, nawet z torbą bym dał radę, tylko tam w jednym miejscu krowi placek był – wiesz, krowy robią, metan idzie w górę, klimat się ociepla, to osobna sprawa zresztą – no i się wyłożyłem.

O to mi chodzi, że takie działania...
Ale ja w szkole miałem niezły czas na setkę, więc jak tam znowu pojadę...

Raczej nie.
No jak, nie? Weź, Donek, nie świruj, buty z kolcami założę, nawet na krowim łajnie się nie wywalę. Ekipę filmową wezmę...

Czy ty, kretynie, nie rozumiesz, że Kaczorowi robisz dobrze?!!!
No nie, ty na mnie nie krzycz, bo cię oskarżę o mobbing i odwrócony ejdżyzm. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Mam wrażenie, że to jest wataha psów, która otoczyła biednych, słabych ludzi".

WŁADYSŁAW FRASYNIUK, *w TVN24, o polskich żołnierzach strzegących granicy państwa*

eprasa.pl 21900df7cb

dwaj panowie g

Musimy zacząć od granicy polsko-białoruskiej, bo to teraz centrum polskiej polityki. W odróżnieniu od innych nie jesteśmy zdumieni pojawieniem się tam całej menażerii opozycyjnej, której przedstawiciele próbowali przekroczyć granicę. To towarzystwo, szanowni państwo, od dawna zajmuje się zawodowo przekraczaniem wszelkich granic.

Nasi dzielni chłopcy w mundurach chyba podzielają nasze zdanie, bo obserwują to wszystko ze stoickim spokojem i reagują humorem. Na przykład biegający po okolicy poseł Kołalicji Łobywatelskiej Franek Sterczewski został przez nich ochrzczony „Speedy Gonzalez". Jest to określenie rasistowskie i poniżające Latynosów. Więc zdradzamy, żeby się tefaueny trochę powkurzały.

Wiewiórki ze służb wzruszyły się naszą wiadomością o wycieńczonym ministrze Dworczyku, który nie spał po nocach, gdyż organizował ewakuację z Afganistanu. I pospieszyły z info, że jeden z ich szefów śpi jeszcze mniej, w dodatku wygląda na wycieńczonego. Sprawdziliśmy naocznie. Fakt, schludny i zadbany na co dzień człowiek nosi teraz wielkie worki. Pod oczami. Wszystkim polskim szefom służb gratulujemy współczujących podwładnych.

Głupia sprawa. Po tym, jak w pobliżu koczowiska migrantów nieopodal Usnarza Górnego pojawiła się cała ferajna od Szczerby i Jońskiego przez Sterczewskiego do niejakiej Lempart, okazało się, że gdzieś zawieruszył się słynny afgański kotek. Nikogo nie oskarżamy. Tylko odnotowujemy.

Ukoronowaniem występów Eine Totalopposition przy granicy były popisy niejakiego Lemańskiego, ksywa Ksiądz. Mało kto zwrócił uwagę na towarzyszącego mu pastora. A to ciekawa postać. Ksiądz Michał Jabłoński, zwany „tęczowym pastorem", bo zachęcał uczniów do udziału w tęczowych piątkach. Proboszcz parafii kalwińskiej, której członkami w wyniku konwersji stali się Tomasz Piątek i Eliza Michalik. Martwimy się o nich. Są bowiem nieco nieoduczeni. Nie wiedzą, że w republice genewskiej rządzonej przez Jana Kalwina tzw. grzech sodomski był karany śmiercią.

Nie nasze, ale bardzo nam się spodobało i godne powtórzenia: w tym roku w manewrach „Zapad" poza wojskami rosyjskimi i białoruskimi wzięły także udział TVN, „Gazeta Wyborcza" oraz paru posłów i aktywistów. Od siebie dodamy: nie sądziliśmy że dożyjemy czasów, w których Donald Tusk będzie się na tle swojej gromadki jawił jako stateczny, konserwatywny, rozsądny mąż stanu. Donald Tusk! Kumacie?

Apropos złego Donalda. Wielką ekscytację w szeregach Eine Totalopposition wywołała w zeszłym tygodniu zapowiedź debaty, która miała okrasić początek Campusu Polska Przyszłości, tzn. pardon, właściwa nazwa: Campus Polen Der Zukunft. Debaty Donald Tusk-Rafał Trzaskowski. Cóż, byliśmy ostatnio na spacerze w lesie i obserwowaliśmy, jak rozkłada się opadłe igliwie. W sumie też było to bardzo interesujące.

Tymczasem z dala od granicy trwają manewry „Sogłaszenije 2021". To znaczy pardon, właściwie: Porozumienie 2021. Oryginalne Porozumienie, jak wiadomo, podobnie jak opadłe igliwie uległo daleko posuniętemu rozkładowi. Paru desperatów zostało przy Gowinie, ale większość albo poszła do Republikanów Bielana, albo została ociepowcami Ociepy. To właśnie między tymi ostatnimi dwoma grupami trwają manewry „Sogłaszenije 2021".

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Już wyjaśniamy, o co chodzi. Otóż nie jest tajemnicą, że decyzja o pozostaniu w Zjednoczonej Prawicy jest nagradzana rozmaitymi fruktami. Bielanowcy i ociepowcy obserwują uważnie, co dostała druga strona, i szykują długą listę życzeń do spełnienia pod hasłem: „A czemu oni dostali aż to, a my – tylko tamto?". Współczujemy naczelnikowi państwa. Będzie musiał to wszystko czytać, jak wróci z wakacji.

Ważne uzupełnienie – ociepowcy nie zamierzają nigdzie wstępować, tylko chcą bronić swej niezależności i osobności jak niepodległości. Uważają bowiem, że w ten sposób wytargują więcej. Słusznie. Czego się nie robi dla Polski.

Tymczasem dowiedzieliśmy się, jak długo będzie rządził PiS. Jeszcze jakieś 80 lat. Naszym źródłem jest europosłanka Elżbieta Rafalska. Podczas wbijania łopaty inaugurującego budowę nowej siedziby ośrodka TVP w Gorzowie Wielkopolskim ogłosiła, że prezes Jacek Kurski wprowadzi nas w XXII w. Jak szło to znane hasło? „Przyszłość zaczyna się dziś".

Zadzwoniła do nas Anna Zalewska, niegdyś minister edukacji, i gorąco protestowała przeciw informacjom podawanym przez wiewiórki na temat jej rzekomej krytyki zaszczytów dla ministra Dworczyka. Wierzymy tylko w informacje oficjalnie zdementowane, więc dementujemy. Przy okazji – myśmy absolutnie wierzyli we wszystko, co mówi Zalewska. Do momentu, w którym powiedziała, że rywalizację między nią z Dworczykiem wymyślili źli ludzie.

Richard Henry Czarnecki wybrał ciekawą metodę obrony swej decyzji o kandydowaniu na szefa Polskiego Związku Piłki Siatkowej. Podaje bowiem przykłady innych polityków, którzy kierowali związkami sportowymi. Wiesław Kaczmarek, kiedyś minister z SLD, kierował Polskim Związkiem Żeglarskim. A Wojciech Olejniczak, też SLD, Polskim Związkiem Triathlonu. Uważamy, że europoseł PiS nie powinien być aż tak bardzo zapatrzony w komunistów. ©℗

eprasa.pl 21900df7cb

MARKA GODNA ZAUFANIA

PGNiG to jedna z najcenniejszych polskich marek, wysoko oceniana w wielu prestiżowych rankingach.

Cieszymy się uznaniem naszych partnerów biznesowych, odbiorców indywidualnych i kontrahentów zagranicznych.

Zapewniamy bezpieczeństwo energetyczne Polski poprzez stałe, niezakłócone dostawy gazu ziemnego.

eprasa.pl 21900df7cb

Firmy działające w Polsce

Globalna świadomość znaczenia odnawialnych źródeł energii wzrasta. Zmiany klimatyczne oraz poczucie odpowiedzialności społecznej i środowiskowej sprawiają, że także coraz więcej przedsiębiorstw chce mieć wpływ na to, z jakich źródeł pochodzi wykorzystywana przez nie energia. Na rynku dostępne są już oferty sprzedaży zielonej energii odbiorcom biznesowym i indywidualnym. W trend ten wpisuje się Grupa Enea, która gwarantuje miastom i firmom dostawy zielonego prądu na konkurencyjnych warunkach

Wybór energii elektrycznej pochodzącej w pełni z odnawialnych źródeł nie jest już jedynie fanaberią, a powoli staje się świadomym wyborem odpowiedzialnych odbiorców i przedsiębiorstw. W całej Europie widoczne jest rosnące zainteresowanie rozwiązaniami proekologicznymi, szczególnie wśród coraz bardziej świadomych wpływu na środowisko przedsiębiorstw produkcyjnych, realizujących ideę zrównoważonego rozwoju. Wiele z nich poszukuje rozwiązań o neutralnym wpływie na środowisko, także w zakresie energii elektrycznej, która jest niezbędna w procesie produkcji.

TRANSFORMACJA W POLSCE PRZYSPIESZA

Coraz więcej przedsiębiorców działających także w Polsce deklaruje osiągnięcie neutralności klimatycznej w najbliższej dekadzie. Wyznacznikiem jest tu strategia Unii Europejskiej, która zakłada zerowe emisje CO_2 netto w 2050 r. Już teraz niektóre koncerny zużywają tylko zielony prąd, korzystając z odnawialnych źródeł energii. A według prognoz Instytutu Jagiellońskiego już w 2030 r. ponad połowa energii elektrycznej zużywanej w Polsce może zostać wytwarzana ze źródeł odnawialnych (OZE). Polska energetyka musi przejść ewolucję i stać się bardziej „zielona" przez stosowanie nowych paliw i technologii w energetyce – uważają autorzy raportu „Paliwa i motory wzrostu gospodarczego. Wpływ cen surowców i produkcji energii na Polskę".

I choć na pierwszy rzut oka wydaje się, że cena zielonej energii jest wyższa niż tej konwencjonalnej, to w szerszej perspektywie jest dla firm opłacalna. I to nie tylko ze względów środowiskowych czy wizerunkowych, lecz również finansowych. Jak to możliwe? Otóż w obliczu aktualnych zawirowań na rynku energii oraz rosnących ciągle cen prądu firma zużywająca tylko zielony prąd dodatkowo może zyskać gwarancję stałych dostaw po określonej cenie.

Na taki właśnie krok zdecydowała się m.in. gmina Kraków, która przez dwa lata, w ramach nowej umowy z Eneą, będzie kupować wyłącznie energię z odnawialnych źródeł. Koordynatorem przetargu był Krakowski Holding Komunalny, który zamówił na potrzeby wszystkich spółek miejskich 424 tys. MWh energii dostarczanych do ponad 3,2 tys. punktów odbioru. Prądem od Enei będą zasilane m.in. tramwaje, autobusy elektryczne, oświetlenie uliczne i budynki użyteczności publicznej.

– Transformacja energetyczna w gospodarce dotyczy nie tylko procesów wytwarzania energii, lecz także zarządzania jej zużyciem i efektywnością energetyczną. Enea aktywnie uczestniczy w transformacji jako koncern. Cieszymy się, że dzięki naszej ofercie możemy wspierać w tym również partnerów – powiedział Paweł Szczeszek, prezes Enei.

Z szacunkowych wyliczeń wynika, że w ciągu dwóch lat nastąpi ograniczenie ponad 325 tys. ton dwutlenku węgla. W tej chwili gmina Kraków produkuje zieloną energię pozwalającą na pokrycie ok. 30 proc. zapotrzebowania rocznego miasta. Reszta będzie kupowana od Enei.

– Wygrana Enei w przetargu pokazuje, że jesteśmy rzetelnym i wiarygodnym na rynku sprzedawcą, który potrafi sprostać wysokim wymaganiom. Proponujemy naszym partnerom najlepszą i jednocześnie elastyczną ofertę, która idzie w parze z wysokimi standardami – powiedział Tomasz Siwak, wiceprezes Enei ds. handlowych. A to kolejna już w ostatnim czasie umowa Enei zawarta z klientem ceniącym rozwiązania proekologiczne.

ENEA WSPIERA FIRMY W ZRÓWNOWAŻONYM ROZWOJU

Z zielonej energii od Enei korzystają też m.in. JTI Polska – koncern z branży

eprasa.pl 21900df7cb

ruszają po zieloną energię

tytoniowej, KIRCHHOFF Automotive – duża firma z branży motoryzacyjnej oraz Bolsius, europejski lider w produkcji świec i zniczy. Ta ostatnia po raz kolejny już zdecydowała się na zakup od Enei energii elektrycznej pochodzącej ze źródeł odnawialnych.

– Bolsius może się poszczycić podjęciem wielu działań i inicjatyw proekologicznych, ze szczególnym uwzględnieniem gospodarki materiałowej wykorzystywanej do produkcji surowców oraz ograniczenia emisji CO_2. Od 2020 r. kupujemy 100 proc. zielonej energii od Enei – oznajmił Vincent Kristen, prezes zarządu Bolsius International i Bolsius Polska.

Tomasz Siwak nie kryje radości, że tak rozpoznawalna firma ponownie zdecydowała się na zakup zielonej energii od Enei. – Doceniamy współpracę z partnerami szukającymi rozwiązań mających pozytywny wpływ na środowisko naturalne. Nieustannie rozwijamy naszą ofertę produktową, by spełniać indywidualne potrzeby klientów i wspierać ich w zrównoważonym rozwoju – powiedział wiceprezes Enei ds. handlowych.

JTI Polska – najszybciej rozwijająca się firma na polskim rynku tytoniowym – również wybrała ofertę Enei na zakup energii elektrycznej wytworzonej ze źródeł odnawialnych. Oferta poznańskiego koncernu energetycznego okazała się najbardziej konkurencyjna.

– W 2017 r. postawiliśmy sobie za cel osiągnięcie zerowej emisji dwutlenku węgla pochodzącego z wytwarzania zużywanej przez nasz zakład energii elektrycznej. Stopniowo, rok po roku, zwiększaliśmy odsetek energii elektrycznej pochodzącej ze źródeł odnawialnych, dochodząc w 2020 r. do założonego celu w 100 proc. – powiedział Wojciech Zięba, dyrektor ds. bezpieczeństwa pracy i ochrony środowiska EHS, JTI Polska.

Stąd też od 2020 r. zakład w Starym Gostkowie (woj. łódzkie) zasilany jest zieloną energią elektryczną, czego potwierdzeniem są cyklicznie przekazywane gwarancje pochodzenia energii wytworzonej w zeroemisyjnych źródłach należących do Grupy Enea. Gwarancje te są dokumentem poświadczającym odbiorcy końcowemu, że określona w dokumencie ilość energii elektrycznej została wyprodukowana w OZE (np. z wiatru, wody, słońca, biogazu lub źródeł geotermalnych). Potwierdzają również wartości środowiskowe wynikające z unikniętej emisji gazów cieplarnianych (CO_2). Gwarancje wydaje się za wytworzoną energię elektryczną z dokładnością do 1 MWh i są ważne przez okres 12 miesięcy od dnia zakończenia wytwarzania energii elektrycznej w instalacji OZE objętej wnioskiem o wydanie gwarancji pochodzenia.

Również firmie KIRCHHOFF Automotive bliskie są idee zrównoważonego rozwoju. Ta duża firma z branży motoryzacyjnej zdecydowała się na zakup od Enei energii elektrycznej ze źródeł odnawialnych dla wszystkich swoich zakładów produkcyjnych w Polsce. Kontrakt obejmuje lata 2022–2023.

– Niemiecki koncern KIRCHHOFF Automotive, mający w Polsce trzy zakłady produkcyjne, przyjął ostatnio strategię ograniczania śladu węglowego, która m.in. określa cel ograniczenia do roku 2030 własnych oraz związanych z używaną energią elektryczną emisji CO_2 o 75 proc. w stosunku do roku 2019 – powiedział Janusz Soboń, Global Executive Vice President GRC & Business Development z KIRCHHOFF Automotive. Jak dodał, polskie zakłady koncernu mają ambicję zrealizować ten cel szybciej i w tym czasie osiągnąć neutralność klimatyczną. – Dzięki umowie zawartej pomiędzy KIRCHHOFF Automotive a Eneą na zakup „zielonej energii" w realny sposób zbliżamy się do osiągnięcia neutralności klimatycznej – podkreślił Janusz Soboń.

Rosnące zagrożenie katastrofą ekologiczną zmusza firmy do transformacji w kierunku neutralności klimatycznej. Towarzyszą temu kolejne raporty alarmujące o rekordowo wysokich temperaturach na świecie, a także presja społeczna. Jak wynika z opublikowanego w ubiegłym tygodniu raportu „Co Polacy myślą o odnawialnych źródłach energii", niemal 80 proc. ankietowanych chciałoby energii z odnawialnych źródeł energii (OZE). Blisko 37 proc. badanych ocenia, że OZE korzystnie wpływają na klimat.

Zmiany zachodzące na rynku energii stanowią wyzwanie dla wielu przedsiębiorców. Dlatego Enea wspiera swoich klientów w tym zakresie. – Staramy się dostarczyć naszym klientom kompletne narzędzia i wsparcie merytoryczne, dzięki czemu mogą oni wykorzystać potencjał transformacji energetycznej – puentuje Paweł Szczeszek, prezes Enei.

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 21900df7cb

Rewolucyjna świadomość

Krzysztof Masłoń

Ojciec Agnieszki Holland był stalinowskim hunwejbinem. Jego sprawa stała się kluczowa i zadecydować miała o jej życiu oraz twórczości

Z egoistycznych pobudek życzę Agnieszce Holland podpisania nowego, możliwie jak najbardziej intratnego kontraktu na realizację nowego filmu bądź, jeszcze lepiej, serialu, by zajęta pracą reżyserską ograniczyła swą aktywność polityczną, doradczą, publicystyczną i wszelką inną bezpośrednio z Polską związaną. W momentach przestoju w działalności filmowej co i rusz ogłasza bowiem wszem wobec swoje pomysły na kraj nasz jęczący obecnie pod knutem „poranionego psychopaty", jak wdzięcznie określa Holland prezesa PiS i wicepremiera rządu Rzeczypospolitej. A pomysły jej są jakby rodem z piosenki „Im więcej ciebie, tym mniej". Coraz mniej w nich sensu, powagi, odpowiedzialności za słowa, które wylewa z siebie bez umiaru.

Ostatnimi czasy wychodzi zresztą poza tradycyjny zestaw inwektyw rzucanych na władze i straszliwy, obskurancki Kościół katolicki, gdyż nie tyle może z pogardą, ile na pewno z lekceważeniem traktuje i Platformę Obywatelską (o Matko Boska!), i Lewicę, twierdząc – skądinąd wyjątkowo jak na siebie przytomnie – że obie są do niczego. W kwestii ratyfikacji Funduszu Odbudowy mocniej jednak poszturchiwała tę drugą, upominając ją, że „nie wolno pokazywać wszystkich kart i przewracać stolika, zanim w ogóle ktoś usiadł do gry". Mnie się zdaje, że przede wszystkim nie należy grać znaczonymi kartami, a te złotousta pani reżyser zaopatrzyła w – niestety zrozumiałe wyłącznie przez nią i krąg jej akolitów – znaki tajemne. I teraz się dziwi, że nie ma chętnych do skorzystania z tej talii. Do dziś nie rozumie, dlaczego naród polski w wyborach głosował na partię „człowieka, który rozmontował ustrój demokratyczny", naród, który prezydentem obwołał niejakiego Dudę, chociaż ona osobiście, a nawet z siostrą rodzoną, weszła do komitetu poparcia Bronisława Komorowskiego, wreszcie naród niedostrzegający tego, że PiS wpycha go w otchłań faszyzmu, a szczując na LGBT, „buduje atmosferę pogromu", co „można porównać do gomułkowskiej nagonki na Żydów". Wszystko to, według niej, dzieje się z błogosławieństwem Kościoła katolickiego, który w Polsce „wyklucza, potępia, obraża i rani ludzi".

Niekiedy twórczyni niesławnej pamięci obrazu „Zabić księdza" zapędza się w swych atakach na Kościół tak daleko, że – jak w ostatnim wywiadzie dla uważanego przez lata za pismo katolickie „Tygodnika Powszechnego" – tradycyjnie wieszając psy na o. Tadeuszu Rydzyku, nieoczekiwanie pochwaliła go za stworzenie z Radia Maryja miejsca dla ludzi skrzywdzonych i poniżonych, których rzekomo odtrąciła Solidarność. A może, nieśmiało zakłócę ten wywód, nie Solidarność, ale rządy „prawdziwych demokratów" z jakże miłym sercu Agnieszki Holland Donaldem Tuskiem na czele? Czyżby bohaterka pani reżyser z jej dawnego filmu „Kobieta samotna" miała dziś radio nastawione na którąś ze 126 częstotliwości Radia Maryja?

SOCREALIZM À REBOURS

Na powstanie Solidarności w 1980 r. Agnieszka Holland zareagowała – co może dziwić, zważywszy na jej deklarowaną wyraźnie opozycyjność – z daleko posuniętym sceptycyzmem, czemu dała wyraz właśnie swoją „Kobietą samotną". Dlaczego tak się działo, próbowała po latach wyjaśnić, twierdząc, że to Solidarność spowodowała regres w polskiej sztuce [?], „ponieważ przyspieszyła pewne procesy w sposób nienaturalny. To, co było przedtem naturalną komitywą lub grupową solidarnością kolegów filmowców, przeobraziło się nagle w solidarność narodową, czyli twór sztuczny.

Mam na myśli pierwszą »Solidarność« – mówiła – euforię, jaka jej towarzyszyła, nagłe odkrycie, że wszyscy jesteśmy braćmi, że robotnicy i my to jedno, a robotnicy, to nawet lepsi, że wspaniała solidarność całego narodu, że wszyscy razem i tak dalej. Czyli fenomen, jakiego w latach 60. i 70. – z wyjątkiem króciutkich momentów – nie było. Nastąpiło gwałtowne przyspieszenie i inteligenci znów zwrócili się w stronę tego, co w wieku XX było dla nich najbardziej niebezpieczne, czyli bezpośredniej ideologizacji swych zachowań i postaw. Zaczęli – jak Andrzej Wajda i inni – kłaniać się wyimaginowanej klasie robotniczej czapką do ziemi. Zaczęli mówić, że to jest dobre, a tamto złe. Wpadli w socrealizm à rebours. Przykładem »Człowiek z żelaza«. Widocznie potrzeba ideologii jest wciąż bardzo silna wśród inteligentów".

A o inteligencji, oczywiście – polskiej, Agnieszka Holland wie wszystko: „Inteligencja wywodziła się w znacznej mierze ze szlachty, z warstw wyższych. W Polsce lub Rosji, gdzie niewolnictwo ludu utrzymywało się dość długo, tego rodzaju poczucie winy jest zupełnie zrozumiałe. Podobnie jak poczucie winy Amerykanów wobec Murzynów, które uniemożliwia normalne funkcjonowanie społeczeństwa. Podobnie jest z polską i rosyjską inteligencją. Spotkałam w Waszyngtonie polskiego dyplomatę, człowieka inteligentnego, który wiele lat spędził za oceanem. Mówił, że w Stanach dwie grupy ludzi nie nauczyły się Ameryki, z tego, co ona sobą stanowi. To zupełnie logiczne, bo w gruncie rzeczy jedni i drudzy są potomkami niewolników. Moim zdaniem to, że jesteśmy potomkami niewolników, że przeważający procent narodu to potomkowie pańszczyźnianych chłopów, stanowi główną przyczynę polskiego rozmamłania".

eprasa.pl 21900df7cb

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

eprasa.pl 21900df7cb

Daruję czytelnikom wyjaśnianie tego, co chluba naszej kinematografii, a co za tym idzie – polskiej kultury i sztuki, rozumie przez to ostatnie. W każdym razie, podsumowuje, „sztuka polska nie jest ani introspektywna, ani realistyczna, tylko infantylna". Dojrzały jest jedynie Gombrowicz, powszechnie uznany jako model z Sèvres poprawnie rozumianej polskości (pełno jej, a jakoby nikogo nie było). No i mamy jasny przekaz wzięcia, jakim od pewnego czasu cieszy się nad Wisłą hasło „Black Lives Matter".

IDEOLOGICZNE ZALEŻNOŚCI

Zasługi Agnieszki Holland dla filmu polskiego są jednak nie do przecenienia. Może jednak niekoniecznie te, które na ogół się podnosi. Otóż niewątpliwie zapisała się w historii naszej kinematografii reżyserią „Gorączki" (Linda!) i „Aktorów prowincjonalnych" (Łabonarska!), jak również jako scenarzystka „Bez znieczulenia" Wajdy, filmu pamiętnego z uwagi na wyjątkową kreację Krystyny Jandy, która w scenach ze swoim udziałem nie odzywa się ani słowem. To dopiero był wyczyn!

„W moim życiu zainteresowanie polityką przychodziło falami. Jako młoda istota karmiona rewolucyjnymi lekturami odczuwałam potrzebę rewolucji. Rewolucja wydawała mi się zjawiskiem pozytywnym, tropiłam jej ślady, ubolewałam, że nigdzie jej nie widać. Potem, jako nastolatka, przeżyłam okres intensywnej religijności – zapewniała znana ze swej, najdelikatniej mówiąc, niechęci do Kościoła córka Henryka Hollanda. – Rozczarowawszy się i do rewolucji, i do katolicyzmu, doszłam do wniosku, że warto spróbować być artystą i że uprawiając sztukę, nie powinno się wchodzić w żadne ideologiczne zależności. A ponieważ polityka jest czymś drugorzędnym, trywialnym, wręcz głupawym, trzeba się od niej trzymać jak najdalej". Naprawdę?

Ojciec jej, opowiadała, „był od zawsze lewicowcem. Komunizował od dziecka. Najpierw związał się na trochę z Korczakiem, jako gówniarz pisywał do »Małego Przeglądu«. Później otarł się o anarchistów, a w końcu trafił do Związku Młodzieży Komunistycznej. Miał dziewiętnaście lat, właśnie zdał na medycynę, kiedy zaczęła się wojna. Uciekł do Rosji. Wstąpił do armii, najpierw Czerwonej, a potem do Berlinga. Pobyt w Rosji oceniał pozytywnie". No, myślę.

Matka, Irena Rybczyńska, miała za sobą doświadczenie Powstania Warszawskiego i – jak utrzymuje córka – właśnie z powodu powstania „była zdecydowanie antysanacyjna i antylondyńska", a – cytuję dalej Agnieszkę Holland – „antysemityzm, z którym spotkała się w swoim oddziale, a nawet w dowództwie AK, straszliwie obrzydził jej tych ludzi. Stała się wielką filosemitką. To przejawiało się między innymi w tym, że jej mężowie i kochankowie byli Żydami. Nie wiem, czy była kiedykolwiek z mężczyzną, który nie był Żydem".

„Ojciec, jak wielu polskich Żydów po wojnie, stłamsił w sobie żydowskość i wydaje mi się, że to go blokowało emocjonalnie. Miał duże problemy emocjonalne, głównie z tego powodu. Imiona moich dziadków poznałam dopiero wtedy, gdy pierwszy raz poszłam na grób ojca, zresztą, wiele lat po jego śmierci. Mama i ciotka kazały wyryć na grobie napis »pamięci dziadków«. Nosili, o dziwo, polskie imiona – Franciszek i Wiktor. Bracia mojego dziadka nazywali się już po bożemu: Chaim, Mendel, Izaak". Prawdopodobnie mamy tu do czynienia z błędem; Henryk Holland był dzieckiem Wiktora Hollanda i Franciszki z domu Likier.

HUNWEJBIŃSKIE TRADYCJE

W grudniu 1961 r. ojciec Agnieszki Holland, rozwiedziony już z jej ukochaną mamą – Ireną Rybczyńską, został aresztowany, a po przesłuchaniu przewieziony do swego mieszkania na rewizję, w trakcie której popełnił samobójstwo, skacząc z okna mieszkania na szóstym piętrze. Okoliczności sprawy tak przedstawiała reżyserka „Gorączki": „Mieszkałyśmy już wtedy z moim ojczymem [Stanisławem Brodzkim, też dziennikarzem – przyp. K.M.]. Ojciec nie mógł wybaczyć ojczymowi, że mu »zabrał« żonę – aczkolwiek małżeństwo prawie od początku było nieudane – i nie odwiedzał nas. Mama zaaranżowała raz, z okazji Wielkanocy, wspólne spotkanie. Skończyło się karczemną awanturą z bójką włącznie. Nie ponawiała więcej takich prób. Potem, kiedy leżałam z zapaleniem płuc, ojciec zaczął przychodzić, bo nie mógł mnie inaczej zobaczyć. I jakoś zaczęli ze sobą rozmawiać. W tym czasie Starewicz przywiózł z Moskwy sensacyjną relację o tym, jak zabito Berię. Opowiedział ją ojczymowi i mamie na obiedzie w naszym domu. Następnego dnia przyszedł na obiad ojciec i ojczym powtórzył mu tę historię, a on poleciał z tym od razu do korespondenta »Le Monde'a«, Jeana Wetza. Przyjaźnił się z jego żoną, Alicją Zawadzką. Chciał się pochwalić, że ma taką superwiadomość. Był szalenie lekkomyślny, przecież miał świadomość, że mieszkanie zagranicznego korespondenta musi być na podsłuchu. Ale on właśnie taki był. Jego opowieść została nagrana. Zrobił się skandal, że tajemnice wyciekają przez Polskę, i to z winy takich »szmondaków«. Faktem jest, że tę rewelację wyniósł z naszego domu, via mój ojczym i Starewicz […]". Przez długie lata podtrzymywana była wersja, jakoby Hollanda wyrzucili przez okno esbecy.

Pytana o ojca Agnieszka Holland zazwyczaj minimalizuje znaczenie jego zaangażowania w komunizm i to w tej najgroźniejszej, stalinowskiej, wersji. Nadaje za to wysoką rangę jego działaniom, powiedzmy, rewizjonistycznym, mającym miejsce po Październiku '56. W istocie Henryk Holland, z wykształcenia filozof i socjolog, złą sławę zyskał jeszcze na studiach, gdy przyczynił się do odsunięcia prof. Władysława Tatarkiewicza od prowadzenia zajęć na Uniwersytecie Warszawskim, a już jako doktorant w Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR nawet swoich partyjnych towarzyszy zaszokował brutalnością ataku na nieżyjącego od 1938 (!) roku prof. Kazimierza Twardowskiego i jego „klechowską" filozofię. Co tu dużo mówić, był stalinowskim hunwejbinem.

Dla Agnieszki Holland sprawa ojca stała się kluczowa i zadecydować miała o jej życiu i twórczości. Reżyserię studiowała w Czechosłowacji, gdzie tuż po zdławieniu Praskiej Wiosny została zatrzymana i po kilku tygodniach odsiadki do Polski powróciła już w aureoli opozycjonistki. Przywiozła też ze sobą męża, Laco Adamika, po latach świetnego reżysera spektakli operowych. Ona sama powrócić miała do wydarzeń Praskiej Wiosny w jednym ze swoich najlepszych filmów, trzyczęściowym miniserialu „Krzew gorejący". Ta czeska realizacja powstała w 2013 r., jej twórczyni była już wtedy uznaną postacią światowej kinematografii, po bardziej i mniej udanych produkcjach we Francji i w Stanach Zjednoczonych. Minie jeszcze siedem lat i zostanie prezydentką Europejskiej Akademii Filmowej.

GEST ANDRZEJA WAJDY

Początki były jednak trudne, o kinie moralnego niepokoju, którego stała się liderką, nikt jeszcze nie słyszał, a filmy bardzo chciała realizować. W latach 70.,

eprasa.pl 21900df7cb

po rozwiązaniu zespołu filmowego Kraj, Holland zastanawiała się, czy ma się związać z Pryzmatem, w którym kierownikiem literackim był Tadeusz Konwicki, czy szukać szczęścia gdzie indziej. Pozycja Konwickiego – jak wspominała – „nie była już tak mocna jak przedtem. Wajda z kolei stanął na czele świeżo utworzonego zespołu »X«. Staszek [Latałło – przyp. K.M.] poszedł do niego, bo chociaż był operatorem, chciał robić filmy jako reżyser. Mnie też namawiał na Wajdę. Wahałam się, poszłam po radę do Konwickiego, a on mi powiedział: »Wie pani, z panią to będzie trudno. Przeforsowanie pani rzeczy wymagać będzie dużej siły. Nie jestem pewien, czy moja pozycja jest dostatecznie mocna, może rzeczywiście powinna pani iść do kogoś innego«. Więc ja go pytam: »Czy do Wajdy? «, a on: »Wajda jest pewnie takim samym draniem jak oni wszyscy. No, może trochę szlachetniejszym«. Po takim dictum, z duszą na ramieniu, udałam się do Wajdy. Spotkaliśmy się na planie »Wesela«, w wytwórni na Chełmskiej. Wajda wyglądał zupełnie tak, jak go sobie wyobrażałam. Nosił biały kożuch – na hali było zimno – i palił cygaro. Był taki ładny".

W zespole X pisała scenariusze, które jej odrzucano. „Zwyczajnie, nie akceptowano ich. Jak ci odrzucają scenariusz, tu i tam, w filmie i w telewizji, jeden i drugi, to możesz mówić: polityka, ale masz też prawo myśleć, a może one są słabe. Andrzej [Wajda – przyp. K.M.], mimo że znał historię moją i mojego ojca, chyba nie do końca rozumiał, co się wokół mnie działo, nie do końca docierało do niego, że to naprawdę nie moja wina, że działa po prostu pewien ostracyzm, że znalazłam się na swoistej czarnej liście. Widziałam, że powoli traci zapał. Andrzej nie należy do ludzi, którzy potrafią walczyć długo i uparcie o jakiś cel. A już w tamtym okresie szczególnie lubił, żeby rzeczy, na których mu zależało, wychodziły od razu. Ekscytowała go natychmiastowa skuteczność działania. Scenariusz, który się trochę przeleżał, nudził go, zaraz chciał w nim coś zmieniać, często na gorsze. Uważam, że pierwsza wersja scenariusza »Dyrygenta« była znacznie lepsza niż to, co potem wypichciliśmy".

Inne ich wspólne dzieło – „Korczaka" – komentowała tak: „O ile na ogół podobał mi się sposób, w jaki Andrzej realizował moje scenariusze lub choćby tylko scenki, o tyle w tym wypadku mój stosunek do filmu jest ambiwalentny. Wydaje mi się, że można było z tego zrobić więcej. Wajda był wtedy senatorem i nie skupił się dostatecznie na filmie". Porażkę tego obrazu na Zachodzie spowodowały jednak zarzuty takich „autorytetów" od Holokaustu, jak Claude Lanzmann, dla których „Korczak" był za mało antypolski.

Scenarzystka „Korczaka" dementuje, że to ona „załatwiła" Oscara Wajdzie. Przyznaje wprawdzie skromnie, że w tej sprawie pracowała w miarę swoich możliwości, ale oddaje zasługi innym, przede wszystkim Januszowi Kamińskiemu i Pawłowi Potoryczynowi.

I jeszcze à propos tego polskiego laureata Oscara. „Pamiętam – opowiadała Holland – że kiedy nie wyrażono zgody, żebym została asystentką Wajdy przy »Człowieku z marmuru« i Andrzej zrozumiał już, w czym tkwi istota moich problemów – zaproponował mi, że mnie zaadoptuje. Był to piękny gest. Wytłumaczyłam mu jednak, że w tym, iż zachowuję moje nazwisko, tkwi pewien powód i pewna metoda".

SAMOWYSTARCZAJĄCA KOMÓRKA

W filmie polskim stała się instytucją, także rodzinną. Reżyserią zajęła się również jej siostra Magdalena Łazarkiewicz (m.in. „Ostatni dzwonek"), która swoją filmową karierę zapoczątkowała też u boku Andrzeja Wajdy, z którym współpracowała przy „Pannach z Wilka". Tak samo reżyserią filmową parał się zmarły w 2008 r. mąż Magdaleny – Piotr Łazarkiewicz (m.in. „Fala"). Muzykę do filmów Agnieszki Holland („W ciemności", „Gorejący krzew", „Pokot") skomponował syn Magdaleny i Piotra – Antoni Łazarkiewicz, od pewnego czasu Komasa-Łazarkiewicz, gdyż uznał za stosowne podkreślenie swojego małżeństwa z Mary (Marią Wiktorią) Komasą, wokalistką, modelką i w ogóle osobą wszechstronnie utalentowaną, co nie dziwi, zważywszy, że jest siostrą kolejnego reżysera w tej plejadzie – Jana Komasy (m.in. „Miasto '44", „Boże Ciało"). Oczywiście nie zapominamy o córce Agnieszki Holland – Kasi Adamik, z którą skręciły razem m.in. „Janosika. Prawdziwą historię" i „Pokot", a produkcji, gdzie była u mamy drugim reżyserem czy storyboardzistką, nie wyliczę, bo to lista długa i niemająca końca. Dodamy tutaj jeszcze, że Kasi towarzyszy często na planie jej partnerka, Olga Chajdas, która wsławiła się „Niną", historią o lesbijskiej miłości. A Agnieszka, Magdalena i Kasia, i Olga pracowały razem np. przy serialu „Ekipa", który miał pokazać całą prawdę o polskiej polityce, okazał się jednak klapą, mimo obecności w obsadzie Gajosa, Stroińskiego czy Seweryna.

Politykuje więc Agnieszka Holland w inny sposób. Niestety, z dwojga złego zdecydowanie lepiej wychodzi jej to w filmie. Przyznać trzeba jednak, że szerokość jej horyzontów myślowych jest powalająca.

„Przeżywamy dramatyczną zmianę roli mężczyzny na wszystkich płaszczyznach jego udziału w teatrze świata – konstatuje na przykład. – Jako myśliwego, jako partnera, jako ojca, jako wojownika. Rozwój industrialny i powszechność bezrobocia, emancypacja kobiet jako skutek dwóch wojen światowych i konieczność zarobkowania, a potem rozbudzenie ambicji z tym związanych – wszystko to spowodowało, że mężczyzna nie ma dziś gwarancji na żadną z życiowych ról. Nauka posuwa się teraz tak daleko – na razie brzmi to jeszcze śmiesznie – że prawdopodobnie za 20–30 lat będzie można klonować człowieka. I wtedy mężczyzna nie będzie już potrzebny do prokreacji". Na uwagę, że już teraz coraz częściej stosuje się zapłodnienie in vitro, Holland odpowiada: „Ale nadal konieczna jest sperma. Do klonowania wystarczy własna komórka. Kiedyś Adam stworzył Ewę ze swego żebra, teraz Ewa stworzy Adama". Na razie nie wiadomo, co stworzyły razem córka Agnieszki Holland – Kasia Adamik – ze swoją partnerką Olgą Chajdas, ale o Adamie, jak na razie, nie słyszałem. Wszystko przed nami.

72-letniej artystce wyraźnie nie wystarcza reżyseria filmów, chciałaby wpływać na życie społeczne, co też czyni, nie odnosząc jednak spodziewanych sukcesów. Może dlatego, że w roli Ciotki Dobra Rada jest mało przekonująca, a jej przemyślenia o zachodzących „rewolucyjnych zmianach świadomości" są jakby żywcem wyjęte z „Poradnika agitatora". I nic nie daje łaszenie się do przywódczyń Strajku Kobiet; dla osobniczek [?] w rodzaju Lempart jest Holland zgraną kartą i powinna wyp…….. razem z innymi na emeryturę. Bo co z tego, że zdaniem pani reżyser w dzisiejszej Polsce „biskupi i Kaczyński są dla młodych ludzi memami"? Czas leci i nie zauważy nawet, kiedy sama stanie się memem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 21900df7cb

„Zupa nic" Kingi Dębskiej to osobiste wspomnienie PRL z „dekady Gierka"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Film „Moje wspaniałe życie" to zupełnie nowe spojrzenie na polską rzeczywistość
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Lwy z Trójmiasta

Remigiusz Włast-Matuszak

46. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni z pewnością będzie okazją dla Agnieszki Holland do wygłoszenia politycznych deklaracji. Bo odbierać będzie Platynowe Lwy

Żeby było tak, jak było!" – list z takim przesłaniem prezydentka Agnieszka Holland wysłała do wiceprezydentki USA neomarksistki Kamali Harris, by spowodować przywrócenie wolności słowa w jęczącej pod butem faszyzmu Polsce. Jak mniemam, wspierająca odpowiedź Kamali nadejdzie w połowie września, a prezydentka (lub Kasia Adamik) przeczyta to przesłanie ze sceny 46. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni (od 1974 r. do 1986 r. festiwale odbywały się w Gdańsku – stąd Lwy). A czemuż to polityczka Holland ma przemówić do nas ze sceny 46. FPFF? Otóż 30 kwietnia zwołana w przededniu wielkiej majówki Rada Programowa FPFF jednogłośnie przyznała Agnieszce Holland Platynowe Lwy za „całokształt twórczości". Jestem w owej radzie od pięciu lat i o ile pamiętam, nie głosowałem za nagrodą dla Holland, a ze 103 członków Rady za Platynowymi Lwami głosowało zaledwie 30, w tym kilku wbrew sobie, sterroryzowanych „poprawnością polityczną".

Odbierając nagrodę w Gdyni, za pośrednictwem TVN, Onetu i innych wysoce „obiektywnych" mediów, Agnieszka Holland, posiłkując się siłą i autorytetem Ameryki, wygłosi polityczne przemówienie do narodu, po którym nasze życie nie będzie już takie tamo jak wcześniej. Najgorsze jest to, że tysiące młodych ludzi, którzy uwielbiają rapera Matę i Ralfa Kamińskiego, niemający pojęcia, czym była „kierownicza rola" PPR/PZPR, jak się wegetowało w PRL i co to marksizm, uwierzy w słowa Holland (lub jej córki), co przełoży się na późniejszy wynik wyborów parlamentarnych. (No bo o to przecież chodzi by „….. PiS" przy każdej okazji, a na 46. FPFF szczególnie).

45. FPFF odbył się w grudniu 2020 r. (zdalnie, w Internecie). Do tegorocznego komisja selekcyjna pod przewodem dyrektora Tomasza Kolankiewicza zakwalifikowała do konkursu głównego i mikrobudżetowego 21 filmów. Zajmijmy się tylko filmami udanymi i moim zdaniem godnymi polecenia czytelnikowi.

„Zupa nic" – scenariusz, reżyseria i brawurowe dialogi Kingi Dębskiej. Film to osobiste wspomnienie PRL z „dekady Gierka". Ciepła, spokojna, słodko-gorzka komedia społeczna. Poznajemy dzieciństwo bohaterek filmu pt. „Moje córki krowy". To pierwszy polski fabularny pre-sequel. Kinga Dębska ma dobrą passę. Po świetnie przyjętym przez publiczność i krytyków filmie „Zabawa, zabawa" mamy kolejny

eprasa.pl 21900df7cb

znaczący film ze społecznym przesłaniem, który budzi wzruszenia i emocje. Kinga Dębska, praktycznie jako jedyna reżyserka odważyła się na przestrzeni dekad przedstawić epizody jawnie antykomunistyczne – palenie legitymacji PZPR przez szwagra milionera czy pobicie głównej bohaterki – matki – przez ZOMO w czasie demonstracji. Mam nadzieję, że film zostanie zauważony przez jury.

„Lokatorka" („Wszystkich nas nie spalicie") – reż. Michał Otłowski (autor „Jezioraka" z 2014 r. – jednego z najlepszych filmów kryminalnych ostatniego 20-lecia). Jego nowy film to dramat społeczno-polityczny opowiadający o zamordowaniu Jolanty Brzeskiej (1 marca 2011 r.). To również przypomnienie sprawy dzikiej prywatyzacji, kiedy to 40–50 tys. warszawiaków znalazło się na bruku. Reżyser umiejętnie buduje klimat – nastrój grozy i bezradności zwykłych ludzi. Film nie przynosi wyjaśnienia morderstwa. Pękająca szklanka w rękach policjantki to symbol społecznej bezsilności wobec mafii prawników, urzędników, bandytów i samorządowców.

„Mosquito State" („Komar") – scen. i reż. Filip Jan Rymsza. Reżyser tworzy w USA (liczne nagrody) i w Polsce. Realizacja „Komara" zbiegła się z wybuchem światowej pandemii wirusa COVID-19. Katastroficzne sceny, które przepowiedział F.J. Rymsza, wkrótce faktycznie rozegrały się w Nowym Jorku. „Komar" to song bankierski, prawie opera – jednoaktówka z Wall Street. Oglądamy geniusza – programistę, światowego spekulanta zakochanego w utrzymance szefa. W trakcie przyjęcia w czeluściach kanalizacji NY rodzi się komar tygrysi – matka epidemii. Akcja wciąga, zaciekawia i zaskakuje. Spokojna narracja potęguje suspens. Film zarówno dla „lemingów" spragnionych „odkrywczej głębi intelektualnej", jak i prawdziwych wielbicieli rozrywki na najwyższym poziomie. Proponowałem, by film F.J. Rymszy zgłoszono do nagrody Oscara, ale komisja przyjęła to milczeniem, wolała zgłosić do Wenecji i Oscara taki pretensjonalny gniot jak „Śniegu już nigdy nie będzie".

„Moje wspaniałe życie" – scen. i reż. Łukasz Grzegorzek. Autor jest jednym z ciekawszych młodych twórców polskiej kinematografii. Jego „Córka trenera" została doceniona tak przez krytyków filmowych, jak wymagającą publiczność. Film Grzegorzka to zupełnie nowe spojrzenie na polską rzeczywistość, społeczeństwo i przeciętnych zapracowanych ludzi. To ciepła, dowcipna komedia obyczajowa, mocno stonowana, z lubianymi piosenkami, a nawet z lekkim seksem. „Wspaniałe" życie prowadzi wzorowa matka, żona i kochanka. W tej roli rewelacyjna Agata Buzek. Reżyser zadaje nam uniwersalne pytania i my, widzowie, mamy trudności, by na nie odpowiedzieć.

„Bo we mnie jest seks" – reż. Katarzyna Klimkiewicz. Filmowa opowieść o Kalinie Jędrusik to unikalny, udany polski musical. Akcja rozgrywa się w latach 60.–70., gdy Zosia Gomułkowa nie mogła strawić urody i talentu Kaliny, a przede wszystkim jej wspaniałych piersi wypełniających ogromy dekolt. Kalinę dwa razy wyrzucano z TVP, ale wracała podstępem i talentem. Młoda reżyserka Katarzyna Klimkiewicz lekko zdrętwiała, gdy wypomniałem jej, że krzyżyk, który nosiła Kalina na ekranie TV, był duży i zawieszony na czarnej aksamitce, a nie mały na cienkim łańcuszku. Wybaczam reżyserce tę nieścisłość, gdyby trzymała się faktów, opozycja zarzuciłaby jej jawny klerykalizm (na drugą kolaudację filmu już mnie nie wpuszczono!).

„Śmierć Zygielbojma" – reż. Ryszard Brylski według scenariusza Wojciecha Lepianki i Brylskiego. Po prawie pięciu latach starań mamy w końcu udany i niezwykle potrzebny film historyczny. Dramat obyczajowy rozgrywa się w latach 1942–1943 w emigracyjnym Londynie. „Śmierć Zygielbojma" to jedyny owoc Otwartego Konkursu Scenariuszowego ogłoszonego przez MKiDN w 2015 r. Mamy więc w rękach dobry i mocny, od dawna oczekiwany argument mówiący wprost o haniebnym milczeniu zachodu (GB i USA) wobec zagłady polskich i europejskich Żydów. Poznajemy też działania Szmula Zygielbojma w polskiej Radzie Narodowej (akcji „Żegota"). W jednej z głównych ról seraficzna Karolina Gruszka w oprawie muzycznej z epoki.

Z filmów mikrobudżetowych (zrealizowanych za sumę 750 tys. zł) za ciekawe, moim zdaniem, i godne polecenia uważam:

„Po miłości/Pour l'amour" Andrzeja Mańkowskiego to kolejny celny film powstały w ramach projektu PISF „Filmy mikrobudżetowe – pierwszy film". Ta udana seria pokazuje, że za marne 750 tys. zł można zrealizować ciekawy film fabularny, a nie marnotrawić na gnioty po 8 mln zł. Andrzej Mańkowski przedstawia nam ostry dramat psychologiczno-społeczny rozgrywający się na kaszubskiej wsi. Mamy wątki obyczajowe, zbrodnię z premedytacją, dramatyczny romans i zaskakujące zwroty akcji. W roli wiejskiej gospodyni i sprzątaczki perfekcyjna Jowita Budnik.

„1:11" („Pierwsza jedenaście") – udany horror Mirona Wojdyły. Polski horror psychologiczny to rzadkość, tym bardziej że dziejący się współcześnie. Atmosfera strachu narasta, a krwawy finał godny Szekspira i wyjaśnienie morderstwa to majstersztyk intrygi kryminalnej. Publiczność znajdzie tu dobrą rozrywkę, a intelektualiści kilka ciekawych, filozoficznych przesłań.

Decyzją dyrekcji artystycznej festiwalu do konkursu nie dopuszczono świetnego filmu polsko-islandzkiego pt. „Wolka" (będzie jedynie w sekcji Polonica), a zabawna, ostra i zarazem ciepła komedia jarmarczna o współczesnej Polsce pt. „Jakoś to będzie" Sylwestra Jakimowa, ukończona w lutym 2021 r., została odrzucona już w grudniu 2020 r.

Z niezrozumiałych dla mnie względów formalnych, dzięki działaniom producenta, nie dopuszczono do selekcji konkursu filmu pt. „Klecha" w reż. Jacka Gwizdały, z życiowymi rolami Piotra Fronczewskiego i Mirosława Baki. Film oparty jest na faktach dotyczących zbrodni dokonanej przez SB w Radomiu w 1976 r. na ks. Romanie Kotlarzu – kapelanie radomskiego Czerwca.

Na 46. FPFF do selekcji i konkursu nie zdążyły „czasowo" tak wybitne i autentycznie udane filmy jak kameralny dramat społeczny o poświęceniu i miłości pt. „Śubuk" Jacka Lusińskiego i „Nosorożec" Olega Sencowa – brawurowa opowieść gangsterska o zbrodni, miłości i karze przedstawiona w tonacji bardzo „słowiańskiej". Trudno, poczekamy na oba filmy do przyszłego 47. FPFF.

Faworytem totalnej opozycji na 46. FPFF będzie (i już jest) film pt. „Żeby nie było śladów" w reż. Jana P. Matuszyńskiego, według reportażu nagrodzonego Nike przez organ Adama Michnika. Dwuipółgodzinna rozwlekła historia nie opowiada o Grzegorzu Przemyku (zamordowanym 14 maja 1983 r.), ale ukazuje i analizuje działania władzy totalitarnej (właśnie z Wenecji nadeszła konstatacja organizatorów festiwalu, że „film ma bardzo długi czas trwania").

Galę wręczenia Lwów zakończy zapewne przyklęknięcie jury i całej sali w chwili wręczania niebinarnej nagrody aktorskiej. Kandydatów będzie aż kilku. Powieje Europą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 21900df7cb

Operacja „kryzys migracyjny”

Witold Repetowicz

W sierpniu gwałtownie wzrosła liczba nielegalnych imigrantów próbujących dostać się do Polski przez białoruską granicę. To efekt operacji służb specjalnych Aleksandra Łukaszenki

Przemytnicy dają gwarancję, że ta droga jest w stu procentach bezpieczna i pewna” – napisał do mnie w lipcu znajomy syryjski Kurd mieszkający od kilku lat w Irbilu w irackim Kurdystanie i starający się wyjechać z chorą na raka córką do Niemiec. Pytał o możliwość nielegalnego dostania się przez Białoruś do Polski i dalej – do Niemiec. Po moich wyjaśnieniach zrezygnował, ale tysiące młodych Kurdów dało się skusić, zwłaszcza że część przemytników przekonuje ich, że to droga legalna. To wszystko efekt specjalnej operacji białoruskiego reżimu Aleksandra Łukaszenki, który w ten sposób postanowił się zemścić za wsparcie białoruskiej opozycji oraz nałożone sankcje.

Wykorzystywanie migrantów jako broni demograficznej nie jest nowością. Zastosowane zostało m.in. przez Turcję

eprasa.pl 21900df7cb

Migranci na polsko-białoruskiej granicy to zaplanowana akcja władz Białorusi
FOT. ARTUR RESZKO/PAP

w 2015 r., choć i wtedy nie był to precedens. Sami migranci nie muszą mieć przy tym żadnej świadomości, że są narzędziem w operacji innego kraju. Oni po prostu chcą dostać się do kraju, w którym mają nadzieję wieść lepsze życie. Trudno się dziwić, że korzystają z okazji, jeśli ta się pojawia, lub przynajmniej w nią wierzą omamieni obietnicami przemytniczej mafii i agentów służb specjalnych.

W 2015 r. ta okazja rzeczywiście się pojawiła, gdyż znaczna część europejskiej opinii publicznej naiwnie kupiła hasło „refugee wellcome". Dziś jest jednak zupełnie inaczej.

DLACZEGO ŁUKASZENKA SIĘ PRZELICZYŁ

Gdy Unia Europejska nałożyła na białoruskie władze sankcje w związku z wcześniejszym zmuszeniem samolotu Ryanair do lądowania w Mińsku, Łukaszenka zaczął ściągać z Iraku „uchodźców", by wywołać kryzys migracyjny podobny do tego, jaki Europa przeżywała w 2015 r. Kalkulacja była prosta: Irak kojarzy się z wojną i terroryzmem, więc z jednej strony uzasadniać to miało narrację „refugee wellcome", a z drugiej strony miało zasiać strach, że wśród przybywających są terroryści i będą oni organizować zamachy. Z pewnością brał pod uwagę, że Europa ugięła się wcześniej pod szantażem migracyjnym tureckiego prezydenta Recepa Tayyipa Erdoğana. Czemu zatem nie miałaby zrobić tego samego w przypadku Białorusi? Upadek Kabulu był dodatkowym prezentem dla cynicznego dyktatora, bo migranci zaczęli występować w roli „uchodźców z Afganistanu".

Początkowo natarcie w tej wojnie migracyjnej zostało skierowane na granicę z Litwą. W tym niewielkim kraju wywołanie kryzysu migracyjnego wymagało bowiem mniejszych środków niż w przypadku Polski. Okazało się jednak, że i Polska została wzięta na celownik. Łukaszenka jednak trochę się przeliczył. Po pierwsze, w Polsce czy na Litwie hasło „refugee wellcome" nigdy nie było tak popularne jak na zachodzie Europy, a władze są znacznie bardziej skłonne do stosowania skutecznych metod ochrony granicy. Po drugie, zmieniły się nastroje w całej Europie i tym razem Komisja Europejska poparła działania Polski na granicy. To nie dziwi. Gdyby Polska otworzyła granicę, wywołałaby kryzys, który zapewne wstrząsnąłby niemieckimi wyborami parlamentarnymi, i władze Niemiec miały tego pełną świadomość.

Sytuacja w Afganistanie pozwoliła jednak Łukaszence nakręcić narrację, którą zaczęły kupować niektóre media i politycy w Polsce. I to mimo tego, że często była ona oparta na absurdalnych historyjkach o rzekomych Afgańczykach wędrujących pieszo z zajętego przez talibów Kabulu aż do granicy polsko-białoruskiej.

IRAKIJCZYCY NIE UCIEKALI

Warto wskazać, że Irak nigdy nie był jakimś szczególnym źródłem uchodźców czy nielegalnych imigrantów. Wojna dawno przestała się tam toczyć, a choć zagrożenie terrorystyczne istnieje, to nie determinuje ono codziennego życia mieszkańców. Pielgrzymka papieża Franciszka pokazała, że możliwości terrorystów są ograniczone. Irak jest wprawdzie pogrążony w kryzysie, ale gdy tam na miejscu mówię, ile wynosi średnia płaca w Polsce, to wielu moim rozmówcom błyskawicznie mija ochota migracji nad Wisłę. Przypomnę, że w 2015 r. wielu rozczarowanych Irakijczyków, którzy dostali się do Niemiec, wręcz błagało o pomoc w powrocie do ojczyzny.

W 2019 r. tylko 56 Irakijczyków usiłowało nielegalnie wjechać do Polski, rok później było to 48 osób, a w pierwszym półroczu 2021 r. – 20. To niewielkie liczby, biorąc pod uwagę, że tylko w ubiegłym roku Straż Graniczna zatrzymała ponad 3,5 tys. osób spoza UE usiłujących nielegalnie przekroczyć polską granicę. W większości byli to obywatele Rosji i Ukrainy.

Irakijczycy nie stanowili też do tej pory dużego odsetka wśród osób ubiegających się w Polsce o status uchodźcy. W 2019 r. 32 obywateli tego państwa złożyło stosowny wniosek, a rok później – 47, przy czym w ogóle Polska tego typu wniosków przyjęła w 2019 r. – 4114, a w 2020 r. – 2815. Na 277 decyzji pozytywnych w 2019 r. (włączając w to zgodę na pobyt tolerowany lub ochronę uzupełniającą) i 417 w 2020 r. Irakijczyków dotyczyło odpowiednio 17 decyzji w 2019 r. i sześć w 2020 r.

SYSTEM KŁAMSTWA

Operacja Łukaszenki oparta jest więc na kłamstwach i skierowana głównie do mieszkańców kurdyjskiej części Iraku, gdzie wciąż przebywa wiele osób wewnętrznie przesiedlonych z sąsiedniej prowincji Niniwy oraz kurdyjskich uchodźców z Syrii.

Białoruski konsulat od ręki zaczął wystawiać wizy turystyczne, a współpracująca z białoruską bezpieką mafia przemytnicza zapewniała chętnych, że na pewno dostaną się drogą przez Litwę i/lub Polskę na Zachód. Propagandzie tej towarzyszyły rozpowszechniane nagrania migrantów siedzących w luksusowych mieszkaniach i twierdzących, że bezpiecznie dostali się do Polski. Do tych ludzi nie wysyłano komunikatów w języku arabskim czy kurdyjskim, które oddawałyby rzeczywistość – czyli mówiłyby

eprasa.pl 21900df7cb

o tym, że granica polsko-białoruska jest dobrze chroniona i chętni tylko stracą duże pieniądze, płacąc przemytnikom i kończąc swą podróż w strzeżonym ośrodku dla cudzoziemców w oczekiwaniu na deportację, o ile w ogóle przekroczą granicę. Rozpowszechnianie takich ostrzeżeń byłoby w interesie zarówno Polski (i całej UE), jak i Iraku oraz ludzi pragnących skorzystać z oferty Łukaszenki.

Same kurdyjskie media w Iraku zaczęły w końcu ostrzegać przed tą podróżą, a jedna z tamtejszych telewizji poprosiła mnie o wypowiedź. Gdy opublikowałem na Facebooku wpis przestrzegający przed próbą nielegalnej imigracji przez Białoruś do Polski, ilustrując go zdjęciem funkcjonariuszy Straży Granicznej pilnujących z psami grupy ujętych imigrantów, to wielu Kurdów i Irakijczyków dziękowało mi za to w sieci.

Łukaszenka odniósł tylko częściowy sukces. Nie udało się napuścić Unii Europejskiej na Polskę i kraje bałtyckie

Irak wysłał nawet specjalny samolot, by ewakuować ponad 200 swoich obywateli, którzy utknęli na Białorusi.

Problem jednak nie został załatwiony, a Białoruś zaczęła ściągać migrantów przybywających również z Turcji – i to nie tylko Irakijczyków, lecz także cały przekrój narodowości: od Syryjczyków do imigrantów z Afryki.

Turcja akurat swoich obywateli chętnie by wzięła z powrotem, gdyż ci przeważnie są prawdziwymi uchodźcami uciekającymi przed represjami Erdoganowskiego reżimu. Od kliku lat wzrasta liczba wniosków o status uchodźcy, składanych w Polsce przez obywateli Turcji, a także liczba pozytywnych decyzji. W 2019 r. 124 obywateli tego państwa złożyło w Polsce wnioski o status uchodźcy i była to trzecia najliczniejsza pod tym względem grupa. W tym samym roku pozytywnie rozpatrzono 49 wniosków. W 2020 r. złożono 74 wnioski i wydano 85 pozytywnych decyzji (dotyczyły bowiem też wniosków z poprzedniego roku). W tym roku 53 obywateli Turcji złożyło wnioski, a 35 otrzymało już pozytywne decyzje. Większość obywateli Turcji starających się o status uchodźcy nie szturmuje jednak nielegalnie granicy, lecz składa wnioski na lotnisku w Warszawie.

Z całą pewnością jednak ani Turcja, ani żaden inny kraj nie będzie chciał wziąć z powrotem Afgańczyków, których liczba wśród osób nielegalnie usiłujących przekroczyć polską granicę już od pewnego czasu rosła.

AFGAŃSKI SZTURM

W 2019 r. 12 Afgańczyków próbowało nielegalnie dostać się do Polski przez granicę ukraińską, a 40 przez słowacką, na granicy białoruskiej nie zatrzymano wówczas nikogo tej narodowości. Rok później Afgańczycy stanowili już jednak czwartą grupę wśród nielegalnych imigrantów. Polską granicę starało się wówczas przekroczyć aż 158 obywateli tego kraju, głównie ze Słowacji (110 osób) i Białorusi (23 osoby). W pierwszej połowie 2021 r. Afganistan wciąż był na czwartym miejscu z 156 udaremnionymi próbami nielegalnego przekroczenia granicy (a zatem liczba ta uległą podwojeniu), przy czym 59 osób szło z kierunku białoruskiego, a 95 z Czech i ze Słowacji. Znacznie wzrosła też liczba wniosków Afgańczyków o status uchodźcy: w 2019 r. było to 62, w 2020 r. – 120, a od początku tego roku przyjęto ich aż 314. Na razie niewielu jednak uzyskało decyzję pozytywną, w tym o ochronie uzupełniającej. Od początku 2019 r. taką decyzję otrzymało 38 Afgańczyków (oczywiście wkrótce ulegnie to zmianie, gdy status uchodźcy uzyska kilkuset Afgańczyków ewakuowanych przez Polskę samolotami z Kabulu).

W ubiegłych latach najwięcej ujętych nielegalnych imigrantów było na granicy z Ukrainą – w 2019 r. ponad tysiąc, a w 2020 r. – ponad 1,5 tys. W przypadku Białorusi w 2019 r. było to 189, a w 2020 r. – 222, natomiast w pierwszym półroczu już 199, a więc liczba ta uległa podwojeniu.

9 sierpnia Straż Graniczna wydała komunikat, że tylko w ciągu czterech dni zatrzymała na białoruskiej granicy aż 349 nielegalnych imigrantów, głównie Afgańczyków i Irakijczyków.

Do tej pory Afgańczycy migrowali do Polski raczej z południa, kierując się przez Iran, Turcję i południową Europę. Ta sytuacja jednak zaczyna ulegać zmianie, przy czym część może być transportowana przez reżim Łukaszenki z Turcji na Białoruś. Turcja oczywiście jest w pełni świadoma, że odbywa się to w ramach specjalnej operacji. Istnieje jednak też zagrożenie, że uruchomiony zostanie drugi kanał przerzutowy. Znaczna cześć Afgańczyków to bowiem Tadżycy i w mniejszym stopniu Uzbecy, a z Duszanbe czy z Taszkientu bardzo łatwo dostać się do Mińska, Moskwy czy Petersburga. Wszak to były ZSRS, a dziś wszystkie te państwa są w jednym sojuszu pod rosyjską egidą.

To początek problemów wynikających z ataku demograficznego Łukaszenki na Polskę i związanej z tym operacji psychologiczno-informacyjnej. Jej celem jest ukazanie Polski jako kraju rzekomo znęcającego się nad „uchodźcami", nieradzącego sobie z kontrolą granicy oraz aktywizacją skrajnych postaw w celu polaryzacji opinii publicznej. Łukaszenka odniósł tylko częściowy sukces. Polaryzacja społeczna nastąpiła, a część opinii publicznej utożsamia się białoruską propagandą. Nie udało się jednak napuścić UE na Polskę i kraje bałtyckie w tej sprawie. Państwa, które jeszcze kilka lat temu manifestowały filozofię „refugee wellcome", robiąc z każdego afrykańskiego migranta zarobkowego „uchodźcę" i piętnując jako „rasizm" czy „ksenofobię" i „brak wrażliwości na ludzką tragedię" każdego, kto kwestionował tę politykę otwartych drzwi, dziś zmieniły zdanie. Sześć państw UE, w tym Niemcy, zaapelowało na początku sierpnia do Komisji Europejskiej, by przymusowo odsyłać Afgańczyków do ich kraju. Prosto w ręce talibów (te same kraje kilka lat temu piętnowały Polskę, że nie chce w ramach poronionego mechanizmu relokacji przyjmować wątpliwych „uchodźców", choć płynącym do Włoch Afrykańczykom nic by nie groziło, gdyby po wyłowieniu u wybrzeża Libii byli odsyłani tam, a nie do Europy). Gdy nad Kabulem zapanowali już talibowie, te same państwa podpisały się pod apelem, by każdy Afgańczyk, który chce opuścić Afganistan, mógł to zrobić. Podpisała go również Polska. Problem w tym, że wyjeżdżając z jednego miejsca, trzeba udać się w inne, a kraje sąsiednie nie przyłączyły się do tego wezwania. Uzbekistan, Pakistan i Turkmenistan zamknęły granice. Pomoc na miejscu jest więc mocno wątpliwa, bo zostają objęte sankcjami Iran oraz Tadżykistan będący z kolei sojusznikiem Rosji. No i Białorusi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 21900df7cb

Wielka debata o przyszłości Europy.
Nadciąga XXX Forum Ekonomiczne w Karpaczu

Jedno z najważniejszych i najbardziej wyczekiwanych wydarzeń gospodarczych w Europie Środkowo-Wschodniej na dobre przenosi się z Krynicy do Karpacza. XXX Forum Ekonomiczne wystartuje już 7 września. Wśród gości będą m.in. politycy, liderzy biznesu, naukowcy z całego świata, a także przedstawiciele ONZ i WWF. O czym będą rozmawiać?

Międzynarodowe Forum Ekonomiczne, nazywane często „polskim Davos", w tym roku po raz drugi odbędzie się na Dolnym Śląsku – w Karpaczu. I – co ważne – będzie się już tam odbywać na stałe. Między 7 a 9 września do serca Karkonoszy przyjedzie ok. 4 tys. gości z całego świata, w tym czołowi politycy, naukowcy czy przedsiębiorcy z Europy, Azji, a także ze Stanów Zjednoczonych.

GOSPODARCZA PRZYSZŁOŚĆ PO PANDEMII

Hasłem tegorocznej edycji jest „Europa w poszukiwaniu przywództwa". Jak podkreślił Zygmunt Berdychowski, przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego, Unia Europejska stoi w przededniu ważnych wydarzeń. Są one związane z walką ze skutkami pandemii, w tym gospodarczymi, i wejściem w nową perspektywę finansową na lata 2021–2027. Do tego dochodzą szeroko zakrojone działania mające na celu ochronę klimatu.

Jest o czym debatować, wszak pandemia – czarny łabędź światowej gospodarki – mocno pokrzyżowała, a wręcz zdewastowała plany nie tylko przedsiębiorców, pracowników, lecz także rządów państw na całej kuli ziemskiej. Jak inflacja wpłynie na gospodarkę? Europejski Zielony Ład – co to oznacza dla Europejczyków? Europejska solidarność w obliczu kryzysu. Fakt czy fikcja? – to tylko niektóre tematy, z którymi zmierzą się uczestnicy XXX Forum Ekonomicznego w Karpaczu.

Wśród ścieżek programowych wydarzenia w Karpaczu, poza wiodącym obszarem gospodarczym, są Europa i świat, bezpieczeństwo czy dyskusje poświęcone sektorowi ochrony zdrowia. Zaplanowano także m.in. Forum Ukraińskie oraz Forum Idei. Tradycyjnie nie zabraknie tematów poświęconych europejskiej polityce. Jeden z paneli dyskusyjnych skupi się na zagadnieniu integracji europejskiej w obliczu doświadczeń ostatniego roku oraz postara się odpowiedzieć na pytanie, jak będzie wyglądać przyszłość Unii Europejskiej. Uczestnicy będą też rozmawiać o tym, jakie będą relacje Unii Europejskiej z Wielką Brytanią po brexicie.

Podczas trzydniowego wydarzenia odbędą się jednak nie tylko liczne panele w zróżnicowanych ścieżkach tematycznych, lecz także zostaną wręczone nagrody Forum Ekonomicznego w następujących kategoriach: Człowiek Roku, Firma Roku oraz Organizacja Pozarządowa Europy Środkowo-Wschodniej.

Partnerem głównym XXX Forum Ekonomicznego w Karpaczu jest Województwo Dolnośląskie, partnerami są m.in.: Karpacz, Hotel Gołębiewski, Szkoła Główna Handlowa czy Ministerstwo Spraw Zagranicznych. W ostatnich latach w wydarzeniu brało udział kilka tysięcy osób z kilkudziesięciu krajów, w tym najważniejsi polscy politycy, m.in. prezydent Andrzej Duda i premier Mateusz Morawiecki.

eprasa.pl 21900df7cb

Z Janem Krzysztofem Ardanowskim, przewodniczącym Rady ds. Rolnictwa i Obszarów Wiejskich przy Prezydencie RP, byłym ministrem rolnictwa
rozmawia Ryszard Gromadzki

Obawy rolników są uzasadnione

RYSZARD GROMADZKI: Czy wdrożenie unijnego Zielonego Ładu i pakietu „Fit for 55" pogrąży polskie rolnictwo? Mam na myśli nie tylko zniszczenie jego zdolności konkurencyjnej i bezpieczeństwa żywnościowego Polski, lecz także wyjątkowe dziedzictwo polskiej wsi.

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI: Polskie rolnictwo nie takie kryzysy przetrwało. Przetrwało komunę, przymusową kolektywizację i obowiązkowe dostawy. Pewnie w jakiejś części przetrwa też Europejski Zielony Ład, ale może wyjść z niego mocno osłabione. To jest ideologia lewicowa, oparta na całkowicie fałszywej tezie, że rolnictwo jest jakimś działem szkodliwym dla przyrody, klimatu i nowej gospodarki światowej. Jej promotorzy nie liczą się z konsekwencjami dla konsumentów, niedostatkiem żywności i wzrostem cen. To uderzy w rolników, ale też – trzeba to bardzo wyraźnie mówić – także w konsumentów europejskich. Ciekawe jest to, że Komisja Europejska, narzucając sposób myślenia w postaci pakietu „Fit for 55", zmusza kraje do ogromnych nakładów. Szacuje się, że wprowadzenie w życie unijnego pakietu do 2030 r. będzie kosztowało państwa członkowskie 1 bilion 100 miliardów euro. Za ideologię Zielonego Ładu w najbliższych latach tyle zapłacimy my wszyscy, mieszkańcy Unii Europejskiej. A konsekwencje dla unijnego rolnictwa będą dramatyczne. Wdrożenie spowoduje wyprowadzenie znacznej części produkcji rolnej poza Unię. Do krajów, które żadnymi unijnymi regulacjami się nie przejmują. W krajach Unii oznacza to upadek tysięcy gospodarstw. Ta fałszywa polityka podlana jest sosem ekologicznego fanatyzmu. Jej entuzjaści uważają, że rolnictwo szkodzi planecie i niszczy klimat, ale masowe zabijanie nienarodzonych dzieci już im nie przeszkadza.

Dlaczego polityka firmowana przez Fransa Timmermansa, ewidentnie szkodliwa dla rolnictwa państw członkowskich, szczególnie takich jak Polska, jest akceptowana przez polskiego komisarza ds. rolnictwa Janusza Wojciechowskiego? Zadziałała zasada: jeśli wejdziesz między wrony, musisz krakać jak i one...

Przyznam, że go nie rozumiem, choć znamy się wiele lat. Wojciechowski, mówiąc o Zielonym Ładzie, stwierdza, że jego skutkiem będzie spadek produkcji rolnej, za to żywność będzie lepsza, bo rolnictwo wróci do swoich korzeni, czyli krówki w każdym gospodarstwie, koni i drabiniastego wozu. Dla mnie trąci to infantylizmem. Nie ma już powrotu do sielskiej wsi, którą sam dobrze znam, bo na niej się wychowywałem. Pamiętam dobrze drabiniaste wozy i kosy, którymi kosiło się trawy na trudniej dostępnych łąkach, a jak „nie szło" wjechać żniwiarką, to tak zbierało się i zboże. Ale takie rolnictwo jest dziś tylko dla hobbystów.

Często słyszymy z ust polityków, jak bardzo zależy im na małych rodzinnych

eprasa.pl 21900df7cb

FOT. ANNA ABAKO/EAST NEWS

gospodarstwach. Mnie też, może bardziej niż politykom „z miasta" niezwiązanym z wsią. Jako minister rolnictwa robiłem wszystko, żeby poprawić ich sytuację. Ale prawda jest taka, że skutkiem Zielonego Ładu będzie zniknięcie większości z nich, bo nie mają środków na nowe, niezbędne inwestycje. Już dziś, żeby utrzymać takie kilkuhektarowe gospodarstwa, ich właściciele podejmują się innych prac. Ale jeszcze bardziej dotkliwym skutkiem Zielonego Ładu będzie upadek dużych gospodarstw. Nie myślę tu o latyfundiach po kilka tysięcy hektarów, które powstały w wyniku patologii polskiej transformacji, ale o gospodarstwach najczęściej o areale po kilkadziesiąt czy 100 hektarów. A przecież to one decydują o płynności obrotu na rynku rolnym.

Jak polscy rolnicy mogą skutecznie przetrwać to ideologiczne szaleństwo?

Polskie rolnictwo ma wiele atutów. Dysponujemy pokaźnym na skalę europejską areałem ziemi ornej. Może nie są to gleby najwyższej klasy, nie umiemy gospodarować wodą, ale przy stosunkowo przyjaznym klimacie pozwalają na dobre zbiory, zapewnienie Polsce samowystarczalności i bezpieczeństwa żywnościowego. W naszym rolnictwie jest coraz więcej innowacji, m.in. w postaci precyzyjnego nawożenia, mapowania gleb, biologizacji zamiast totalnej chemizacji, integrowanej ochrony roślin, wykorzystywania danych z satelitów i dronów. Jednak to wszystko wymaga nakładów. Polscy rolnicy muszą mieć pieniądze i pewność zwrotu takich inwestycji. Zielony Ład w części odnoszącej się do rolnictwa takiej pewności nie daje.

Europejski Zielony Ład to zmora przyszłości dla naszego rolnictwa. Teraz wielu rolników zmaga się z inną zmorą w postaci afrykańskiego pomoru świń. W co drugiej miejscowości w Wielkopolsce czy w Łódzkiem przy nazwach miejscowości umieszczone są tablice informujące o ASF. To zniszczy hodowców trzody chlewnej?

To się już dzieje. Afrykański pomór świń to choroba, która nie przenosi się na ludzi i nie szkodzi im. Ale jest roznoszona przez dziki i powoduje, że hodowla świń w Polsce staje się całkowicie nieopłacalna. Boleję nad tym, bo będąc jeszcze ministrem rolnictwa, przeprowadziłem ustawę, nazwaną „lex Ardanowski", która pozwalała skutecznie zwalczyć tę plagę. Niestety, zapisane tam rozwiązania nie zostały skutecznie wprowadzone w życie. Chodzi przede wszystkim o kluczową kwestię, jaką jest masowy odstrzał dzików.

Chodzi o obstrukcję Polskiego Związku Łowieckiego?

Dokładnie tak. Polski Związek Łowiecki nie wypełnia w tej sprawie swojej statutowej roli. Nie wiem, w jakim stopniu ten stan rzeczy spowodowany jest PRL-owskim rodowodem tej organizacji, nie ujmując niczego wielu uczciwym myśliwym, którzy gotowi są włączyć się do odstrzału dzików. Ale struktury PZŁ blokują to. Efekt jest taki, że pomór rozlał się po kraju, a rolnicy zwijają hodowle. Oczywiście na całej tej sytuacji korzystają różni cwaniacy, którzy skupują żywiec po jakichś psich cenach. Tymczasem bez odstrzału dzików do określonego przez Unię poziomu tej zarazy się nie zatrzyma. Duńczycy ogłosili ostatnio, że odstrzelili ostatniego dzika na swoim terenie, a od Niemiec odgrodzili się szczelnym płotem, żeby jakiś kolejny dzik nie przywlókł tam znów zarazy. Zrobili to, bo chcą skutecznie chronić swoją branżę mięsną, strategiczną dla gospodarki. Innej drogi nie ma.

Zielony Ład, afrykański pomór świń... Wygląda na to, że perspektywy dla polskiego rolnictwa chyba nie rysują się najlepiej. Jakie nastroje panują teraz na wsi?

Bardzo złe. Wieś, rolnicy czują się pozostawieni sami sobie. Pomyśleć, że jeszcze podczas ubiegłorocznych dożynek politycy PiS byli wszędzie w Polsce noszeni na rękach. Ale to się zmieniło. Jeśli Prawo i Sprawiedliwość się nie obudzi i nie zrewiduje swojego podejścia do rolników, do spraw ważnych dla polskiej wsi, to straci jej głosy bezpowrotnie. Pamiętajmy, że zwycięstwa w wyborach parlamentarnych w 2019 r. i prezydenckich rok temu zapewniły PiS głosy polskiej wsi. Teraz w tę przestrzeń mogą wejść inne siły. I nie mówię tu o Platformie. Ona nie ma na wsi czego szukać. To mogą być Konfederacja albo populiści, tacy jak Michał Kołodziejczak, który nie ukrywa swoich politycznych ambicji. Agrounia ma być partią polityczną, a sam Kołodziejczak chce być nowym Lepperem. Choć niezależnie od politycznych ambicji Michała Kołodziejczaka i innych działaczy organizujących protesty przyczyny ekonomiczne i obawy co do przyszłości rolnictwa, które powodują wyjście rolników na drogi, są uzasadnione.

> **Ta fałszywa polityka podlana jest sosem ekologicznego fanatyzmu. Jej entuzjaści uważają, że rolnictwo szkodzi planecie**

Tej jesieni czeka nas festiwal rolniczych protestów?

To prawdopodobny scenariusz. Kołodziejczak mówi wprost, że chce obalić tę władzę. Nie kryje, że będzie wspierał wszystkich, którzy będą się buntować przeciwko rządom PiS. Dla rządzących, mówię to ze smutkiem, bo jestem w PiS od 20 lat, to naprawdę ostatni dzwonek, żeby wsłuchać się w głos rolników, mieszkańców polskiej wsi i zacząć mądrze bronić ich interesów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 21900df7cb

Pożegnanie z dobrobytem

Rafał A. Ziemkiewicz

Polska strategia polityczna nie wyszła po 1989 r. poza jedno proste hasło „powrotu do Europy". W komunikacji rządzących z rządzonymi sprowadzało się to do z jednej strony żądania, a z drugiej obietnicy, żeby było/że będzie „jak na Zachodzie"

Nie wszyscy rozumieli to tak samo. Dla warszawsko-krakowskich salonów „jak na Zachodzie" oznaczało przede wszystkim kopiowanie rozwiązań ustrojowych i politycznych. W miarę zaś, jak przekonywały się one, że społeczeństwo wcale nie chce poddawać się zabiegom wychowawczym światłych elit, że głosuje nie tak, jak powinno, i kreuje sobie „populistycznych" liderów, zaczęły one postrzegać Zachód jako siłę, która jedyna jest zdolna polską ciemnotę „ucywilizować". W ciążących ku lewicy elitach odżyło myślenie Tadeusza Krońskiego, który „kolbami sowieckich karabinów" chciał wybijać z głowy Polakom zacofanie – zmienił się tylko kierunek, z którego przyjść ma Nowy Wspaniały Świat.

Nadzieja ta była uzasadniona o tyle, że z kolei dla mas, wymęczonych PRL-owską biedą, kolejkami i bylejakością, „Zachód" oznaczał zwłaszcza dostatek i intensywną konsumpcję. Lewicowo-liberalni przywódcy „transformacji" powiązali więc swoje oczekiwania z oczekiwaniami „mas", planując sprzedaż wiązaną: Polacy dostaną hipermarkety, promocje, wczasy zagraniczne i wszystko, o czym marzą, ale w pakiecie z „równością małżeńską", „wolnością uzgadniania płci" etc. I nadal pozostaje ta wiara podstawą myślenia tworzących dziś „opozycję totalną" środowisk, które ze wszystkich sił starają się inspirować karcenie Polski przez wszelkie możliwe ośrodki zachodnie, ale zwłaszcza przez UE i straszyć Polaków „wyrzuceniem z Europy", by lęk przed utratą widoków na zachodni dostatek zmusił Polaków do uległości.

Pomijając inne zastrzeżenia, jakie mieć można do strategii opartej na szukaniu przez „oświeconych" Polaków pomocy przeciw Polakom „nieoświeconym" za granicą, coraz bardziej okazuje się kłamstwem owo podstawowe założenie: jakoby w zamian za poddanie się „cywilizującym" zabiegom UE, i w mniejszym stopniu innych gremiów Zachodu, czekał nas dobrobyt. Pobieżne choćby przyjrzenie się planom zachodnich mocarstw i elit Unii pokazuje, że ma być zupełnie inaczej: zależność polityczna, w którą wiodą nas „Europejczycy polskiego pochodzenia", posłużyć ma – jak każda kolonizacja w dziejach – brutalnemu złupieniu Polski przez państwa silniejsze z naszych zasobów i owoców pracy.

Jeśli ktoś nie zauważył tego wcześniej, to program „Fit for 55" Komisji Europejskiej, którego nawet częściowa realizacja oznacza pozbawienie Polski suwerenności energetycznej, drastyczną podwyżkę wszystkich cen i upadek odnoszących największe sukcesy gałęzi polskiej gospodarki, powinien ostatecznie rozwiać co do tego wątpliwości.

RACHUNKU!

Od lat zadaję pytanie o bilans kosztów i zysków naszego członkostwa w Unii. Zawsze słyszę jedną odpowiedź: nikt nigdy nie próbował tego policzyć. Czy państwa to nie szokuje? Ani przed złożeniem wniosku o akcesję do UE, ani po niej przez wszystkie te lata żaden z rządów, żadna z partii (które przyznały sobie budżetowe dotacje argumentem, że musi je być stać na prace eksperckie) w ogóle nie pomyślały o tym, żeby zebrać zespół specjalistów i zanalizować, jak konkretnie przekłada się członkostwo w Unii na nasz PKB i dochody ludności. Ile zyskaliśmy na dostępie do europejskich rynków, a ile straciliśmy wskutek bankructw rodzimych firm po otwarciu rynku dla krajów UE? Jaka część z inwestycji wspieranych unijnymi subwencjami generuje zyski, a jaka straty? Jakie są finansowe skutki implementowania unijnego prawa? Jak wpłynęła na nasz PKB utrata kilku milionów młodych, przeważnie najbardziej aktywnych obywateli, którzy przenieśli się na stałe do innych krajów UE i tam już, a nie w Polsce, urodzili dzieci?

Trzeba by tu uwzględnić także miliardy wyprowadzane spod polskiego opodatkowania, co możliwe jest dzięki unijnym regulacjom i stworzeniu europejskiego „raju podatkowego" w Luksemburgu (jego twórca nie przypadkiem został potem przewodniczącym Komisji Europejskiej), a nawet część unijnych subwencji, które, paradoksalnie, zatrzymały Polskę w rozwoju, umożliwiając w miarę bezbolesne dla wyborców podtrzymywanie patologii postkomunistycznego państwa.

Oczywiście to rachunek skomplikowany, ale możliwy do wykonania. Gdy pytałem dlaczego, nikt nawet nie próbował odpowiadać, w najlepszym wypadku odpowiedź brzmiała: nie ma po co liczyć, UE to wielki projekt cywilizacyjny, być w Europie to nasza historyczna konieczność, być albo nie być, a nie jakieś przyziemne kupiectwo. Najczęściej zaś reakcją były tanie szyderstwa z rzekomego polskiego „nadęcia", podejrzliwości i urojeń, jakobyśmy mieli cokolwiek, co wszyscy chcieliby ukraść, podczas gdy w istocie jesteśmy „zadufanym w sobie prowincjonalnym kraikiem", jak ujął to jeden z prominentnych publicystów „Gazety Wyborczej".

Niestety, myślenie naszych elit – i to nie tylko lewicowo-liberalnych – uwarunkowane jest głębokim, kolonialnym kompleksem niższości, który doskonale wyraził nasz były szef dyplomacji, Władysław Bartoszewski, porównując Polskę do „brzydkiej panny bez posagu" – a jeszcze lepiej jeden z jego następców prostackim powiedzonkiem o „robieniu łaski". W istocie, wbrew kurtuazyjnym frazesom, od początku traktowani byliśmy przez kraje zachodnie jako „junior partner", kraj, który dopuszczono do klubu lepszych i który powinien „znać mores". Polskie sukcesy gospodarcze od początku budziły zdziwienie – i właściwie jest tak do dziś. Ilekroć w prasie europejskiej ukazuje się artykuł o gospodarczych sukcesach

eprasa.pl 21900df7cb

Polaków, między wierszami nietrudno znaleźć zdumienie: „Jak to, dzikusy potrafią?". Badania pokazały, że myślenie przeciętnego Europejczyka o mieszkańcach Europy Środkowej nacechowane jest swoistym „eurorasizmem". Otwarcie rynków Niemiec czy Francuz rozumie tak, że Polak będzie zbierać mu szparagi, a Polka opiekować się jego babcią – ale nie tak, że Polak może zostać jego szefem. Już u zarania naszej obecności w Unii sławny stał się francuski lęk przed „polskim hydraulikiem" – spryt, obrotność Polaka, wyćwiczone przez dziesięciolecia radzenie sobie w „realnym socjalizmie" uczyniły z niego niespodziewanie groźnego konkurenta. Mimo oczywistej nierówności szans Polacy, rzuceni na głęboką wodę, zaczęli w konkurencji na wspólnym europejskim rynku odnosić sukcesy – np. opanowując rynek przewozów i pewne działy przetwórstwa żywności. Efektem było stworzenie eurodyrektywy „o pracownikach delegowanych" i regulacji wymierzonych w zakaz na terenie UE hodowli zwierząt na futra czy chowu klatkowego drobiu. W teorii wspólnota zaoferowała nam twarde, ale uczciwe warunki wolnej konkurencji – w praktyce robi wszystko, aby wolny rynek działał tylko w tych obszarach, w których Polacy są na przegranej pozycji. Tam, gdzie wygrywają, natychmiast okazuje się, że daną dziedzinę trzeba „uregulować". Unijna biurokracja od zawsze działa tak, by uprzywilejowywać silniejszych, zachodnich graczy przeciw słabszym podmiotom ze wschodu – wszak jej los zależy od zadowolenia zachodnich sponsorów i wyborców, których w czasie najbardziej nasilonych transferów unijnych środków na wschód niemieccy eksperci otwarcie uspakajali, że z każdego euro przekazywanych subwencji co najmniej 85 centów wraca na Zachód.

ZMIANA PARADYGMATU

Tak było jeszcze w „dawnej" Unii, tej, do której wchodziliśmy. Od momentu, gdy w kuluarowych rozmowach między eurokratami, managementem wielkich koncernów i politykami kilku unijnych mocarstw zapadła decyzja o „pogłębieniu integracji", czyli pozatraktatowym przekształceniu organizacji międzynarodowej w europejskie superpaństwo, mamy do czynienia z inną UE. Wobec nas znacznie bardziej drapieżną.

Po części wynika to także ze światowej dekoniunktury. Dopóki globalna gospodarka rosła i panował nastrój beztroskiej konsumpcji, dopóty unijne centrum się bogaciło, ale bogaciły się także peryferia. Kulminacja kryzysów drugiej dekady XXI w. spowodowała jednak, że Europa biednieje i podupada. A kiedy coś tak skonstruowanego jak wspólnota europejska biednieje, to kraje bogate i silne starają się podtrzymać swój poziom życia kosztem biedniejszych i słabszych. Dla tych drugich oznacza to co najmniej zatrzymanie rozwoju i wieczną podrzędność względem tych pierwszych.

Dobrym przykładem jest sprawa chowu klatkowego. Drobiarstwo – podobnie jak futrzarstwo lub eksport wołowiny halal i koszernej – jest jedną z dziedzin, w których Polska stała się w ostatnich latach unijnym liderem. Co dziewiąte jajko sprzedawane w unijnych marketach pochodzi już z Polski. Tymczasem UE – pod pozorem walki o imponderabilia – zakazuje ferm drobiowych, jednym zarządzeniem niszcząc naszą przodującą branżę (warto zwrócić tu uwagę na zachowanie polskiego, PiS-owskiego komisarza ds. rolnictwa – ani odrobinę nie mniej „targowickie" niż to, o co PiS oskarża polityków PO). Istota sprawy jest w tym, że Unia zakazuje produkcji, ale bynajmniej nie sprzedaży „klatkowych" kur i jajek. Mogą one dalej wypełniać najniższe półki w europejskich marketach, byle tylko nie były z Polski. A skąd? „Przypadkiem" wzmożenie w obronie dobrostanu europejskich kur zbiegło się w czasie z podpisaniem długo negocjowanej umowy z Mercosur, organizacją gospodarczą Ameryki Południowej, która do sprzedania Europie ma praktycznie tylko tanie produkty rolne. Aby Ameryka Łacińska otworzyła się na produkty przemysłowe zachodniej Europy, ta otworzyła rynek na jej rolnictwo kosztem Polski. Której nie ma co żałować, bo jest przecież homofobiczna i nacjonalistyczna. Myli się, kto kampanię psucia Polsce dobrego imienia – w której tak ochoczo uczestniczą „pożyteczni idioci" z polskiej opozycji, sądząc, podobnie jak myśleli targowiczanie, że walczą o to, „żeby znowu było, jak było" – widzi w oderwaniu od tych działań. Nie było w dziejach kolonizacji bez stworzenia poczucia moralnej wyższości i ideologicznej „podkładki". Nauczenie Polaków i reszty środkowej Europy „europejskich wartości" to nowa maska dla „misji białego człowieka", w której imię kraje zachodniej Europy przyznały sobie prawo obrabowania w poprzednich wiekach pozostałych kontynentów.

Kwintesencją kolonialnego podejścia Berlina i Brukseli do Polski jest plan „Fit for 55". W imię absurdalnego zaostrzenia „celów klimatycznych", pierwotnie przewidywanych na rok 2050, w istocie niemogącego mieć wpływu na globalną emisję CO_2, gdyż tę jedynie wypycha się do innych krajów, głównie azjatyckich, mamy tu do czynienia z planem gigantycznego transferu ze wschodu na Zachód. Sam Frans Timmermans nie ukrywał nawet, że w istocie celem programu jest inżynieria społeczna na wielką skalę: stworzenie nowego europejskiego społeczeństwa. Tak wielki cel wymaga wyrzeczeń, musi skutkować obniżeniem poziomu życia, wzrostem cen i zmniejszeniem dostępności towarów.

To, co dziś uważane jest za oczywiste, w ciągu najbliższych lat ma się według planu KE stać luksusem. Plan jest tak pomyślany, aby kosztami transformacji obciążyć unijne peryferia, a zyski z niej zapewnić krajom najbardziej rozwiniętym, jako właścicielom „zielonych" technologii. System handlu limitami emisji CO_2, ich ciągłym ograniczaniem i podrażaniem, wymusza przekazywanie przez Polskę i inne uboższe kraje nieproporcjonalnie wielkiej części PKB na rzecz bogatych. Przy okazji objęcie limitami transportu i budownictwa całkowicie je zniszczy, zniszczony zostanie też np. polski przemysł meblarski, w którym również pozwoliliśmy sobie wygrać walkę konkurencyjną z Zachodem.

Skutkiem planu jest też pozbawienie Polski niezależności energetycznej. Tu najlepiej widać kłamstwo rzekomych szlachetnych motywacji. Gdyby zakaz energetyki węglowej istotnie miał służyć „ratowaniu planety", należałoby zastąpić ją energetyką jądrową, jedyną ekologicznie czystą i bezemisyjną. Tymczasem KE w miejsce polskiego węgla narzuca nam rosyjski gaz, dystrybuowany przez Niemcy, albo produkowany według niemieckiej technologii wodór, jedno i drugie będące źródłem niewiele mniejszej emisji. Miejsc, gdzie mamy zostać orżnięci na miliardy i zatrzymani w cywilizacyjnym rozwoju, jest dużo więcej. Na ich wskazywanie eurokraci odpowiadają: przecież ta bolesna, ale konieczna reforma, zostanie wam zrekompensowana. Istota sprawy w tym, że rekompensaty będą liczone w setkach milionów, a straty w dziesiątkach miliardów. Ale miliardy zapłacić mają „zwykli Polacy" – a miliony trafić do elit. Dlatego z ich strony już rozlega się kapitulancki przekaz: „Rozumiemy dziejową konieczność, tylko dostosujcie koszty do naszych możliwości". Ten przekaz, bez względu na to, kto go głosi, należy całkowicie odrzucić – wraz z paradygmatem postrzegania UE i, szerzej, Zachodu jako siły bezinteresownie niosącej nam wolność, dobrobyt i rozwój. Stał się on bowiem definitywnie siłą działającą dokładnie przeciwnie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 21900df7cb

Kamila Baranowska

Szorstka lojalność

Im bardziej Rafał Trzaskowski zapewnia o swojej lojalności wobec Donalda Tuska, tym bardziej można przypuszczać, że nie powiedział jeszcze ostatniego słowa w walce o przywództwo na opozycji

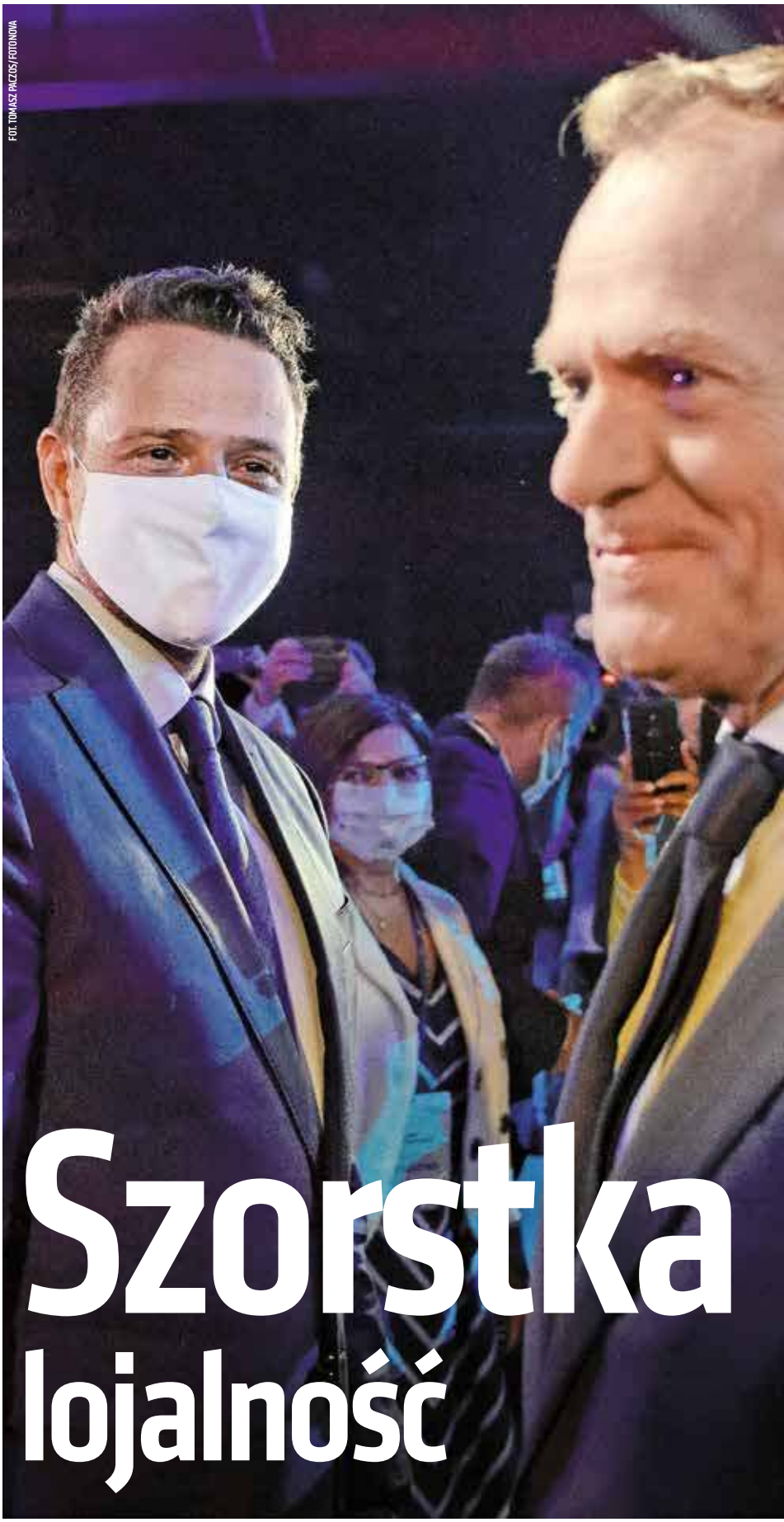

FOT. TOMASZ PALCIOS/FOTONOVA

Campus Polska Przyszłości miał być wydarzeniem politycznym numer jeden tej jesieni. Wątpliwe, że tak się stanie. Raz, że plany pokrzyżował Trzaskowskiemu powrót Donalda Tuska, a dwa – że dziś debata publiczna skupia się głównie na tym, co się dzieje na granicy polsko-białoruskiej. Rozpoczynający się 27 sierpnia w Olsztynie polityczny event prezydenta Warszawy zszedł nawet nie na drugi, lecz na piąty czy dziesiąty plan.

A jeszcze w maju Trzaskowski przekonywał, że oto przygotował „wydarzenie bez precedensu w Polsce i w Europie". – Największe tego typu wydarzenie, zapraszamy tysiąc młodych osób do Olsztyna, gdzie będziemy dyskutować o wyzwaniach przyszłości, gdzie będzie możliwość spotkania się z autorytetami ze świata polityki, kultury, biznesu i sportu – zachwalał. – Campus Polska Przyszłości to projekt, który przede wszystkim ma zmienić myślenie o polityce, posłuchać młodego pokolenia, podjąć te najważniejsze wyzwania przed nami – mówił.

ROZTRWONIONY KAPITAŁ

Rafałowi Trzaskowskiemu jeszcze bardziej niż na zmianie myślenia o polityce zależy dziś chyba na zmianie myślenia o nim samym jako poważnym polityku, który cały czas jest w grze o najwyższą stawkę. Bo od czasu wyborów prezydenckich, w których mimo przegranej odniósł ogromny sukces, dostając 10 mln głosów, Trzaskowski zrobił wiele, by ów kapitał polityczny roztrwonić. Tuż po wyborach miał swoją życiową szansę, by stać się prawdziwym liderem i stanąć na czele opozycji, bo takie były wobec niego oczekiwania jego własnego środowiska. Zamiast tego pojechał na wakacje. A potem zapadła wokół niego cisza. Niby coś tam zapowiedział, ale bez konkretów, bez energii i bez pomysłu.

Komentatorzy piłkarscy często używają sformułowania, że niewykorzystane

eprasa.pl 21900df7cb

sytuacje lubią się mścić. W polityce jest podobnie. Kiedy w końcu po czterech miesiącach Trzaskowski zapowiedział powstanie Ruchu Wspólna Polska, efektu „wow" nie było. Zresztą najlepiej podsumował to w zbyt szczerym wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" Borys Budka, ówczesny przewodniczący Platformy. – To było pod wpływem emocji. Rzuciliśmy hasło i potem trzeba się było tłumaczyć. Taki jest kalendarz wyborczy, że wybory mamy dopiero za trzy lata. Nie da się utrzymać aktywności kampanijnej przez tak długi okres – wyznał, zapytany o nowy ruch Trzaskowskiego. Prawda jest jednak taka, że budowa nowej inicjatywy prezydenta Warszawy była Budce bardzo nie na rękę, dlatego skutecznie ją torpedował, choćby namawiając Trzaskowskiego do deklaracji, że nowy ruch powstaje nie w kontrze, ale we współpracy z Platformą, a on nadal będzie pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Platformy. Co od razu postawiło pod znakiem zapytania wiarygodność nowego ruchu, który był reklamowany jako niepartyjny.

DRUGA SZANSA?

Dziś pewne jest jedno – Trzaskowski przespał swoją wielką szansę. Czy będzie miał drugą? Trudno przewidzieć. Donald Tusk w jednym z wywiadów (dla „Tygodnika Powszechnego" w 2012 r.) wypowiedział często cytowane słowa o tym, że „władzę w partii ma zawsze ten, kto ją sobie bierze, a nie ten, kto ją dostał". Tak też zrobił on sam, gdy niedawno postanowił wrócić do polskiej polityki. Nie chciał być żadnym patronem opozycji, chciał mieć realną władzę i wpływ na największą partię opozycyjną, która znajdowała się w kryzysie. Wziął więc sobie władzę, której wcześniej nie chciał wziąć Trzaskowski, a która coraz mocniej i wyraźniej męczyła Budkę. Prezydent Warszawy zaś zaczął zachowywać się jak pies ogrodnika. Sam stanąć na czele opozycji po wyborach prezydenckich nie chciał, ale gdy realna stała się perspektywa powrotu Tuska, nagle stwierdził, że jednak może chciałby o Platformę i o pozycję lidera opozycji zawalczyć.

Warto przypomnieć, że podczas wstępnych rozmów w gronie kierownictwa partii Trzaskowski był przeciwnikiem powrotu Tuska na stanowisko przewodniczącego, nawet w formule pełniącego obowiązki.

Prezydent Warszawy optował za tym, by przeprowadzić formalne wybory nowego szefa partii, dając do zrozumienia, że być może sam też w nich wystartuje. Tusk nie chciał ryzykować, a politycy Platformy przekonali Trzaskowskiego, że fundowanie telenoweli pt. „Wybory w partii" zaprzepaściłoby cały efekt, który miał przynieść (i, jak pokazały pierwsze sondaże, przyniósł) powrót Tuska.

Trzaskowski uległ, o czym mówi dziś dość otwarcie. – Kiedy Donald Tusk zdecydował się na powrót, powiedziałem, że trzeba zrobić w partii wybory i te wszystkie pytania zadać. Ale koleżanki i koledzy powiedzieli „nie". Uznali, że najpierw trzeba wzmocnić PO, że nie czas na debatę. Jestem politykiem racjonalnym i zaakceptowałem tę strategię, ale na te wszystkie pytania [odnośnie do tego, jaka w przyszłości ma być rola Tuska – przyp. red.] będziemy sobie musieli odpowiedzieć. Tusk preferuje twardy model przywództwa, ale on wie – i my wiemy – że on potrzebuje wsparcia, a my gry zespołowej – powiedział w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej". Podkreślał też wielokrotnie w wielu swoich publicznych wypowiedziach, że jest gotów do współpracy, ale „na zasadach partnerskich".

Podczas Rady Krajowej PO, na której Tusk wystąpił już w roli nowego lidera, media odnotowały nietęgie miny Trzaskowskiego i jego najbliższych współpracowników. Parę dni później w TVN24 Trzaskowski przyznał, że nie wystąpił na scenie, bo nikt go o przemówienie nie poprosił. – To było święto Donalda Tuska – skwitował.

NOWA STRATEGIA

To był jednak chwilowy pokaz emocji. Później Trzaskowski wyraźnie przyjął strategię „polityki miłości" wobec Tuska, w każdym wywiadzie gorliwie zapewniając o swojej chęci współpracy, lojalności i o tym, że aby wygrać z PiS, Platforma musi być zjednoczona, a nie skłócona.

– Jestem tego typu człowiekiem, który po pierwsze zawsze patrzy na rzeczywistość i widzi szklankę w połowie pełną, a po drugie zawsze patrzę w przyszłość. Dzisiaj jest tak, że Platforma Obywatelska, moja macierzysta partia, jest silniejsza, bo wrócił Donald Tusk. Wszystkie reflektory są na nas, idziemy w górę w sondażach. Opozycja jest silniejsza. To czym tutaj się martwić? Jestem bardzo zadowolony z tej rzeczywistości – podkreślał w Polsat News. I przekonywał, że nigdy nie chciał z Platformy odchodzić. – Nigdy nie było takich planów. Ja zawsze mówiłem jasno – bez Platformy Obywatelskiej nie wygramy wyborów, natomiast mówiłem też, że Platforma Obywatelska powinna się otwierać, przyjmować nowych ludzi, że trzeba zagospodarować tę energię, która była w kampanii wyborczej, która nie była energią czysto odpowiadającą na zapotrzebowania partyjne, i dalej to zamierzam robić – dodawał Trzaskowski.

Nawet prowokowany przez swoich partyjnych kolegów nie dał się zbić z tropu. Sławomir Neumann na jednym ze spotkań z wyborcami powiedział publicznie, że budowa przez Trzaskowskiego nowego ruchu „od początku była błędem", bo „powodowała, że część naszych ludzi zastanawiała się, gdzie być: czy w Platformie, czy w nowym ruchu, a może u Hołowni?". Trzaskowski odpowiedział na to dość dyplomatycznie: – W polityce, jak w życiu, każdy sobie wystawia sam świadectwo. Po co mówić źle o swoich koleżankach i kolegach? Platforma musi być silna. Naprawdę jestem przekonany, że Donald Tusk wzmacnia Platformę Obywatelską i opozycję.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że im mocniej Trzaskowski zapewnia publicznie o swojej lojalności i chęci współpracy, tym bardziej można przypuszczać, że czeka na swoją drugą polityczną szansę. Liczy na to, że efekt Tuska się wypali, zwłaszcza że już po pierwszych tygodniach widać, że nowy-stary przewodniczący przekonuje głównie już przekonanych. Na jego spotkaniach nie ma młodych ludzi, nie ma tych, do których swój przekaz – choćby za pomocą Campusu Polska Przyszłości – kieruje dziś Trzaskowski. Tusk jednak nie jest i nie będzie łatwym przeciwnikiem. Jak donosi „Gazeta Wyborcza", jesienią mają się w PO odbyć powszechne wybory przewodniczącego. Tusk nie chce być pełniącym obowiązki, lecz pełnoprawnym, legalnie wybranym szefem partii z mocną legitymacją. Czy Trzaskowski stanie z nim w szranki? Mało prawdopodobne, bo dziś zapewne taką rywalizację by przegrał. Poza tym wcale nie musi tego robić, może spokojnie poczekać na lepszy dla siebie polityczny moment.

Do tej pory na przeszkodzie Trzaskowskiemu stał głównie sam Trzaskowski i jego niechęć do ciężkiej pracy oraz wytykany mu często brak woli walki i polityczne wygodnictwo, jakie gwarantowały mu kolejne sprawowane funkcje: ministra, wiceministra, europosła czy teraz włodarza stolicy. A bez woli walki i ciężkiej pracy nie da się zbudować pozycji lidera. Pytanie, czy prezydent Warszawy już to wie i czy jest gotowy stanąć do ostrej walki, gdy Tuskowi powinie się noga?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 21900df7cb

Przywracanie opinii katolickiej

Marsz dla Życia i Rodziny w Warszawie, 20 września 2020 r.
FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

Tomasz Rowiński

Takich książek o polityce prawie się nie pisze, a już z pewnością nie pisze się ich w Polsce. „100 godzin samotności albo rewolucja październikowa nad Wisłą" Marka Jurka to kronika wydarzeń, która układa się w wykład myślenia o polityce

To książka, która nie pozostawi spokojnym żadnego z partyjnych wyznawców. Krótkie rozdziały naświetlające konkretne aspekty wydarzeń lub słowa uczestników życia publicznego pod piórem autora stają się małymi traktatami poświęconymi zasadom życia publicznego. Znajdziemy je w szerokim kontekście filozofii polityki, nie zawsze jasnych reguł życia publicznego, sprzeczności między deklarowanymi poglądami bądź obowiązkami, jakie wiążą się z zajmowanymi stanowiskami, a realnymi działaniami.

Czy książka Marka Jurka rzeczywiście skupia się, niczym polityczny dziennik, na wydarzeniach sprowokowanych jesienią 2020 r. przez „antykonstytucyjny Ruch Wypierdalaj"? Z pewnością nie, choć każdy rozpozna czasową, przestrzenną i personalną topografię tych dni. Autor w różnych miejscach książki daje nam zresztą wskazówki co do swojej metodologii. „Medioznawcy twierdzą, że opinia publiczna ujawnia swój charakter, swoje wartości i zasadnicze żądania poprzez mechanizm »afery« i »skandalu«. W ten sposób dokonuje się zakreślenie ram i warunków brzegowych życia publicznego. I w ten sposób bezpośrednio uświadamia się władzy jej oczywiste obowiązki". Niewątpliwie manifestacje, które przetoczyły się przez kraj po uznaniu przez Trybunał Konstytucyjny aborcyjnej przesłanki eugenicznej za niezgodną z polską ustawą zasadniczą, były „aferą" i „skandalem". Można sądzić, że możliwość obserwacji kryzysu politycznego okazała się dla autora szansą opisania, jak „dokonuje się zakreślenie ram i warunków brzegowych życia publicznego", a także jakie – nieoczywiste na co dzień – zasady myślenia i działania poruszają zarówno siły rządowe, jak i opozycję.

Do metodologii książki należy też proste przypominanie faktów: obowiązujących praw i zachowań osób publicznych – tych wszystkich drobnych elementów tworzących dobrą lub złą politykę. Dlaczego jest to tak ważne? Ponieważ w nich zawarta jest prawda o stosowanych doktrynach i zakładanych celach – tak często dalekich od deklarowanych wyborcom założeń. „Postrepublikańska demokracja medialno-masowa" – tak nazywa naszą rzeczywistość autor – powoduje, że „społeczeństwa są przyuczane do tego, żeby politykę traktować głównie jako kibicowską sferę przeżywania zbiorowych emocji" – pisze Paweł Milcarek w posłowiu do książki. Marek Jurek znakomicie pokazuje, jak uczestnicy życia publicznego żerują na obywatelskiej niepamięci, by omijać zaangażowanie w realne cele społeczeństwa. Polityka działająca w oparciu tylko o emocjonalne wzmożenia, które dają akcje mobilizacyjne, nie może przynosić dobrych skutków, za to łatwo staje się służką ideologii. Te zaś

eprasa.pl 21900df7cb

są po prostu psuciem prawa czy to w imię libertyńskich fantazmatów czy w imię posiadania władzy.

KRONIKA ZANIECHAŃ

„W samym prawie do życia nie zamyka się całość zasad państwa dobra wspólnego (różniących go od państwa relatywistycznego), jednak dziś stanowi ono jego najbardziej rozpoznawalny wyróżnik. Dlatego dramat, który rozegrał się jesienią ubiegłego roku, i jego konsekwencje mają zasadnicze znaczenie ustrojowe. Naród, który nie uznaje nienaruszalności prawa do życia, nie będzie miał odwagi bronić nienaruszalnego charakteru innych praw podstawowych" – czytamy w „100 godzin samotności…".

Książka odwraca dominującą, także na prawicy, logikę traktowania kwestii ochrony życia jako sprawy światopoglądowej, wskazując za orzeczeniem TK z roku 1997, że jest ona fundamentem demokratycznego państwa prawnego. Pod tym względem „100 godzin samotności…" jest przeprowadzonym sine ira et studio oskarżeniem PiS o wielorakie przykładanie ręki do demobilizacji katolickiego i prawicowego elektoratu w sprawie, która stanowi podstawę wszelkiej narodowej sprawiedliwości. Choć w książce bezpośrednio takie oskarżenie nie pada, to wydaje się ono zasadne – bez uznania tej podstawowej zasady cywilizowanego, a nie barbarzyńskiego życia wszelkie wysiłki zmierzające do poprawy jakości życia społeczeństwa zaczynają nabierać smaku korupcji, życia kosztem życia milczących i odsuniętych poza społeczny horyzont dzieci.

Autor pisze, że „kroniki zaniechań" nie przygotował „dla jałowej krytyki władz Rzeczypospolitej" – zarzutów wobec rządzącej w Polsce centroprawicy jest więcej. Należy do nich folkloryzacja stanowiska katolickiego, którą znamy choćby z oświadczeń Jarosława Kaczyńskiego. Gdy pojawił się projekt ustawy „Stop Aborcji", powiedział on, że „będąc katolikiem, »musi uwzględnić w swoich decyzjach moralnych naukę biskupów«", dodając jednocześnie, że „stanowiska PiS w tej sprawie nie ma i nie będzie, [bo jest to] decyzja każdego posła i każdej posłanki. Każdy musi we własnym sumieniu to rozważyć".

Te opinie Kaczyńskiego całkowicie ignorowały fakt, że w sprawie ochrony życia nie chodzi o kwestię partykularnej religijnej ekspresji, ale o potwierdzoną przez Trybunał Konstytucyjny zasadę polskiego państwa. Orzeczenie wydane przez prof. Zolla de facto nie mówiło przecież tylko o jednej zakwestionowanej ustawowej przesłance do aborcji z ustawy przeforsowanej przez lewicę, ale o dzieciobójstwie prenatalnym jako takim. Marek Jurek przytacza cały szereg sytuacji, w których PiS niskim kosztem politycznym lub nawet bez kosztów mógł stawać po prostu w obronie obowiązującego prawa o ochronie życia. Jednak zawsze tego unikał.

Podobnie krytyce podlega oddanie tej tak istotnej sprawy przez PiS w ręce Trybunału Konstytucyjnego, którego autorytet najpierw całkowicie zniszczono. Poza tym – co zauważa autor – cóż to za pomysł, by partia rządząca oddawała sprawę do Trybunału, zamiast zmieniać ustawy? „PiS po prostu nie chciał w ogóle ze sprawą ochrony życia być nadmiernie kojarzony. Oczywiście musiał zachować poparcie wyborców rozumiejących moralne pierwszeństwo prawa do życia i ustrojowy charakter tej sprawy, bo bez nich nie można w ojczyźnie Jana Pawła II utrzymać wielkiej partii prawicy. Rozwiązując tę kwadraturę koła, Jarosław Kaczyński wymyślił przekierowanie do Trybunału Konstytucyjnego, a więc: załatwić, ale się nie angażować" – wytyka Marek Jurek. „I tak opinia katolicka i wspierająca cywilizację życia stała się ostatecznie zakładnikiem władzy, bo wiadomo, że ubiegłoroczny wyrok zachowa ważność dopóty, dopóki nie zostanie zakwestionowane całe orzecznictwo Trybunału po 2015 r." – czytamy na stronach „100 godzin samotności…". Konkluzja, która musi z tego wynikać, jest następująca: elementarna sprawiedliwość polskiego państwa w dniu, w którym PiS utraci władzę, znajdzie się w stanie nadzwyczajnego zagrożenia. Wie to każdy, kto widział, z jaką bezwzględnością działały w Hiszpanii rządy Zapatero, a jak bezradne okazały się rządy konserwatystów Rajoya.

GRUNT POD REWOLUCJĘ?

Sprowadzenie sprawy ochrony życia – jak pisze Marek Jurek – do „światopoglądowej kwestii (subiektywnego) sumienia" przygotowało grunt pod „rewolucję październikową". Nie jest to zresztą sprawa oderwana od całości cywilizacyjnego sporu, w który przynajmniej retorycznie angażuje się obóz rządzący. Poddanie ochrony życia pociągnie za sobą prawne zniszczenie statusu rodziny czy religii. A prawicowa władza? „Zamiast mówić o prawie do życia, o spoczywającym na państwie (więc na nas wszystkich) obowiązku jego obrony, o prawie kobiety do ochrony przed aborcyjną presją i aborcyjną subkulturą, zamiast mówić o tym wszystkim – władza robiła uniki, deklamując o światopoglądowych kwestiach (subiektywnego) sumienia, które każdy może rozstrzygać po swojemu. I [...] opinię publiczną systematycznie przepychano w stronę aborcyjnego relatywizmu. Październik 2020 ten proces domknął".

MAREK JUREK „100 GODZIN SAMOTNOŚCI ALBO REWOLUCJA PAŹDZIERNIKOWA NAD WISŁĄ" DĘBOGÓRA 2021

Trwający wiele lat proces marginalizacji opinii katolickiej – którą reprezentuje także wielu szeregowych członków PiS – doprowadził do tego, że państwo, rzekomo konserwatywne, okazało się całkowicie pozbawione argumentów wobec przemocy „złośliwego przeszkadzania w wykonywaniu publicznych aktów religijnych" i „znieważania świątyń" (art. 195–196 Kodeksu karnego), którego w dodatku bez mrugnięcia okiem bronił Rzecznik Praw Obywatelskich. Adam Bodnar nazywał – trwające przy bierności służb państwa – uliczne ataki na kościoły „»bardziej radykalnym« wyrazem »wielkiej energii obywatelskiej«". Dzięki książce Jurka krętactwa tego urzędnika zostały upamiętnione.

„100 godzin samotności…" to książka błyskotliwa w stylu, która jednak nikogo nie oszczędza, także opozycji i liberalnych mediów, z którymi polemiki może nawet wypadają obszerniej niż ze te środowiskiem PiS. Jej intencja wydaje się jasna – dać czytelnikowi szansę na przemyślenie zasad polityki na konkretnym przykładzie jej rozpadu.

W 2009 r. Rafał A. Ziemkiewicz pisał na łamach „Rzeczpospolitej", że Jarosław Kaczyński „ukradł prawicę". Konsekwencją akceptacji tego aktu przez prawicowy elektorat stała się instrumentalizacja większości tradycyjnie konserwatywnych i katolickich postulatów cywilizacyjnych. Zamiast stać się częścią stabilnego prawa, zawisły one na woli prezesa PiS. Marek Jurek stara się w swojej nowej książce prawicę nieco odzyskać, przypomnieć, że ma ona swoje zasady, które muszą być trwalsze niż cykl życia tej czy innej partii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 21900df7cb

Koniec zdalnej edukacji?

FOT. ADOBE STOCK

Łukasz Zboralski

Wszędzie na świecie dzieci zaczną wracać do szkół, a rządy próbują zrobić to tak, by nie musieć ich odsyłać do domów. Na tym tle polskie władze wyglądają na najbardziej optymistyczne

O ile do tej pory część dzieci mogła smucić się, że właśnie dobiegły końca wakacje i trzeba zacząć znów chodzić do szkoły, to w tym roku – po blisko dwóch latach przesiadywania w domach przed komputerami – mali Polacy mogą ucieszyć się z tego, że w ogóle mogą znów przyjść do własnych klas. Od 1 września wszyscy zaczną naukę stacjonarnie.

Jak długo będą mogły chodzić normalnie do szkół? Tego nie wie nikt. Minister edukacji Przemysław Czarnek wciąż publicznie podkreśla, że tego, co się stanie przy czwartej fali pandemii, nikt nie jest dziś w stanie przewidzieć. Uspokaja jednak rodziców i nauczycieli, że przynajmniej we wrześniu nie ma zagrożenia zdalną edukacją. – Według modeli, które są w Ministerstwie Zdrowia, ta fala nie będzie aż tak groźna, więc spokojnie wracamy do nauki stacjonarnej, przygotowując się na tę czwartą falę – uspokajał minister w Polskim Radiu.

Przygotowanie do czwartej fali w szkołach w Polsce polegać będzie głównie na mierzeniu temperatury i zakładaniu maseczek. Utrzymane zostają rygory sanitarne. Oznacza to, że w szkołach dzieci nadal najprawdopodobniej będą mogły brać udział w lekcjach bez maseczek, ale będą musiały je zakładać przed wyjściem z klasy na korytarz czy podczas przechodzenia przez szatnię w drodze do domu i po wejściu z zewnątrz do szkoły. Będzie też oczywiście dezynfekcja rąk oraz dezynfekcja sal.

Ministerstwo Edukacji i Nauki zapowiedziało wsparcie dla szkół, na które wydanych zostanie ok. 100 mln zł. Do placówek ma dojechać ponad 500 ciężarówek wypełnionych maseczkami ochronnymi, rękawiczkami, bramkami do pomiarów temperatury i płynami dezynfekcyjnymi.

STRATEGIE Z TESTAMI

W niektórych krajach zabezpieczenia wydają się większe. Chodzi głównie o testowanie dzieci, by szybko wykrywać zarażenia i nie musieć zamykać całych placówek. Tak zaczął się już rok szkolny w niektórych landach w Niemczech. Na przykład w Nadrenii Północnej-Westfalii dzieci będą co dwa tygodnie testowane na obecność COVID-19. Zwolnione z tego obowiązku są jedynie dzieci powyżej 12. roku życia, które zostały zaszczepione. Tak samo będzie w Nadrenii-Palatynacie. Podczas pierwszych dwóch tygodni będą tam „zintensyfikowane środki ochrony" – dzieci będą musiały nosić maseczki, nawet siedząc w ławkach na zajęciach, i poddawać się testom. W ten sposób szko-

eprasa.pl 21900df7cb

ły chcą zabezpieczyć się przed tymi, którzy mogli zarazić się podczas wakacji i przynieść zarazę do klas. Podobnie postąpi Saarland. Tam na rozpoczęcie roku szkolnego dwa szybkie testy dostanie każdy uczeń, nauczyciel i pracownik szkoły.

Przy tym – warto wspomnieć – Niemcy zrewidowali przepisy dotyczące kwarantanny. Przy wykryciu COVID-19 u ucznia nie będzie już obowiązku izolowania całej klasy wraz z nauczycielem. Kwarantanna obejmie jedynie uczniów siedzących w klasie obok zarażonego.

Testy będą również podstawą powrotu uczniów do szkół w Wielkiej Brytanii. Uczniowie szkół średnich będą je musieli wykonać w ciągu trzech–pięciu dni od powrotu do nauczania stacjonarnego. Szkoły mają nawet prawo rozłożyć powrót nauczania przez tydzień, by ułatwić kwestie testowania. Z kolei w Walii, Szkocji i Irlandii Północnej jedynie będzie się zachęcać uczniów i pracowników placówek do wykonania testów przed powrotem do spotkań twarzą w twarz.

Inaczej niż w Polsce podejście do maseczek staje się luźniejsze. Jedynie w Szkocji, gdzie rok szkolny już się zaczął, dzieci i pracownicy będą musieli zakrywać twarze – na razie do końca września, a w Irlandii Północnej nakładanie maseczek będzie obowiązkowe przez pierwszych sześć tygodni. W szkołach Anglii i Walii maseczki nie są już obowiązkowe. Tam zaleca się jedynie nakładanie ich w środkach komunikacji publicznej i w tłumie ludzi.

Jednym z rządowych zaleceń w Anglii jest prowadzenie zajęć na świeżym powietrzu i zwracanie uwagi na dobrą wentylację pomieszczeń. Departament edukacji ma dostarczyć placówkom 300 tys. monitorów dwutlenku węgla, by placówki mogły zbadać, gdzie przepływ powietrza jest ograniczony.

W Anglii pomyślano jednocześnie o dzieciach, które utraciły ok. jedną trzecią czasu nauki podczas pandemii. Rząd stworzył tam dotowany program korepetycji dla uczniów (działały też szkoły letnie).

DYSKUSJA O NIESZCZEPIONYCH

Pośrednim polskim sposobem na utrzymanie nauki stacjonarnej ma być promocja szczepień w szkołach. Dwunastolatkowie i starsi uczniowie, których rodzice wyrażą zgody, mają móc w łatwy sposób zaszczepić się na miejscu, w szkole. Będą mogli to też zrobić nauczyciele. A wśród tych, którzy 1 września przyjdą do pracy, nie zaszczepił się do tej pory co piąty.

Wśród dzieci od 12. roku życia, które mogły się szczepić, w Polsce szczepienia ma jedynie 30 proc. z nich. Jest jednak pewne, że nie będzie żadnych surowszych obostrzeń dla niezaszczepionych. – W warunkach takich, w jakich jesteśmy dzisiaj, albo w warunkach czwartej fali, ale nie tak groźnej jak trzecia, nie przewidujemy żadnego podziału na dzieci zaszczepione bądź niezaszczepione – zadeklarował w Polskim Radiu minister Czarnek. I dodał: – Taki podział byłby dla dzieci po prostu niesprawiedliwy i szkodliwy.

Podobnie jak w Polsce będzie we Francji. Ruszy tam kampania szczepień w szkołach, ale tzw. przepustki zdrowotne nie będą wymagane. „Szkoła musi pozostać otwarta dla wszystkich" – powiedział jednoznacznie tygodnikowi „Journal du Dimanche" francuski minister edukacji Jean-Michel Blanquer.

Na szczepienia dzieci w szkołach nie zgodziła się z kolei izraelska minister edukacji. Yifat Shasha-Biton stwierdziła, że wywierałoby to presję na dzieci, które i tak mocno ucierpiały psychicznie w związku z pandemią. Uznała nawet, że taka presja na dzieci to byłaby „zbrodnia". Do sprawy włączył się tamtejszy prokurator generalny, który pomaga rządowi przygotować specjalną dyrektywę – miałaby ona pomóc ominąć sprzeciw minister edukacji i umożliwić akcję szczepień w szkołach.

Aktualnie w Izraelu trwa kolejna odsłona tej dyskusji. Minister zdrowia uznał, że sprawę wpuszczania do szkół nieszczepionych i nietestowanych dzieci pozostawia w rękach placówek. Yifat Shasha-Biton od razu zapowiedziała, że żaden dyrektor przedszkola ani szkoły nie będzie stał na bramce i zatrzymywał nieszczepionych uczniów. Do szkół nie wejdą jednak rodzice, którzy nie mają paszportów covidowych potwierdzających szczepienia. Taki sam wymóg prawny postawiono przed pracownikami placówek i nauczycielami.

Strategia polskiego rządu zakłada, że ewentualne zamknięcia podczas czwartej fali koronawirusa będą planowane jedynie na poziomie powiatów – i uzależnione od procentu wyszczepienia mieszkańców. Jednak nawet w takich powiatach szkoły mają być unieruchamiane jako ostatnie w kolejności.

Wydaje się to na razie dobrym planem. Ponieważ opór przed zdalną edukacją był już ogromny podczas poprzednich szczytów zachorowań. A po prawie dwóch latach zamrażania szkół rodzice na pewno nie będą chcieli, by dzieci znów wysyłać do domów. Wesprzeć mogą ich wówczas nauczyciele, dla których ostatnich kilkanaście miesięcy też było potwornie trudnym czasem, w którym musieli przekazywać wiedzę przez Internet.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Przedsiębiorca ATARI-GO spółka z ograniczoną odpowiedzialnością z siedzibą w Piasecznie informuje, iż wprowadzone do obrotu zabawki Lalki Sofia the First, NO. 5585, ITEM NO: A-114, kod EAN 1216782180611, oraz Lalki Light Mermaid pearl, ITEM NO: CJ-347, kod EAN 9767711782366, nie spełniają wymagań określonych w rozporządzeniu Ministra Rozwoju i Finansów z dnia 20 października 2016 r. w sprawie wymagań dla zabawek, z uwagi na zawartość w wyrobach niebezpiecznej substancji chemicznej, tj. ftalanu bis (2-etyloheksylu) (DEHP) w ilości przekraczającej dozwolony limit, co stwarza ryzyko niekorzystnego wpływu na zdrowie ludzkie związanego z narażaniem na działanie ww. substancji i stanowi zagrożenie dla zdrowia użytkowników. Ponadto w oznakowaniu wyrobów brakuje słowa „ostrzeżenie" i informacji dotyczącej bezpieczeństwa użytkowania, zwracającej uwagę dzieci lub ich opiekunów na zagrożenia i ryzyko urazu, związane z użytkowaniem wyrobów, oraz sposoby uniknięcia takiego zagrożenia i ryzyka. Ogłoszenie publikuje się w związku z prowadzonym postępowaniem przed Prezesem Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów.

eprasa.pl 21900df7cb

6 lutego 1989 r. Pada uporczywa mżawka. Delegacja Solidarności rusza na inaugurację rozmów Okrągłego Stołu. W czołówce nie widać nikogo z robotniczej Solidarności. Rządzą już niepodzielnie doradcy i dwór Wałęsy. Na zdjęciu: Lech Wałęsa i Tadeusz Mazowiecki FOT. PIOTR SEMKA

Kolejny fragment książki „Piątka u Semki" (Zysk i S-ka), wywiadu rzeki z Piotrem Semką *przeprowadzonego przez Jana Hlebowicza*

W objęciach postkomunistów

Poniedziałek, 6 lutego 1989 roku. Budynek Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Jesteś tam jako dziennikarz „Regionówki".

Z notesem w ręku notuję z przejęciem nazwiska przybywających kolejno osób. Pierwsze wrażenie – sami profesorowie. Młodych jak na lekarstwo. A gdzie podziali się robotnicy? Korespondenci tłoczą się wokół Wałęsy, Geremka i Kuronia. Bohaterowie strajków 1988 roku: Alojzy Pietrzyk z Górnego Śląska, Mieczysław Gil z Nowej Huty czy Edward Szwajkiewicz z gdańskiej Stoczni imienia Lenina stoją osamotnieni. W końcu Tadeusz Mazowiecki daje sygnał, aby ruszać. Setki warszawiaków stoją już przed Pałacem Namiestnikowskim, gdzie mają odbywać się narady. Mazowiecki ubrany w dziwaczną czapkę z daszkiem wskazuje strażnikom, kto ma wejść na dziedziniec pałacu. Tłum wpatruje się, jak delegacja już na pustym placu zmierza

JAN HLEBOWICZ: Kilka miesięcy przed Okrągłym Stołem postanowiłeś przeprowadzić wywiad z Adamem Michnikiem...

PIOTR SEMKA: W latach 80. poznałem wielu ludzi zakochanych w Michniku, którzy opowiadali o jego niesamowitym wdzięku, erudycji, inteligencji. Michnik, gdy mu zależało, potrafił być dowcipny, wdzięczny, przyjacielski, pomocny i tak dalej. Słysząc te wszystkie historie i oczywiście znając postać Michnika jako jednego z czołowych opozycjonistów, postanowiłem przeprowadzić z nim wywiad. Dopchałem się do niego w przerwie jednego z posiedzeń Krajowej Komisji Wykonawczej w budynku Solidarności w Gdańsku. Podszedłem, przedstawiłem się, powiedziałem, dla kogo pracuję. Wydawało się, że „Solidarność. Pismo Regionu Gdańskiego" kierowane przez związanego z KOR Borusewicza jest najlepszą rekomendacją. Poprosiłem o rozmowę. Michnik przyjrzał mi się uważnie i powiedział: „Proszę pana, ja udzielam wywiadu tylko ludziom ważnym. Dla mnie ważni to są ci, których znam, a ja pana nie znam. No to jak mogę panu udzielić wywiadu?". Zbaraniałem, bo ta odpowiedź nijak miała się tego, jak go charakteryzowali inni ludzie. Naiwnie myślałem, że jeśli młody człowiek, pełen zapału, angażujący się w opozycję, kibicujący Solidarności, poprosi słynnego „Adasia" o wywiad, to nawet jeśli się mu nie uda, zostanie potraktowany z sympatią. Tymczasem w odpowiedzi Michnika wyczułem mało sympatyczne zadufanie. Przecież mógł odmówić w zupełnie inny sposób. Jednak ten drobny epizod nie przesądził o moim stosunku do Michnika i jego środowiska. Dla mnie „Adaś" wciąż pozostawał wzorem. W pamięci miałem jego długoletnie pobyty w więzieniach Jaruzelskiego oraz dumny list opozycjonisty do generała Kiszczaka.

Kiedy ty próbowałeś dopchnąć się do Michnika, w Magdalence toczyły się już zakulisowe rozmowy...

O negocjacjach w Magdalence nie było żadnych informacji. Pracując w „Regionówce", jednym z najbardziej zasłużonych dla walki z reżimem komunistycznym tytułów, powinniśmy być informowani. Nie byliśmy. Wiedzieliśmy jedynie tyle, że te rozmowy toczyły się bardzo wolno. Obserwując „starszych" z Solidarności, wyczuwaliśmy także, że to im bardziej zależało na negocjacjach niż ludziom władzy, chociaż tym ostatnim ziemia usuwała się spod nóg.

eprasa.pl 21900df7cb

do drzwi gmachu. To pierwsza i ostatnia demonstracja poparcia dla negocjujących przedstawicieli Solidarności. Dwa miesiące potem, 5 kwietnia, nikt już nie wita delegatów wychodzących z uroczystego zamknięcia obrad.

Adam Michnik i Jacek Kuroń, do niedawna wrogowie PZPR, szybko stali się kumplami komunistów – Aleksandra Kwaśniewskiego, Leszka Millera, Jerzego Szmajdzińskiego. Kłuło to w oczy?

Skracanie dystansu z dawnymi adwersarzami z PZPR dziwiło, ale wówczas jeszcze nie przerażało. Takie słowa jak „zdrada" nie przychodziły mi na myśl. Dziś wspominam, jak bardzo ludzie związani z Solidarnością starali się zamykać oczy na podobieństwa ideowe, które istniały pomiędzy uczestnikami negocjacji. Dawni liderzy robotniczy machali lekceważąco ręką, gdy ktoś próbował im tłumaczyć, że pełnią funkcję figurantów przy rozmowach rozgrywanych przez Geremka czy Michnika. Jeśli zaś chodzi o coraz bardziej koleżeńskie układy lewicy laickiej z postkomunistami, wydaje mi się, że największą rolę odegrała tutaj kwestia pokoleniowa. Ludzie z otoczenia Kwaśniewskiego zaczęli tłumaczyć twardogłowym PZPR-owskim „jastrzębiom", że demonizowani dawniej Kuroń i Michnik to najlepsi partnerzy na następne dziesięciolecia. Z kim lepiej się dogadać? Z intelektualistami katolickimi, chadekami, liberałami, liderami robotniczej Solidarności czy też z dziećmi dawnej komunistycznej nomenklatury? Owszem, skłóconymi przez długi czas z PZPR, ale coraz wyraźniej bojącymi się wybuchu nacjonalizmu po upadku komuny. Projekt polityczny funkcjonujący w kolejnych latach Trzeciej RP został wypracowany w aurze popijaw na wilanowskim osiedlu, gdzie swoje mieszkania mieli młodzi komuniści. Na tych spotkaniach, nazywanych później „sojuszem mądrych", wypracowano koncepcję, według której Polskę z ortodoksyjnego komunizmu może wyprowadzić tylko dyskretne porozumienie tak zwanych reformatorów z PZPR i światłych działaczy opozycji. W myśl tej filozofii sojusznicy zobowiązywali się do marginalizowania „ekstremy" po swojej stronie. Także razem mieli tłumaczyć Moskwie, że czas na zmiany. Po latach myślę, że w objęcia postkomunistów pchnęła Michnika przede wszystkim obawa, iż koniec PRL dopuści do głosu klerykalną i antysemicką prawicę.

A może wyimaginowana „klerykalna i antysemicka prawica" służyła jedynie za pretekst?

Michnik powtarzał w tamtym czasie, że komunizm jest już martwy, ale istnieje groźba powstania ksenofobicznej, nienawistnej prawicy i dlatego trzeba doprowadzić do sojuszu mądrych w obozie Solidarności i mądrych w obozie PZPR. Należy także odsunąć niemądrych – czyli de facto ludzi „S", domagających się pełnej niepodległości i dążących do niej. A na to Kwaśniewski kiwał głową i potwierdzał: „Tak, tak, w naszym obozie też jest beton, który dąży do rozwiązań siłowych. Musimy obu betonom stawić czoła. My będziemy gasić naszych betoniarzy, a wy gaście swoich radykałów". Taka to była retoryka, oczywiście podszyta straszeniem „klerykalną i antysemicką prawicą".

Brzmi bardzo aktualnie.

Bo to retoryka, która służyła, służy i będzie służyć jeszcze przez kolejne lata. Mam jednak wrażenie, że Polacy, a przynajmniej znaczna ich część, przejrzeli na oczy i nie dają sobie wmówić antysemityzmu ani tego, że przywiązanie do Kościoła i otwarte demonstrowanie religijności to coś złego, wstydliwego, gorszego.

Krytykujesz Michnika i Kuronia, a przecież w obradach Okrągłego Stołu ważną funkcję pełnili też bracia Kaczyńscy. Głównie Lech.

Niektórzy szli do Okrągłego Stołu, aby z komunistami się targować, a w pewnym momencie ich „okiwać". A inni szli, aby rozbroić Solidarność. Kaczyńskich nie było wśród tych, którzy umawiali się na wódkę z Kwaśniewskim i „czerwonymi". Sam sobie odpowiedz, do której grupy należeli.

Czy przypadkiem Kaczyńscy nie byli takimi samymi beneficjentami Okrągłego Stołu jak Michnik czy Geremek?

Kaczyńscy wiedzieli, że droga, którą podążyli wtedy Gwiazda, Morawiecki i grupa łódzka na czele z Andrzejem Słowikiem, skazuje ich na margines. Ludzie byli zakochani w Wałęsie. Jarosław i Lech rozumieli, że tylko ci, którzy pójdą za Wałęsą, przetrwają. Jednocześnie wierzyli, że Wałęsa prowadzi politykę racjonalną i samodzielną. Dlatego starali się być w jego otoczeniu.

Łatwo po latach się tłumaczyć, że „my chcieliśmy się targować, by potem wykiwać postkomunistów" albo „trwaliśmy przy Wałęsie, bo był gwarantem przetrwania w polityce". A może po prostu bracia Kaczyńscy uwierzyli w Okrągły Stół?

Mieszasz pojęcia rozmów Okrągłego Stołu z „filozofią okrągłostołową". Rozmowy same w sobie nie były niczym złym. To dopiero okrągłostołowa filozofia spod znaku „dogadajmy się z reformatorami z PZPR" Michnika i „każdy radykalizm może wywołać tragedię" Mazowieckiego zdecydowała, że negocjacji nie można z perspektywy czasu oceniać jako święta polskiej demokracji i sukcesu w sensie ustrojowym i politycznym. Filozofia Okrągłego Stołu zablokowała na całe dziesięciolecia rozliczenie z komunizmem. Zablokowała lustrację w pełnym wymiarze, zablokowała ściganie Jaruzelskiego i Kiszczaka za zbrodnie z Grudnia '70 i stanu wojennego i w końcu zablokowała realizację antykomunistycznej polityki historycznej. Nieprzypadkowo żołnierze wyklęci pozostali wyklęci jeszcze długie lata po Okrągłym Stole.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wybrał Jan Hlebowicz.

DOTYCHCZAS WYDRUKOWALIŚMY NASTĘPUJĄCE FRAGMENTY KSIĄŻKI:

- ***„Jak Semkowie Polskę wybrali"*** – nr 16/2021
- ***„Dziadek Jan i dziadek Józef"*** – nr 17/2021
- ***„Gdańsk przesiąknięty tradycją kresową"*** – nr 18/2021
- ***„Niepokorna Topolówka"*** – nr 19/2021
- ***„Dramatyczny czas"*** – nr 20/2021
- ***„Licealna konspira"*** – nr 21/2021
- ***„Koledzy z konspiry"*** – nr 22/2021
- ***„Prywatna wojna z komunizmem"*** – nr 23/2021
- ***„Uciekaliśmy od bezruchu"*** – nr 24/2021
- ***„Pobudzający mętlik idei"*** – nr 25/2021
- ***„Podziemny Lublin, podziemny Gdańsk"*** – nr 26/2021
- ***„Pierwsze niepokojące sygnały"*** – nr 27/2021
- ***„Spełnione marzenie młodego opozycjonisty"*** – nr 28/2021
- ***„Era młodych"*** – nr 29/2021
- ***„Eksperyment Borusewicza się opłacił"*** – nr 30/2021
- ***„Niebezpieczne związki"*** – nr 31/2021
- ***„Ramię w ramię ze strajkującymi"*** – nr 32/2021
- ***„Zapowiedź Okrągłego Stołu"*** – nr 33/2021
- ***„Bliźniacy w oblężonej stoczni"*** – nr 34/2021

eprasa.pl 21900df7cb

Wakacje

Agnieszka Niewińska

To był prawdziwy wyścig po wypoczynek. Tylko w czerwcu Polacy wykupili w kraju dwa razy więcej noclegów niż rok temu. Na samych bonach turystycznych branża zarobiła 2,2 mld zł

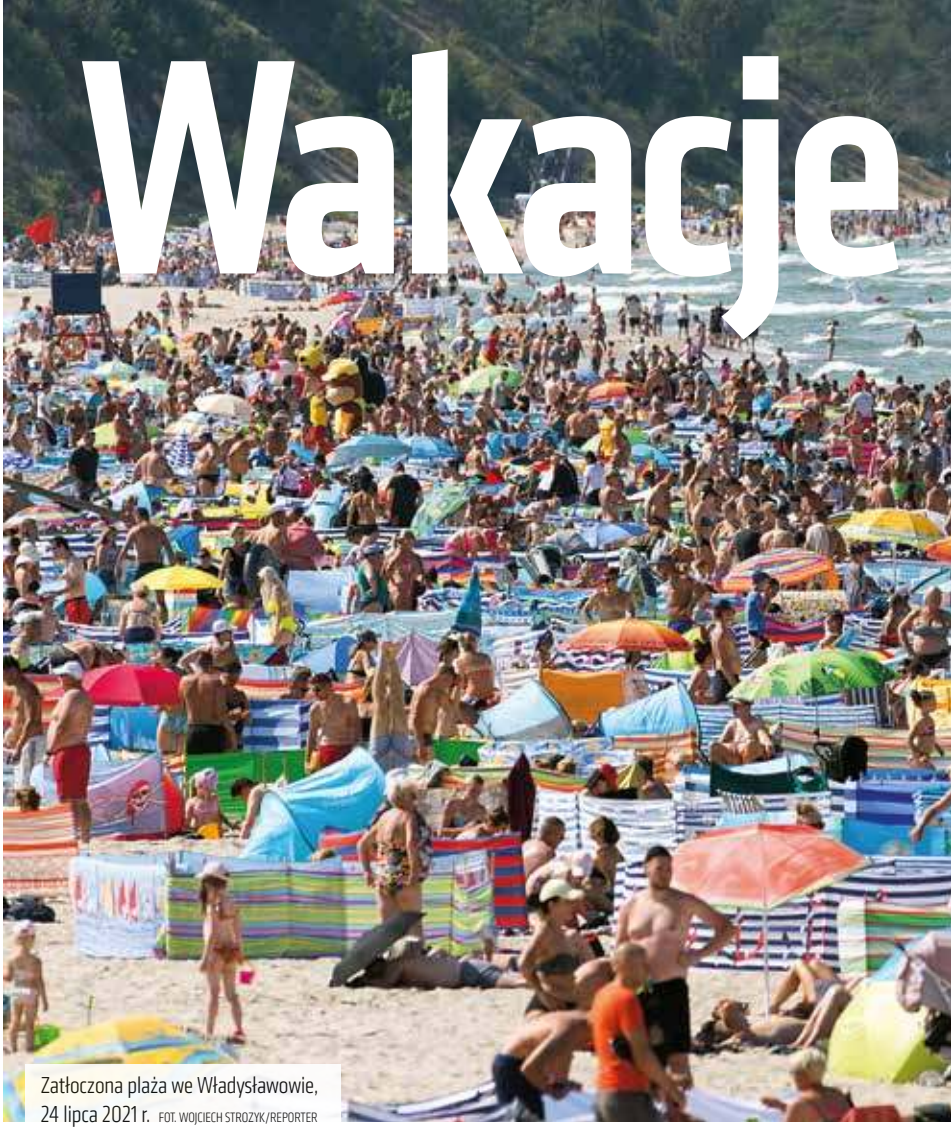

Zatłoczona plaża we Władysławowie, 24 lipca 2021 r. FOT. WOJCIECH STROZYK/REPORTER

Wielu Polakom kończące się właśnie wakacje upłynęły pod znakiem kolejek. Stać trzeba było i do smażalni po flądrę, i do kolejki na Kopę w Karkonoszach, i do wejścia na szczyt Giewontu. Publikowane w mediach społecznościowych zdjęcia morza głów ze szlaku do Morskiego Oka robiły wręcz surrealistyczne wrażenie. Na karkonoskich szlakach także było gęsto od turystów. Zdjęcia z 21 sierpnia ze szlaku na Śnieżkę opublikowane przez Piotra Jochymka, przewodnika sudeckiego i autora bloga wyszedlzdomu.pl, przywodzą na myśli raczej imprezę masową, a nie górską wędrówkę. „Trzymaj się ŚNIEŻKO!" – napisał przewodnik. „Nie prowadzę statystyk, pracuję i trenuję w górach cały sezon letni i śmiało mogę powiedzieć, że liczba wizytujących w Karkonoszach, a w szczególności na Śnieżce, jest rekordowa! Nie obrażając nikogo, chyba można nazwać to zjawisko »tłumem«, który przewija się przez najwyższy szczyt Sudetów (i jego najbliższe okolice) w ostatnich kilku tygodniach CODZIENNIE!".

Nad popularne jeziora też trudno było się dostać. – Odwiedzając Olsztyn, chcieliśmy wybrać się na plażę nad jeziorem Ukiel. Zrezygnowaliśmy. Pełno ludzi, kilka okolicznych parkingów było całkowicie wypełnionych samochodami. Podobnie jak prowadzące do nich ulice – opowiada Dominik, turysta z Warszawy.

DWA RAZY WIĘCEJ NOCLEGÓW

Ilu z nas podróżowało w te wakacje po kraju? – Szczegółowe oficjalne dane uzyskamy dopiero jesienią i będziemy mogli zestawić je z danymi ubiegłorocznymi oraz sprzed pandemii. Patrząc jedynie na liczby dotyczące początku wakacji, będziemy z pewnością pozytywnie zaskoczeni tegorocznym wynikiem. Optymizmem napawają również informacje płynące z branży na temat obłożenia w hotelach czy miejscach noclegowych, a także o korzystających z atrakcji turystycznych – mówi Przemysław Marczewski z Polskiej Organizacji Turystycznej (POT). I zwraca uwagę, że według badań CBOS aż 84 proc. Polaków deklarowało, że przynajmniej część urlopu spędzi w Polsce. – Opierając się jedynie na liczbie udzielonych noclegów w czerwcu 2021 r., możemy powiedzieć, że w porównaniu z rokiem poprzednim odnotowano ogromny skok. We wskazanym okresie było to prawie 6,5 mln. To niemal dwukrotność ubiegłorocznego wyniku – wskazuje Marczewski.

To, że tak dużym zainteresowaniem cieszyły się w tym roku wakacje w kraju, wynika m.in. z tego, że podróże zagraniczne wiążą się przeważnie z koniecznością wykonania szczepień lub testów. Część z nas obawiała się także, że w trakcie wakacji zmienią się restrykcje albo okaże się, że w związku z kontaktem z zakażonym będzie trzeba odbyć kwarantannę w obcym kraju. Ponadto, jak wskazuje POT, pandemia i związane z nią obostrzenia zmieniły sposób podróżowania Polaków. Samolot i transport zbiorowy zamienili na samochód.

Krajową turystykę nakręcił także bon turystyczny dla rodzin z dziećmi, którym można było zapłacić m.in. w obiektach wypoczynkowych w kraju. „W trwającym okresie wakacyjnym aktywowano największą dotąd liczbę bonów. W lipcu było to 2 626 775, natomiast w sierpniu 2 905 467. Wartość aktywowanych bonów to już ok. 2,2 mld zł, a do przedsiębiorców trafiło do tej pory ok. 1,9 mld zł" – informuje nas Biuro Komunikacji Ministerstwa Rozwoju i Technologii.

– 90 proc. wypoczywających, którzy nas w tym roku odwiedzili, realizowało u nas bon turystyczny. Tego lata przyjechali do nas zupełnie nowi klienci, osoby, które po raz pierwszy mogły skorzystać z wypoczynku. Dopiero uczą się turystyki, korzystania z infrastruktury – mówi Grzegorz Schabiński z Jasła, właściciel kompleksu hotelowo-restauracyjno-narciarskiego U Schabińkiej Chyrowa Ski.

W okresie pierwszej i drugiej fali koronawirusa zasłynął w mediach za

eprasa.pl 21900df7cb

w tłoku

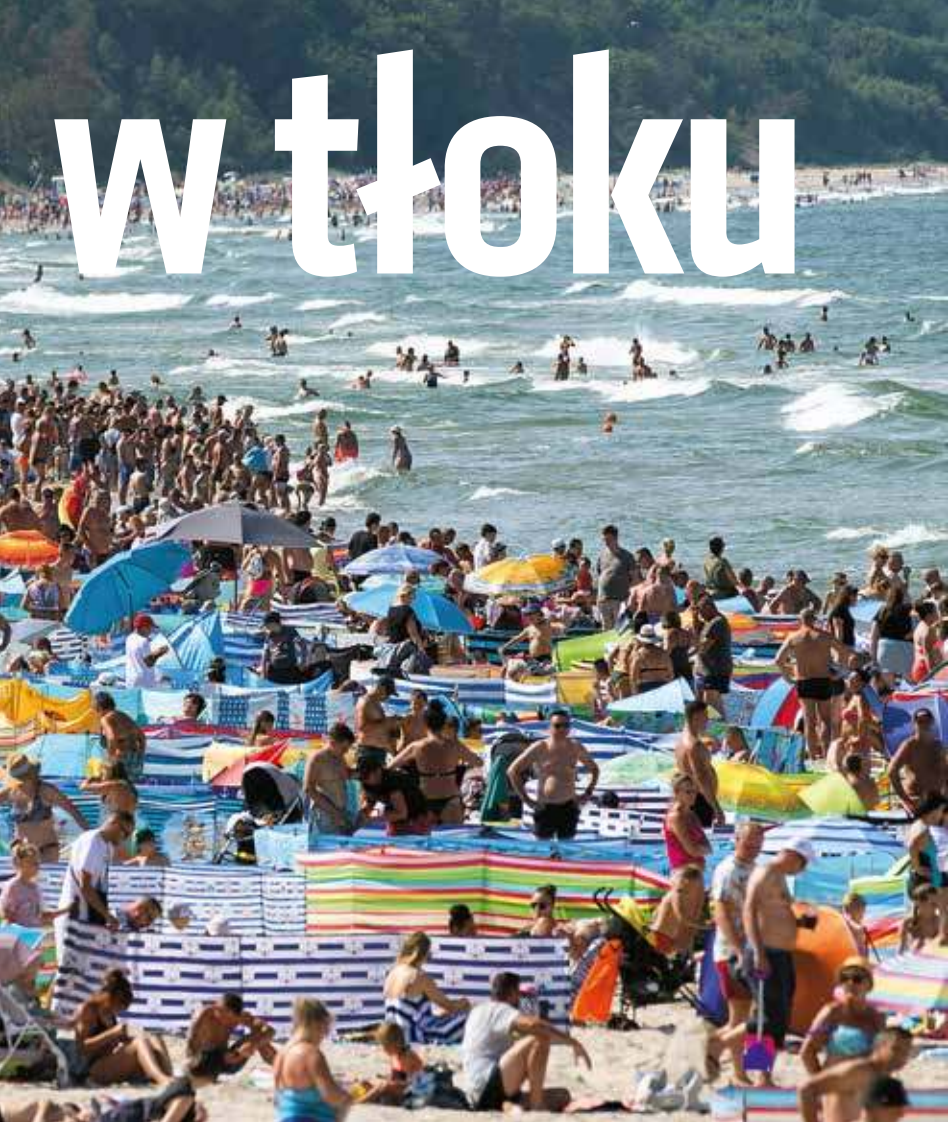

sprawą pomysłu na omijanie covidowych obostrzeń. Zamiast pokoi do wynajęcia oferował schowki na narty z możliwością ich pilnowania. Kiedy z restauracji mogli korzystać wyłącznie goście hotelowi, wpadł na pomysł, żeby przychodzący do restauracji U Schabińskiej dopłacali złotówkę za wynajem pokoju hotelowego. Wówczas już jako goście hotelowi mogli skosztować podawanych w lokalu dań. I tak turystyczny przedsiębiorca z Jasła doczekał do odmrożenia branży turystycznej. – Lato się udało, nawet bardzo – mówi dziś. – Nasze finansowe założenia zrealizowaliśmy na poziomie 200 proc. W ośrodkach mieliśmy rekordową liczbę gości.

Rekordy padły też w Tatrzańskim Parku Narodowym. W lipcu TPN odwiedziło blisko 770 tys. osób (a dane te nie obejmują wjeżdżających kolejką na Kasprowy Wierch i wejść do dolin Chochołowskiej i Lejowej). Do tego roku największą liczbę turystów w TPN zanotowano w 2017 r. Wówczas park odwiedziło 655 tys. osób. W tym roku padł też rekord co do liczby wejść na szlak do Morskiego Oka. 3 sierpnia na wędrówkę do największego tatrzańskiego jeziora zdecydowało się 15 tys. osób.

– Myślę, że należy się cieszyć tym, że tak wiele osób zdecydowało się na aktywne spędzanie czasu, dba o kondycję. Schodziłem dzisiaj z Kasprowego Wierchu, mijając turystów idących pod górę – zasapanych, ale uśmiechniętych – mówi Szymon Ziobrowski, dyrektor Tatrzańskiego Parku Narodowego. I dodaje, że zdjęcia pokazujące tłumy nad Morskim Okiem to żadna nowość. – Ten szlak zawsze był oblegany przez turystów. Podobnie jednak jak szlaki w dolinach – choćby Kościeliskiej czy Chochołowskiej. Wyżej położone szlaki systematycznie remontujemy – koszty wynoszą ponad 10 mln zł rocznie. Nie widzę w tej chwili, by ruch turystyczny w Tatrzańskim Parku Narodowym szkodził przyrodzie. W tym roku rzeczywiście w Tatrach jest więcej turystów niż w ostatnich latach, ale to szczególny sezon. Trudniej jest wyjechać na Słowację, a w związku z obostrzeniami wiele osób zdecydowało się na urlop w kraju. Martwiłbym się dopiero, gdyby tak duża liczba turystów miała się utrzymać.

Dlaczego tak tłumnie odwiedzamy kilka ikonicznych atrakcji takich jak Tatry, Karkonosze z ich najwyższym szczytem, plaże Władysławowa czy Mielna? – Wpływa na to wiele czynników, takich jak chociażby wysoce rozwinięta infrastruktura, silna promocja regionów lub sentyment do dobrze znanych i lubianych miejsc – mówi Przemysław Marczewski z POT. – Wypoczywający rokrocznie nad Bałtykiem lub w górach mogą być niechętni do zmian. Widzimy jednak trend spowodowany pandemią, który wpłynie pozytywnie na rozwój mniejszych miasteczek i wsi. Turyści coraz częściej chcą uciec od tłumów, zgiełku miast, który niejako przenosi się właśnie w okresie wakacyjnym do miejscowości turystycznych – przekonuje.

Dyrektor TPN przyznaje, że w Tatrach trudno już znaleźć szlaki, na których nie ma turystów. – Trochę mniej jest ich może w Dolinie Lejowej czy na Ścieżce nad Reglami na odcinku pomiędzy dolinami Kościeliską i Chochołowską. Jeśli komuś zależy na samotnej wędrówce, to powinien ruszać na szlak ok. godz. 5–6 rano albo zdecydować się na odwiedzenie ciekawych miejsc wokół Tatr, takich jak Magura Witowska czy Spisz – zachęca.

CZAS STUDENTÓW

Mimo dobrego sezonu dla polskiej turystyki na pobicie rekordowego dla tej branży roku 2019 trzeba będzie jeszcze poczekać. – Światowa Organizacja Turystyki czy Europejska Komisja Podróży przewidują powrót do tego poziomu nie wcześniej niż w 2023 r. – mówi Przemysław Marczewski z POT.

Choć szkolne wakacje dobiegają końca, to lato się jeszcze nie kończy. – Mamy sporo rezerwacji na wrzesień, a nawet na październik – przyznaje Schabiński. – Dużym zainteresowaniem cieszy się nasz park rozrywki w Krzemiennej nad Sanem. W Chyrowej, przez którą przebiega Główny Szlak Beskidzki, będziemy gościć wielu studentów, którzy właśnie kończą pracę sezonową w gastronomii czy turystyce i będą korzystać ze studenckich wakacji. Ze względu na wymagane szczepienie wielu zamiast zwiedzać Europę, zostanie w kraju.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 21900df7cb

Kadr z filmu „Mistrz" w reżyserii Macieja Barczewskiego inspirowanego historią Tadeusza Pietrzykowskiego FOT. ROBERT PAŁKA

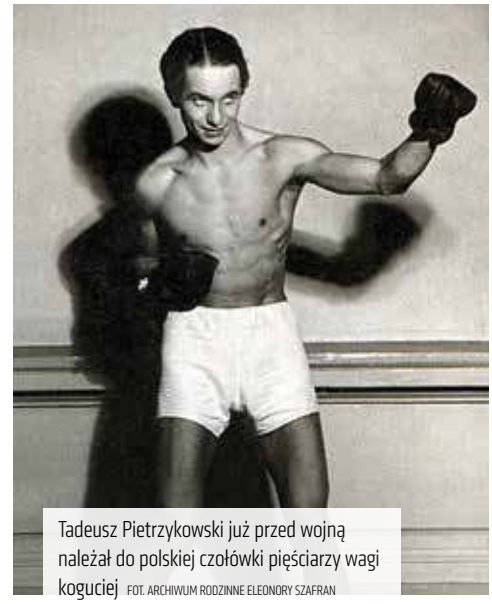

Tadeusz Pietrzykowski już przed wojną należał do polskiej czołówki pięściarzy wagi koguciej FOT. ARCHIWUM RODZINNE ELEONORY SZAFRAN

Z Eleonorą Szafran, autorką książki „Mistrz. Tadeusz »Teddy« Pietrzykowski", córką Tadeusza Pietrzykowskiego

rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Na ringu życia

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Gdyby nie druga wojna światowa, Tadeusz Pietrzykowski zostałby bokserem?

ELEONORA SZAFRAN: Boks był jego wielką miłością. Już przed wojną należał do polskiej czołówki pięściarzy wagi koguciej. Talent sportowy ułatwiał mu osiąganie dobrych rezultatów. Od 16. roku życia, kiedy wstąpił do Legii i znalazł się pod opieką trenera Feliksa Stamma, jego kariera bokserska nabrała tempa. W swoim idolu i jednocześnie szkoleniowcu odnalazł również przyjaciela oraz człowieka wartego naśladowania. Miał z nim kontakt aż do śmierci Papy Stamma.

Z jakiej rodziny pochodził pani ojciec? Był półsierotą?

Urodził się 8 kwietnia 1917 r. w Warszawie. Był synem Tadeusza Pietrzykowskiego, który pochodził z Lublina, a dziadek Teddy'ego – Józef Pietrzykowski – miał tam drukarnię. Mój dziadek otrzymał bardzo staranne wykształcenie. Po ukończeniu szkoły średniej w Lublinie rozpoczął studia na politechnice w Liège. Edukację przerwał w 1914 r. wybuch pierwszej wojny światowej. Naukę ukończył już w Warszawie. Później pracował jako inżynier zajmujący się budową dróg kolejowych i mostów, cieszył się szacunkiem i dużym poważaniem. Matka Teddy'ego, Sylwina z Bieńkowskich Pietrzykowska, była córką Aleksandra Bieńkowskiego herbu Łada – sędziego pokoju miasta stołecznego Warszawy. Babcia Franciszka Proszowska herbu Jastrzębiec wyszła za Aleksandra i wychowywali wspólnie ośmioro dzieci. Najstarsza z nich to właśnie Sylwina. Były to rodziny bardzo silnie ze sobą związane, kochające się i pomagające sobie wzajemnie. Tadek nigdy nie czuł się półsierotą. Po przedwczesnej śmierci swojego ojca razem z bratem stali się oczkiem w głowie całej wielkiej familii.

Kiedy i w jakich okolicznościach trafił do Auschwitz?

Patriotyzm wyniósł z domu. Krzewił go też w harcerstwie. Należał do 16. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej im. Zawiszy Czarnego. Prochu powąchał już w kampanii wrześniowej. A w pierwszych miesiącach drugiej wojny światowej, tak jak wielu rówieśników, zamierzał dołączyć do formujących się na terenie Francji polskich jednostek wojskowych. Złapany na granicy słowacko-węgierskiej – w mieście Pecz – został, wraz z podobnymi „turystami", przewieziony do więzienia w Tarnowie. Do Auschwitz trafił 14 czerwca 1940 r., z pierwszym transportem 728 polskich więźniów politycznych. Emocjonalne wspomnienia zawarł w swoich pamiętnikach, które teraz – okraszone moimi komentarzami – trafiają do rąk czytelników w mojej książce pt. „Mistrz. Tadeusz »Teddy« Pietrzykowski".

eprasa.pl 21900df7cb

Eleonora Szafran FOT. ARCHIWUM PRYWATNE ELEONORY SZAFRAN

Od 27 sierpnia 2021 r. w kinach można oglądać film „Mistrz” w reżyserii Macieja Barczewskiego inspirowany historią Tadeusza Pietrzykowskiego. W roli tytułowej: Piotr Głowacki. Ponadto w obsadzie m.in: Grzegorz Małecki, Marcin Bosak, Marian Dziędziel, Rafał Zawierucha i Marcin Czarnik. Zdjęcia: Witold Płóciennik, muzyka: Bartosz Chajdecki, scenografia: Ewa Skoczowska. Premiera książki Eleonory Szafran „Mistrz. Tadeusz »Teddy« Pietrzykowski”: 1 września.

Poznał osobiście rtm. Witolda Pileckiego i o. Maksymiliana Kolbego?

Te dwie postacie wywarły niesamowity wpływ na jego osobowość. W swoim gabinecie stworzył ścianę pamięci z numerami identyfikacyjnymi jego przyjaciół, z którymi był silnie związany w czasie pobytu w Auschwitz i Neuengamme. Pierwszym numerem, jeśli można tak powiedzieć, był właśnie rtm. Pilecki.

Tato był dumny z tej znajomości i często wracał wspomnieniami do łączących ich wspólnych przeżyć obozowych. W późniejszych latach kontaktował się również z rodziną Pileckiego w Warszawie. Pamięć o tym dzielnym człowieku była mu bardzo droga i pozostawiła w nim ślad na zawsze.

Spotkanie z o. Kolbem, skromnym i dobrym człowiekiem, miało dla niego wymiar mistyczny. Zawsze przywoływał go jak kogoś świętego, akcentował, że dzięki tej znajomości otrzymał pewien duchowy dar.

Boks uratował Teddy'emu życie?

Dawał przepustkę do lepszego życia obozowego. Zarówno w Auschwitz, jak i później w Neuengamme. Śmiało mogę powiedzieć, że walki z Walterem Duningiem i z Sallym Hotenbachem były najważniejszymi w jego życiu. Nieważne okazały się sportowe laury, największą wartość stanowiło przecież życie. Doskonale oddają to jego zapiski.

Jak to się stało, że Niemcy pozwalali na pojedynki pięściarskie więźniów?

Walki w obozach koncentracyjnych odbywały się za przyzwoleniem władz SS, a więcej informacji na ten temat można znaleźć na wystawie „Sport i sportowcy w Auschwitz”, na której mój tato jest również upamiętniony. Na tą ekspozycję zdecydowałam się przekazać jego rękawicę bokserską, w której zapewne stoczył wiele swoich zwycięskich walk.

Po oswobodzeniu został podkomendnym gen. Stanisława Maczka? Nie obawiał się wracać do komunistycznej Polski? Rozważał emigrację?

Jak wielu polskich więźniów wyzwolonych przez aliantów postanowił dołączyć do polskich sił zbrojnych. Pancerniacy operowali najbliżej. Zastanawiał się nad pozostaniem na Zachodzie, bo powojenna ojczyzna była bardzo daleka od jego oczekiwań. Jednak w 1946 r. wrócił do Polski i nigdy tej decyzji nie żałował.

Niebawem został świadkiem na procesie Rudolfa Hössa...

Tak było. Dokładnie opisałam ten epizod w książce. Zachęcam do lektury.

Dalsze występy na ringu uniemożliwiło Teddy'emu utracone podczas wojny zdrowie?

Rezygnacja z czynnego uprawiania sportu była świadomą decyzją ojca. Poświęcił się pracy z młodzieżą – co było jego marzeniem – i spełniał się w tej roli doskonale.

Po maturze miał inny pomysł na życie?

Będąc uczniem stołecznego gimnazjum im. Stanisława Staszica, wykazywał uzdolnienia plastyczne. Pomagał nawet w rysunkach studentom architektury. Może więc, gdyby nie wojna, jego życie potoczyłoby się inaczej. Studia na Akademii Wychowania Fizycznego ukończył w wieku 33 lat. Jednak praca trenerska i marzenie, aby zostać nauczycielem, już wcześniej – po wyzwoleniu z obozu – mocno zaistniały w jego świadomości. Przyrzekł sobie, że jeżeli przeżyje piekło kacetów, to poświęci się wychowaniu młodzieży. Jego motto przewodnie brzmiało: „Być, to być najlepszym”. I taki właśnie był, takim został zapamiętany.

A skąd w życiorysie warszawiaka wzięła się Bielsko-Biała?

To rezultat jego miłości do mojej mamy. Tutaj postanowił spróbować szczęścia rodzinnego po raz trzeci. Z powodzeniem. Czuł się spełniony do końca swych dni.

Z tego miasta pochodził inny słynny sportowiec o tym nazwisku, imieniem Zbigniew. Rodzina?

To tylko zbieżność nazwisk. Ale jakże symboliczna!

O pani tacie napomknął Tadeusz Borowski w opowiadaniu „U nas w Auschwitzu” („Jeszcze dziś tkwi w nas pamięć o Numerze 77, który bił Niemców, jak chciał”), zaś Józef Hen napisał nowelę, którą zekranizowała przed ponad półwieczem kinematografia czechosłowacka. Ojciec zapewne czytał „Boksera i śmierć” i oglądał film pod tym samym tytułem?

Owszem, znał zarówno tę prozę, jak i ten obraz. Obydwa dzieła wywarły na nim bardzo wielkie wrażenie.

Nie kusiło go napisanie wspomnień?

Bardzo tego chciał i nawet podjął próby przelania na papier swoich losów. Niestety, zapiski nigdy nie ukazały się drukiem. Przetrwały w domowym archiwum. To właśnie one stanowią kanwę mojej książki „Mistrz. Tadeusz »Teddy« Pietrzykowski”, która wchodzi na rynek księgarski bez mała równolegle z premierą filmu „Mistrz” z Piotrem Głowackim w roli Teddy'ego.

ELEONORA SZAFRAN „MISTRZ. TADEUSZ »TEDDY« PIETRZYKOWSKI” RINGIER AXEL SPRINGER POLSKA 2021

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 21900df7cb

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Świnie i ludzie

Piotr Gociek

„Świnia" to aktorski triumf Nicolasa Cage'a i jeden z najlepszych filmów roku. Szkoda, by został przegapiony

Wszystko, co wpada nam do głowy w związku z premierą filmu „Świnia" („Pig"), tylko dezorientuje. W materiałach promocyjnych pojawia się porównanie do „Johna Wicka" – jest mocno chybione. Tytuł sugeruje opowieść o ludziach podłych – jest to tymczasem rzecz o ludziach nieszczęśliwych. Streszczenie jest absurdalne: farmer szuka zemsty na porywaczach cennej świni. Kogo to może zachęcić do seansu? No i wreszcie czytając, że w roli głównej pojawi się Nicolas Cage, spodziewamy się widowiska klasy B, ewentualnie jakiegoś dziwacznego horroru (sorry, Nicolas, tak się ostatnio kojarzysz). Tymczasem Cage pokazuje tu, że jest wybitnym aktorem. Co więcej, mylenie tropów trwa dalej, kiedy już zaczniemy oglądanie. I będzie trwać do ostatniej sceny filmu. Filmu, który jest jedną z najciekawszych i najbardziej oryginalnych premier roku.

WYKSZTAŁCONY ODLUDEK

Rob, którego poznajemy na początku filmu (w tej właśnie roli Nicolas Cage), to leśny człowiek; wiecznie umorusany, żyjący w chacie bez bieżącej wody i elektryczności. Jego jedynym towarzyszem niedoli jest wielce utalentowana świnia, która za dnia prowadzi go w miejsca, gdzie znaleźć można trufle, a nocą śpi w tej samej chacie jak najwierniejszy pies. Trufle odbiera raz w tygodniu młody kucharz: przedsiębiorczy Amir (gra go Alex Wolff). W zamian za towar

eprasa.pl 21900df7cb

najwyższej jakości dostarcza Robowi rzeczy najpotrzebniejsze do przetrwania w dziczy: mąkę, baterie i tak dalej.

Pewnej nocy nieznani sprawcy włamują się do chaty Roba. Kradną świnię, a jego samego pozostawiają nieprzytomnego. Następnego dnia brodaty odludek rusza w pościg. To chyba właśnie ten moment, który skłonił speców od promocji, żeby reklamować „Świnię" rzekomymi podobieństwami do „Johna Wicka", w którym Keanu Reeves mścił się za swego ukochanego pieska. Jednak nic z tych rzeczy, bohater grany przez Cage'a to żaden killer ani mistrz sztuk walki. Inna sprawa, że niesie w sobie wiele tajemnic. Ostatecznie, by odnaleźć sprawców nocnego napadu, będzie musiał wyruszyć do miasta – pobliskiego Portland – a towarzyszem jego poszukiwań będzie dotychczasowy wspólnik Amir. I tu historia zaczyna pokazywać swoje warstwy, a mylenie tropów zaczyna się na dobre. Za każdym razem, kiedy wydaje nam się, że już wiemy, jaki rodzaj historii oglądamy, i próbujemy przewidzieć, w którą stronę skręci, debiutant Michael Sarnoski (reżyser i scenarzysta filmu) wywodzi nas w pole.

Rob, outsider z wyboru, robi początkowo wrażenie chłopka-roztropka. Szybko odkrywamy, że wysławia się nienagannie, jest bez wątpienia człowiekiem obytym, wykształconym i z bardzo ciekawą przeszłością – i nie jest to przeszłość przestępcza. W chwili, gdy podejrzewamy, że rozwścieczony kradzieżą zacznie rozbijać łby – sam z własnej woli zbiera manto. Gdy zaczynamy wraz z bohaterami zanurzać się w półświatek Portland (a nawet dosłownie – podziemie), w głowie zaczynają się nam pojawiać obrazy z „Podziemnego kręgu", tymczasem ta dziwna subkultura bardziej przypomina surrealistyczne wizje Wesa Andersona (podziemie kucharzy – brzmi cudownie i szalenie jednocześnie). Niektórzy patrzą na Roba z pogardą i niechęcią. Czyżby zostawił za sobą jakieś brudne sprawki? Otóż nie, dotknął kiedyś życia bardzo wielu ludzi, ale dawni znajomi, pracownicy, przyjaciele, wspominają go z wielkim szacunkiem, a czasem nabożnym podziwem. On zaś pamięta ich wszystkich: nawet jeśli wiele lat wcześniej przez ledwie dwa miesiące mieli okazję u niego pracować.

Także młody Amir nie jest tym, kim z początku się wydawał. To nie jest bezczelny młody człowiek sukcesu, ale trapiony niepewnością i wątpliwościami chłopak, przytłoczony sukcesem życiowym ojca; stłamszony, samotny, szukający sposobu na udowodnienie własnej wartości. Niedobrana to, ale bardzo ciekawa para, a ich ekranowe interakcje są ozdobą „Świni". A chwile, kiedy toczą dysputy o nieuchronnym końcu świata, przesuwają całą opowieść w kierunku surrealnego snu, niemal jak „Donnie Darko" albo niektóre filmy Lyncha. Jednak to nie dziwność i fantasmagoria są celami Michaela Sarnoskiego, debiutujący – powtórzę – twórca trzyma to wszystko pewną ręką i wie doskonale, co chce nam powiedzieć. Co owocuje kolejną niespodzianką.

Jest bowiem kilka chwil, w których „Świnia" zdaje się zmierzać w podobną stronę co wieloznaczne, symboliczne i niewytłumaczalne dzieła – jak choćby niedoceniony u nas, bardzo ciekawy film „Tajemnice Silver Lake", dokonania wspomnianego już Davida Lyncha lub nawet i Leona Caraxa. Otóż nie. Kiedy dobijecie do finału filmu Sarnoskiego, odkryjecie, że była to w istocie bardzo prosta historia, opowiedziana w niezwykle oryginalny sposób. W istocie bowiem jest to opowieść o miłości – ale nie człowieka do świni, choć w pewnym momencie pytany, dlaczego tak bardzo chce odzyskać zwierzę, Rob mówi: „Kocham ją", bo włochata poszukiwaczka trufli służy nam tu za ważny symbol, na który główny bohater przekierował swoje emocje. Jest to też opowieść o dewastujących skutkach braku miłości (tu pomocny jest wątek Amira i jego trudnych relacji z ojcem). Oraz – przede wszystkim – jest to opowieść o stracie, o niemożności pogodzenia się z odejściem ukochanej osoby, o tym, że wraz ze śmiercią miłości umiera cały świat.

TRIUMFALNY POWRÓT

Fakt, że tak intrygujące i precyzyjnie utkane dzieło udało się stworzyć Michaelowi Sarnoskiemu w kinowym debiucie, niech będzie przedmiotem zazdrości i podziwu. Nie byłoby jednak tego sukcesu bez Nicolasa Cage'a, który jest jednym z najbardziej utalentowanych, charyzmatycznych oraz irytujących aktorów naszych czasów. Dla szerokiej publiki o długiej pamięci to wciąż gwiazdor z hollywoodzkich hitów na miarę „Skarbu narodów", „Twierdzy" czy „Bez twarzy". Miłośnicy kina ambitniejszego pamiętają

★★★★★☆

REŻ. MICHAEL SARNOSKI
„ŚWINIA" („PIG")
USA 2021

wyst. Nicolas Cage, Alex Wolff, Adam Arkin, dystr. Cineman

go z filmów „Ptasiek" czy „Arizona Junior". Na liście triumfów z dawnych lat ma Oscara za rolę w „Zostawić Las Vegas" i kapitalną szarżę w „Dzikości serca".

A jednocześnie to facet, który ostatnią dekadę spędził w rozpaczliwej pogoni za pieniędzmi, bo wciąż spłaca długi wobec amerykańskiej skarbówki. Był moment, kiedy grał w tak słabych filmach, że stał się człowiekiem memem. Mimo to powrócił, i to triumfalnie. Na własnych warunkach, w sposób ryzykowny, lecz – jak się okazuje – opłacalny. I nie chodzi tym razem o honoraria, lecz o to, że dzieli swój czas pomiędzy poślednie komercyjne robótki, o których nie warto wspominać, a ryzykowne, ale ciekawe artystycznie propozycje. I gdy w nie wchodzi, może wreszcie pokazać pełną skalę swojego aktorskiego talentu. Jego rola w onirycznym horrorze „Mandy" to osiągnięcie wybitne. Jego występ w „Kolorze z przestworzy" hipnotyzuje. Także to, co widzimy w filmie „Świnia", warte jest słów najwyższego uznania.

Sarnoski dał mu na ekranie wolną rękę, dał czas i zaufanie. Nicolas Cage odwdzięczył się występem bardzo zniuansowanym, odległym od szarż z dawnych lat (wszak kojarzony jest głównie z pięknymi ekranowymi napadami furii). Jego Rob to niespotykanie spokojny człowiek, który chce tylko, by pozostawiono go na uboczu wraz z jego bólem. W jednej, tylko jednej chwili straci nad sobą panowanie – i będzie to zaskakująco przerażające doświadczenie. Kim był wcześniej, w czasach prosperity? Nie wiemy. Może dupkiem nie do zniesienia? Czy dopiero osobista tragedia zamieniła go w dobrego człowieka? Takim bez wątpienia jest: uderzony nadstawi drugi policzek, odrzuci przemoc w imię bardzo oryginalnej perswazji, odrzuci skarby świata całego, bo nic nie są dla niego warte.

Film Sarnoskiego zostawia nas bez odpowiedzi w wielu kwestiach, ale to dobrze. Daje też okazję do religijnych obserwacji, bo postać Roba pozwala na bardzo ciekawe interpretacje. Jest dla mnie „Świnia" jednym z najlepszych filmów roku, filmem, który chyłkiem trafia do dystrybucji w serwisach VOD, a godny jest oglądania, przeżywania, rozumienia i analizowania. Nie pozbawiajcie się tego doświadczenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 21900df7cb

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

DVD vod.pl

Żołnierze imperium

★★★★☆☆

REŻ. ROD LURIE
„KAMDESH. AFGAŃSKIE PIEKŁO" („THE OUTPOST")
USA 2019

wyst. Scott Eastwood, Caleb Landry Jones, Orlando Bloom

Film inspirowany prawdziwymi wydarzeniami z roku 2006, które opisał w książce korespondent CNN. Bitwa o Kamdesh nie była największą podczas operacji w Afganistanie ani najbardziej krwawą, doskonale posłużyła natomiast do pokazania specyfiki interwencji oraz oddania hołdu amerykańskim żołnierzom. Trafiamy oto to jednego z licznych granicznych posterunków ulokowanych w skrajnie niesprzyjającym terenie: bazę zbudowano na dnie wąskiej doliny, dookoła piętrzą się strome zbocza, po zboczach wędrują talibowie. Transport możliwy głównie droga powietrzną, szanse na wsparcie żadne, można najwyżej czekać na śmierć. Można też zrobić, co tylko się da, by wysłać do piekła jak największą liczbę wrogów, a ocalić jak największą liczbę towarzyszy broni.

Rod Lurie, reżyser doświadczony, choć nie z ekstraklasy („Ostatni bastion", „Ukryta prawda"), nakręcił chyba swój najlepszy film: kameralny dramat wojenny stylizowany na dokument, w którym wszystko jest wiarygodne. Kto oczekuje wielkiej, melodramatycznej batalistyki, ten odejdzie rozczarowany. Kogo interesuje opowieść o zwykłych wojakach robiących swoje w najtrudniejszych okolicznościach – będzie zadowolony. Obsada pozbawiona gwiazd (z wyjątkiem Orlando Blooma) też uwiarygadnia opowieść. Smaczek dla kinomanów: mamy tu pokaźną reprezentację potomków wielkich gwiazd, grupę „twardziele 2.0", bo na ekranie pojawiają się Scott Eastwood (syn Clinta Eastwooda), Milo Gibson (syn Mela Gibsona) oraz Will Atenborough (wnuk Richarda Attenborougha). Zdecydowanie wybijają się jednak Scott Eastwood i Caleb Landry Jones, na których skupia się nasza uwaga.

Dziwnie ogląda się tę opowieść w chwili, kiedy Amerykanie na dobre opuszczają Afganistan. Weszli z innych pobudek niż Sowieci, nie po to, by zaprowadzić komunistyczny terror, lecz by ścigać terrorystów, budować demokrację i ustabilizować jeden z zapalnych punktów świata. Jednak do finału filmu Luriego i tak pasowałaby, paradoksalnie, puenta „Dziewiątej kompanii" Fiodora Bondarczuka. Zwykli żołnierze, którzy stawili czoła przeciwnikowi w skrajnie trudnych okolicznościach, odchodzą jako zwycięzcy. Ale imperium przegrało. ©℗

NOWE SERIALE: „HIT & RUN"

Pierwszy izraelski serial nakręcony specjalnie dla Netflixa to dzieło twórców „Faudy", oczekiwania były więc spore. Efekt rozczarowuje. „Hit & Run" zaczyna się intrygująco: amerykańska tancerka ginie w wypadku samochodowym w Tel Awiwie. Jej mąż, były żołnierz jednostki specjalnej, szybko odkrywa, że nie był to zwykły wypadek. Droga do prawdy będzie wiodła przez Nowy Jork i rozgrywki wywiadów oraz polityków najwyższego szczebla. Pierwsze dwa odcinki obiecują intrygę łączącą Harlana Cobena z Robertem Ludlumem. Potem seria traci tempo i zamienia się w szpiegowską telenowelę. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***sezon 1 „Hit & Run", Izrael 2021***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 1* ***„Paris Police 1900"****, Francja 2021* CANAL+

• *reż. Sabine Bernardi* ***„Ku'damm 63"****, Niemcy 2021*

• *reż. Alex Garland* ***„Ex Machina"*** CINEMAX

eprasa.pl 21900df7cb

Sanatorium Europa

HBO GO

Belgia od lat balansuje na krawędzi rozpadu. Czy to samo czeka Unię Europejską? Proste pytanie, lecz respons, który obmyślili twórcy „Bosego imperatora", jest cokolwiek mętny. Zaczyna się nawet interesująco. Król Belgii Nicolas III, poczciwiec pozbawiony charyzmy, w rocznicę zabójstwa arcyksięcia Franciszka Ferdynanda zostaje postrzelony w Sarajewie. Wracając do zdrowia na odciętej od cywilizacji chorwackiej wysepce, nie ma pojęcia, jakie polityczne burze przetaczają się nad Starym Kontynentem. Tito gościł tu niegdyś wielkich tego świata: od Indiry Gandhi i Jasira Arafata do Elizabeth Taylor i Richarda Burtona. Król śpi w łóżku Leonida Breżniewa. Szef sanatorium trzyma swych podopiecznych krótko, wznosi toast „za zmierzch Zachodu", a w gabinecie ma papugę o imieniu Duce. Jedna ze zbzikowanych pacjentek twierdzi zaś, że jest Polką i dzieciństwo spędziła z całą rodziną w obozie.

★★☆☆☆☆

REŻ. PETER BROSENS, JESSICA WOODWORTH
„BOSY IMPERATOR" („THE BAREFOOT EMPEROR")
BELGIA/CHORWACJA 2019

wyst. Peter van den Begin, Udo Kier, Geraldine Chaplin

Pomijając kilka zabawnych scen i przebłysków czarnego humoru („Holandię ustawimy między Bośnią i Serbią"), z ekranu wieje nudą.

Sugestia, że architektami „odrodzonej Europy" będą Niemcy, nie jest szczególnie odkrywcza, podobnie jak koncepcja przymusowej relokacji uchodźców. Gdy twórcom brakuje odwagi, powstaje bezzębny polityczny pamflet. A przecież gołym okiem widać, że imperator nie jest bosy, tylko nagi. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIRUS WOLNOŚCI

KINO

★★★★★☆

REŻ. SHAWN LEVY
„FREE GUY"
USA 2021

wyst. Ryan Reynolds, Jodie Comer, Joe Keery

Spotkanie dziewczyny ze snów z reguły zwiastuje kłopoty. Dla Guya, kasjera z banku, na który codziennie ktoś napada, to rewolucja. Ona jest bowiem awatarem, on zaś prostym algorytmem z gry komputerowej. Miłość uskrzydla i Guy z pionka staje się figurą, a w końcu liderem buntu wirtualnych postaci, które nie chcą być dłużej tłem dla szaleństw istot z realnego świata. Kłaniają się „Matrix" i „Truman show". W kategorii rozrywkowego widowiska „Free Guy" się broni, choć scenarzyści popełniają wielokrotny gwałt na logice, pomysły i zapasy autoironii kończą się im zaś w połowie seansu. Dyskurs o paradoksach sztucznej inteligencji tudzież szydera z producentów i użytkowników kretyńskich strzelanek ustępują miejsca podlizywaniu się młodocianej publice sloganami typu „Możesz być, kim zechcesz". Jeśli pamiętasz świat bez pecetów, a z gier kojarzysz tylko „Ponga" i „Węża", to nie jest film dla ciebie.

SMUTEK NORDYKÓW

KINO

★★★☆☆☆

REŻ. ROY ANDERSSON
„O NIESKOŃCZONOŚCI" („OM DET ÖANDLIGA")
SZWECJA/NIEMCY/NORWEGIA 2019

wyst. Martin Serner, Jan Eje-Ferling, Ania Nova

Melancholijny aneks do „Trylogii absurdu". Zaczyna się sceną pożyczoną od Chagalla: para kochanków lewituje w chmurach, niezbyt interesując się tym, co się dzieje na dole. A dzieją się rzeczy błahe i banalne, czasem dramatyczne lub wzruszające, najrzadziej zabawne. Ot, ludzka egzystencja w całej swojej krasie. Kto widział choć jeden film Roya Anderssona, tego nie zaskoczą statyczne kadry tudzież mozaikowa formuła z dialogami zredukowanymi do minimum. Bohaterowie szybko znikają z ekranu, ustępując miejsca następnym. Lejtmotywem jest utrata złudzeń. Pastor zaczyna wątpić w istnienie Boga, Hitler w zwycięstwo, emeryt dochodzi do wniosku, że niczego w życiu nie osiągnął. Znikąd pociechy, znikąd ratunku. Okrucieństwo godne Bergmana. Nowych fanów szwedzki surrealista tym filmem raczej nie pozyska, choć perspektywa odrodzenia się w postaci ziemniaka lub pomidora jest doprawdy frapująca. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „PSYCHONAUTS 2"

★★★★★☆

Różnie bywa z powrotami po latach, zwłaszcza tak wielu latach, a tych od premiery pierwszej części „Psychonauts" minęło aż 16. Barwnie nakreślone postacie w równie barwnym i ciekawie zaprojektowanym świecie były tym, za co polubiliśmy jedynkę. Czy te kolory straciły na intensywności w odsłonie drugiej? W żadnym razie. „Psychonauts 2" to bardzo udana, zabawna gra. Godny następca swojego protoplasty. Używanie nadprzyrodzonych zdolności telepaty Raza, penetrowanie umysłów napotkanych postaci, unikanie pułapek i rozwiązywanie łamigłówek składają się na zasłużoną opinię jednej z najlepszych platformówek ostatniego czasu. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Platformówka 3D, TPP*
- ***Platforma:*** *XSX, XONE, PC, PS4*
- ***Producent, wydawca:*** *Double Fine Productions, Inc. Xbox Game Studios/Microsoft*

eprasa.pl 21900df7cb

MOJA PÓŁKA

Przebudzenie z pięknego snu

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Półtora roku temu pisałem w tym miejscu o wspomnieniach Zofii Skąpskiej, zatytułowanych „Dziwne jest serce kobiety". Rozpoczęte jeszcze w wieku XIX, kończyły się na roku 1920. Dziś mam przyjemność anonsowania drugiego tomu tych ciekawych zapisków obejmujących lata 1920–1945. Uzupełnione przez wnuka autorki, Rafała Skąpskiego, listami, komentarzami, tablicami genealogicznymi, fotografiami i całą masą przypisów, tworzą 600-stronicową księgę, podobnie jak tom pierwszy, starannie wydaną nakładem Czytelnika.

Bohaterowie tej historii w 1920 r. przenieśli się na Pomorze. Wcześniej dzierżawiący majątki na Sądecczyźnie, zapragnęli „pójść na swoje" i tak zaczęli gospodarować w Wielkim Łęcku. Z początku było to prawie aż 900 ha, po parcelacji w 1938 r. pomniejszone do hektarów 300. W istocie nie stanowiło to ich prywatnej własności; majątek miał status domeny państwowej, co dziś można przyrównać do leasingu. Wedle umowy łączącej Jana Skąpskiego ze Skarbem Państwa Wielki Łęck miał przejść na jego własność po zapłaceniu ostatniej raty, a miało to nastąpić w roku… 1946.

Zofia Skąpska w II Rzeczypospolitej prowadzi aktywne życie. Zajmuje się domem i gospodarstwem, żeni synów i wydaje córki za mąż, przeżywa narodziny wnucząt, cały czas dając upust pasjom społecznikowskim. Prezesuje Stowarzyszeniu Pomorskich Ziemianek. Współtworzy i redaguje „Gospodynię Pomorską", wydaje broszury poradnicze, pisze ponad sto artykułów, służy poradami i interweniuje w wielu sprawach. Wydawać się może, że to ona jest w tej rodzinie najważniejsza, mąż schodzi na drugi plan, ale to tylko pozory. Związanemu ze Stronnictwem Chrześcijańsko-Narodowym Janowi Skąpskiemu, później prezesowi powiatowego oddziału

FOT. ARCHIWUM POTOMKÓW ZOFII SKĄPSKIEJ

BBWR w Działdowie, też licznych obowiązków nie brakuje, choć małżonka przedstawia go głównie jako myśliwego i znakomitego tancerza gustującego w balach i przyjęciach. Ona też od tych ostatnich nie stroni, a proszona przez gości chętnie zasiada do fortepianu.

We wspomnieniach Zofia Skąpska skupia się na sprawach najbliższych sobie, a jeśli porusza kwestie publiczne, to tylko w kontekście lokalnym. Kiedy pisze o śmierci Józefa Piłsudskiego, bardzo ważnego dla niej, poświęca temu wydarzeniu raptem 10 wersów, podczas gdy opisowi tortów na ślubie Wandzi 23 linijki, a już kompletowaniu dla córki wyprawy ślubnej – najmarniej 10 razy tyle. Czytelnik może jedynie żałować, że w przedwojennym życiu autorki tak niewiele zdarzeń wyłamywało się ze schematu ziemiańskich prac i rozrywek, bo np. jej świetnie napisana relacja z pobytu w sławnym zakładzie leczniczym dr. Apolinarego Tarnowskiego w Kosowie jest sama w sobie więcej niż interesującym reportażem.

Wielki Łęck, tak jak wcześniej sądecka Brzezna, przejść miał już niebawem w rodzinie Skąpskich do świata wspomnień. Ale gdy w 1958 r. Tadeusz Skąpski, ojciec Rafała, zajechał tam w podróży służbowej, serdecznie przyjęli go ci, którzy jeszcze pamiętali „rządy" jego rodziców. Swoją drogą miał obawy przed tą wizytą; nie został przecież odwołany zakaz zbliżania się „bezetów" (byłych ziemian) do utraconych majątków na odległość mniejszą niż 30 km. A Tadeusz Skąpski takim „bezetem" był.

Ich z trudem budowany świat zawalił się w roku 1939. Lato tamtego roku było piękne, ale burza już się zbliżała. „W Lidzbarku, co niedziela niemal, w pięknym lesie, w leśniczówce – czytamy – odbywają się zabawy z udziałem kawalerii i samego jenerała Andersa, który rozrywką nie gardzi. Jesteśmy na jednej takiej zabawie 15 sierpnia […]. Wesoło upływa czas, a tu widmo wojny coraz realniej się przybliża. W każdym dworze, w każdej wiosce kwateruje wojsko. Drogami ciągną podwody, pola coraz gęściej przeszywają rowy strzeleckie, powstają głębokie szańce, a człowiek jakoś dziwnie odwraca myśl o tej przyszłości lub też łudzi się nadzieją »zwycięstwa«. Mnożą się obchody, wiece i rozbrzmiewają pełne pewności okrzyki »Na Prusa, na Prusa, zwarci, gotowi, silni, nie damy ani guzika«". Aż nadszedł 1 września i „o piątej rano straszne przebudzenie".

Niemcy wyrzucają Skąpskich z Wielkiego Łęcka, po tułaczce znajdują schronienie w podkrakowskim Hebdowie, w majątku administrowanym przez ich najstarszego syna Antoniego. O jego i jego brata Tadeusza związkach z Państwem Podziemnym dowiadujemy się z dopełniających tom listów i komentarzy. Autorka o nich milczy, pisząc wyłącznie o tym, co było sednem i sensem jej życia. Jej i tylko jej.

Zofia Skąpska dożyła 1961 r. O tym, jak radziła sobie w „wyzwolonej" Polsce, dowiemy się z trzeciego i ostatniego tomu jej wspomnień. Na opracowanie czeka jeszcze 11 stukartkowych zeszytów. ©℗

★★★★★☆

ZOFIA Z ODROWĄŻ-PIENIĄŻKÓW SKĄPSKA „DZIWNE JEST SERCE KOBIECE… TOM 2. WSPOMNIENIA Z POMORZA I HEBDOWA"
CZYTELNIK, WARSZAWA 2021

eprasa.pl 21900df7cb

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Żyjąc w przyszłości

Jeśli przyjmiemy założenie Arthura C. Clarke'a, że science fiction próbuje dziś odpowiadać na pytania, które przyniesie jutro, to William Gibson jest wzorowym fantastą. Nie chodzi o to, by przewidzieć wydarzenia z przyszłości, lecz by dostrzec trendy. I zastanowić się, jakie przyniosą skutki dla społeczeństw i ich obywateli. Zatem ikonografia cyberpunkowych powieści Gibsona szybko trafiła do kosza, ale już świat ponadnarodowych korporacji, śmiercionośnych wirusów, wszechobecnego Internetu, wojen hakerskich i rosnącego rozwarstwienia – cóż, tu udało się amerykańskiemu twórcy bardzo dobrze.

Najbardziej znany jest z debiutanckiej powieści „Neuromancer" i jej dwóch kontynuacji. Teraz wydawnictwo MAG wznawia w jednym tomie jego inną trylogię („Światło wirtualne", „Idoru" i „Wszystkie jutra"). Mniej w nich bajeru, jakby coraz dojrzalszy pisarz uwierzył, że już nie musi być na siłę efektowny; może po prostu pisać. To zaś potrafi znakomicie. Jest jednym z najlepszych amerykańskich stylistów ostatniego półwiecza, którego charakterystyczne krótkie zdania są czasem tak piękne i napakowane znaczeniami jak haiku (opinia tłumacza Piotra W. Cholewy).

Nie będę streszczał wznawianych książek, bo musiałbym mieć kilka stron na recenzję, podpowiem tylko, że do swych wcześniejszych zainteresowań (cybertechnologie, nanotechnologie, nowy feudalizm przyszłości, rozpad społeczeństwa na cyberplemiona) Gibson dodaje z wielką wprawą problemy, które nie wydawały się na początku lat 90. tak istotne, a które na razie definiują wiek XXI. Pierwsza kwestia to zatarcie za pomocą tego, co się dzieje w wirtualu, granicy między prawdą i fałszem. Druga to obsesja współczesnej kultury i całego społeczeństwa na punkcie sławy, rozgłosu, celebrytów – zwijcie to, jak chcecie. (Przy okazji – Gibson też zaraz wkroczy, po czterech dekadach kariery, na nowy poziom sławy, bo jedna z jego ostatnich powieści – „Peryferal" – jest przerabiana na serial. Wiecie, można być geniuszem, ale oficjalnie dopiero wtedy, kiedy to potwierdzi telewizja).

Będę staromodny i zachęcę do lektury Gibsona inaczej. Cytatami. „To Ziemia jest dziś obcą planetą" – stwierdził w jednym z wywiadów. A już w 2003 r. w „The Economist" zauważał: „Przyszłość już nadeszła, tylko nie jest jeszcze równo rozdzielona". No i jak tu gościa nie słuchać! ©℗

★★★★★☆
WILLIAM GIBSON „TRYLOGIA MOSTU" MAG 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Rozmaite wersje historii, alternatywne rzeczywistości sąsiadujące ze sobą, a nawet zaczynające się przenikać: prowokacyjna powieść łącząca kryminał z fantastyką. Proza, której patronują i China Miéville, i trochę Philip K. Dick.

LAVIE TIDHAR „ZIEMIA NIEŚWIĘTA" ZYSK I S-KA

Czy wikingowie mieszkali w średniowiecznym Opolu? Czy odkryto już nowy Biskupin? Gdzie szukać dokumentów ukrytych przez Niemców? Gdzie kryją się zaginione dzieła sztuki? Gawędy autora znanego z magazynu „Odkrywca".

AMADEUSZ MAJTKA „POLSKIE SKARBY I TAJEMNICE" FRONDA

Drób, ptactwo łowne, wołowina, baranina, wieprzowina, dziczyzna – ta książka zdenerwuje wegetarian, a zachwyci mięsożerców spragnionych wiedzy o tym, co, jak i kiedy w Polsce jadano. Dzieło wciągające i pouczające.

MAGDALENA KASPRZYK-CHEVRIAUX „SZTUKAMIĘS ZE SZLACHTUZA" WYDAWNICTWO CZARNE

Wznowienie debiutanckiego tomu wierszy dla dzieci Brzechwy. Doceńmy nie tylko nieśmiertelne rymowanki, lecz także szatę graficzną, bo mówimy o nowym wydaniu legendarnej edycji z ilustracjami Stanisława Zamecznika. ©℗ *recenzuje Piotr Gociek*

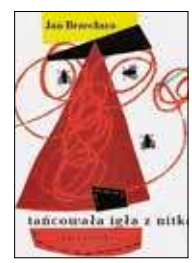

JAN BRZECHWA „TAŃCOWAŁA IGŁA Z NITKĄ" DWIE SIOSTRY

KOMIKS TYGODNIA: „BIBLIA"

Pomysłodawcą przedsięwzięcia był David C. Cook, amerykański wydawca chrześcijański, który w 1978 r. wydał komiks „The Picture Bible". Tom „Biblia. Komiks" („The Action Bible") to nowa wersja tego przedsięwzięcia, narysowana przez Sergia Carielle, twórcę współpracującego z Marvelem i DC. Licząca niemal 900 stron publikacja jest największą w dziejach komiksową adaptacją Pisma Świętego. I najbardziej udaną. Zawiera kluczowe fragmenty Biblii, a styl rysowania nie odbiega od tego, co można znaleźć w komiksach renomowanych oficyn. Polska edycja ukazuje się z imprimatur kurii metropolitalnej w Krakowie. ©℗ *Piotr Gociek*

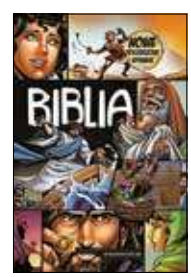

SERGIO CARIELLO „BIBLIA. KOMIKS" WYDAWNICTWO M 2021

eprasa.pl 21900df7cb

FOT. DAVID STUBE, FOTOSTUBE

Piast Superstars

– Pragniemy przedstawić naszych władców jako ludzi z krwi i kości, ludzi podejmujących trudne decyzje, które miały wpływ na nasze państwo. Nie chcemy rzucać datami i opisywać po zdaniu, co i kiedy miało miejsce. Zależy nam, by forma i przekaz były czytelne dla słuchaczy i budziły emocje – tak o założeniach projektu „Piast Superstars" mówi Michał Pilas, autor słów i muzyki piosenek, które w ramach tego projektu są nagrywane. Czym jest „Piast Superstars"? Przedsięwzięciem – wymyślonym i realizowanym przez Muzeum Początków Państwa Polskiego w Gnieźnie – w którego ramach nagrywane są piosenki i teledyski opowiadające o postaciach, datach i wydarzeniach z epoki wczesnopiastowskiej. „Nie jest to »śpiewana (czy rapowana) lekcja historii« – zaznaczają muzealnicy – a raczej pretekst do rozmowy o ludziach i decyzjach, które kształtowały piastowską Polskę". Dlatego nie ma tam przesadnego patosu, raczej opis codzienności naszych przodków.

Do współpracy zaproszono m.in. Marka Piekarczyka, Darka „Maleo" Malejonka oraz Ewę Piturę z zespołu Percival. W projekt zaangażowano też zespół profesjonalnych instrumentalistów, aranżerów, scenarzystów i scenografów. Autorem muzyki jest Michał Pilas, za aranżację i kompozycję odpowiada Tomasz Citak. Od strony muzycznej „Piast Superstars" osadzony jest w szeroko rozumianej muzyce rockowej połączonej z elementami folku.

Na pierwszy ogień poszli Bolesław III Krzywousty i Mieszko I. Piosenka „Na Kołobrzeg!" w wykonaniu Marka Piekarczyka i teledysk kręcony na kołobrzeskiej plaży udostępniono 18 sierpnia, a w minioną sobotę premierę miał opowiadający o Mieszku I „Czy mam wejść do wody?" w wykonaniu Dariusza Malejonka. W planach są kolejne utwory. Muzeum ma nadzieję, że po sukcesie pierwszych klipów, na których zrealizowanie udało się pozyskać sponsorów, pojawią się kolejni mecenasi. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Taniec z głową

Po sześciu latach duet Bass Astral x Igo ogłosił zakończenie działalności. Jesienią zagrają ostatnią trasę koncertową promującą trzeci album „Satellite".

Kuba Tracz i wokalista Igor Walaszek rozpoczynali karierę w rockowej formacji Clock Machine. Jako duet wkroczyli na teren elektronicznego popu z ambicjami. Po wydaniu w 2017 r. drugiego albumu „Orell" zespół został uznany za muzyczne odkrycie. Wynikało to ze stylistycznej różnorodności piosenek, w których można było odnaleźć echa dokonań tak różnych wykonawców jak Lenny Kravitz, Daft Punk, a nawet Arctic Monkeys czy Adele. Kluczowe dla rosnącej popularności zespołu były przemyślane, żywiołowe koncerty, dzięki którym dziś duet zapełnia największe hale.

„Satellite" przynosi zestaw 10 piosenek śpiewanych po angielsku. Nie ma tu odkrywania nowych lądów, ale nagrania wyróżnia dbałość o detale i dźwiękowe smaczki. Pojawia się jazzująca trąbeczka, pięknie w tle rozbrzmiewają smyki. Utwory są nieprzewidywalne i trwają znacznie dłużej niż typowe radiowe tupanki. Wszystko to sprawia, że muzyka brzmi nie tylko zawodowo, lecz także inteligentnie. Do tego niski głos Igora ma w sobie zalotną tajemniczość. Szkoda, że panowie się rozstają, z drugiej jednak strony może to zaowocować dwoma nowymi, nietuzinkowymi projektami na naszej scenie. ©℗

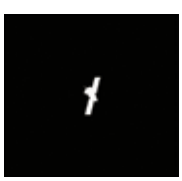

★★★★★☆

BASS ASTRAL X IGO
„SATELLITE"
IGLO

★★★★★☆

LOS LOBOS
„NATIVE SONS"
NEW WEST

Meksykańscy Amerykanie oddają hołd społeczności muzycznej rodzinnego Los Angeles. Los Lobos wykonują porywające wersje piosenek zarówno mało znanych nam zespołów, takich jak Jaguars, jak i takich tuzów jak Beach Boys, Buffalo Springfield i War.

★★★★★☆

GA-20
„TRY IT... YOU MIGHT LIKE IT!"
KARMA CHIEF

Dwaj biali bostończycy nagrali album z kompozycjami ich idola Hound Dog Taylora, który debiutował pół wieku temu. Ich wersje chicagowskiego bluesa iskrzą nieprawdopodobną energią, nie pozwalając słuchaczom usiedzieć na miejscu. House rockin' music w najlepszym wykonaniu. ©℗

eprasa.pl 21900df7cb

Zmieniamy życie pacjentów dzięki nauce™

W czasie zagrożenia zdrowia, kiedy mamy wyzwania na skalę światową, dzięki współpracy z wieloma partnerami:

opracowujemy nowe leki
udoskonalamy sposób ich dystrybucji
nieprzerwanie dostarczamy leki pacjentom na całym świecie

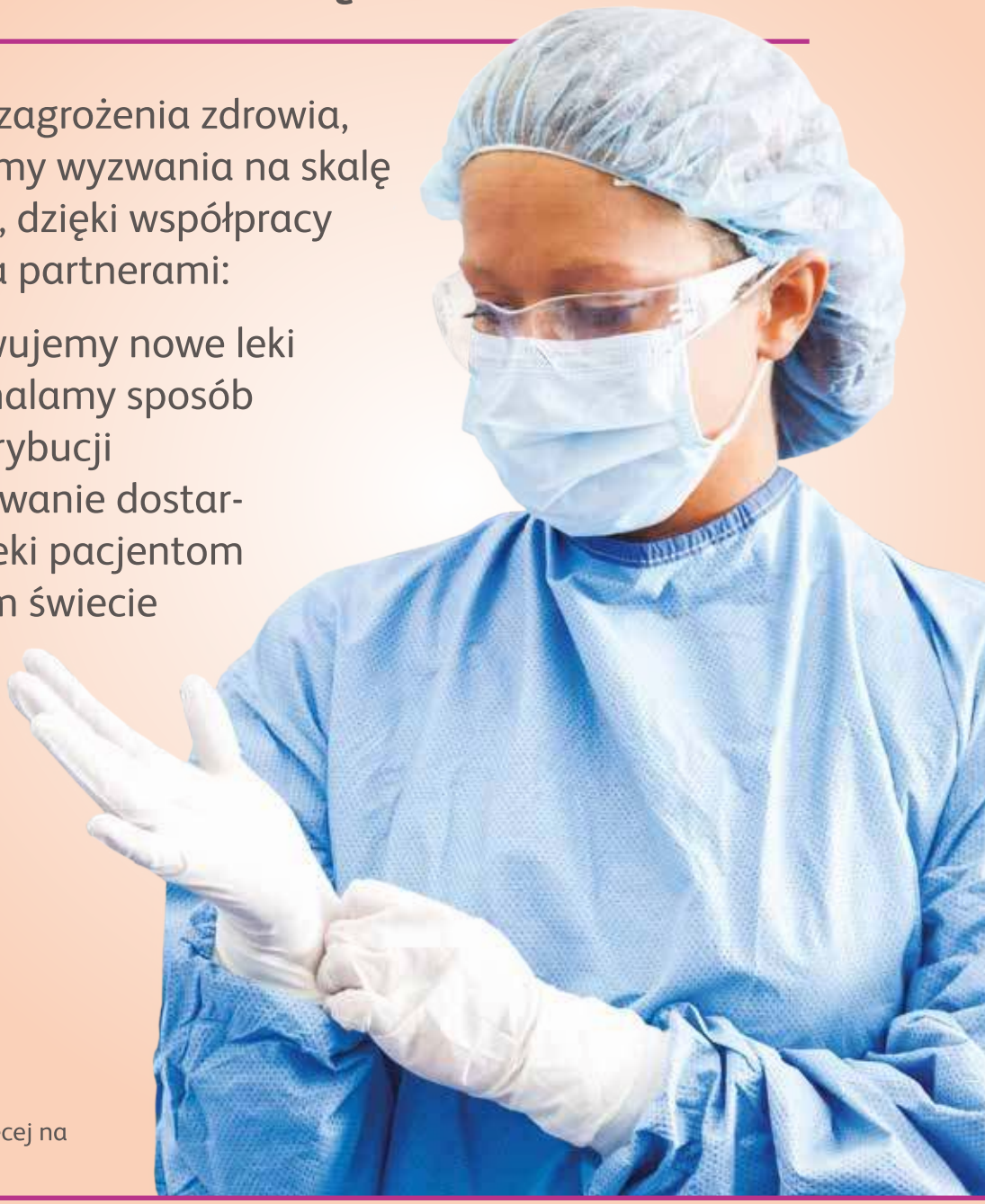

Dowiedz się więcej na
bms.com

ONCPL2011661-01,12.2020

Bristol Myers Squibb™

eprasa.pl 21900df7cb

FOT. KUPALAJCY/YOUTUBE

Tutejsi w Mińsku

Grzegorz Kondrasiuk

Narodowy Teatr Akademicki im. Janki Kupały w Mińsku cyklem rozmów na youtube'owym kanale „Купалаўцы" zainaugurował swój 102. sezon. Ten teatr żyje

9–11 sierpnia 2020, Białoruś – krwawe stłumienie obywatelskich protestów przeciwko fałszerstwom wyborczym.

12 sierpnia, Narodowy Teatr Akademicki im. Janki Kupały w Mińsku – spotkanie zespołu teatru.

13 sierpnia – zespół teatru ogłasza strajk, domagając się uczciwego przeliczenia głosów i zaprzestania stosowania przemocy wobec protestujących w całym kraju Białorusinów. Kilka dni później na budynku teatru pojawia się biało-czerwono-biała flaga.

17 sierpnia – Paweł Łatuszka, dyrektor teatru (w latach 2009–2012 minister kultury), zostaje zwolniony po publicznym poparciu protestów.

18 sierpnia – pierwsze posiedzenie Rady Koordynacyjnej ds. Przekazania Władzy na Białorusi stworzonej przez Swiatłanę Cichanouską, do której składu dołącza Łatuszka. Komentarz Łukaszenki na temat powołania rady: „Niektórzy z nich byli kiedyś u władzy lub byli blisko władzy. Zostali wyrzuceni, żyli urazą. Inni są jawnymi nazistami".

Druga połowa sierpnia – część zespołu teatru składa wymówienie, próbując wymusić powrót dyrektora. Wymówienia nie składa 15 aktorów (głównie starszego pokolenia). Wyrzucenie z pracy 58 pracowników teatru (w tym 36 aktorów) i powołanie nowego dyrektora. Z budynku znikają białoruskie flagi. Odchodzą kolejni pracownicy. Komentarz Łukaszenki skierowany do aktorów: „Chcieliście wolności? No to ją macie". Na drzwiach do teatru pojawiają się kartki z napisami: „Wygnano nas z domu, ale nie poddamy się!!!" i bukiety kwiatów.

2 września – były dyrektor teatru Paweł Łatuszka przekazuje mediom informację, że przebywa w Polsce, ponieważ „postawiono mu ultimatum: wyjechać z kraju albo zostać pociągniętym do odpowiedzialności". Łatuszka bierze udział w Forum Ekonomicznym w Karpaczu, spotyka się też m.in. z wicepremierem Piotrem Glińskim.

14 września – mija 100. rocznica powstania teatru uważającego się za „rówieśnika białoruskiej państwowości". Na YouTube ukazuje się minutowe nagranie. Patrząc wprost do kamery, z odsłoniętymi twarzami, 20 artystów teatru mówi m.in. takie słowa: „Z bólem serca patrzymy na to, co się dzieje w naszym kraju. Szanujemy prawo i prawa człowieka, ale każdego wieczoru żyjemy jak na froncie. Już nigdy nie będziemy mogli żyć tak jak przedtem. Żądamy powstrzymania używania przemocy wobec ludności cywilnej. Chcemy pokoju i spokoju".

Początek października – nielegalna premiera spektaklu „Tutejsi", sztuki Janki Kupały przygotowanej przez teatr z okazji 100. rocznicy otwarcia teatru. Spektakl sygnuje niezależna grupa teatralna Kupałowcy. O sobie piszą: „Jesteśmy teatrem narodowym, bo przez te wszystkie lata stoimy ramię w ramię z ludźmi. Teraz jesteśmy wolnymi ludźmi Kupały, niezależną grupą teatralną. Zostawiliśmy teatr, nasz dom, ale wierzymy, że na pewno do niego wrócimy". Spektakl jest grany na scenie zaaranżowanej potajemnie w pofabrycznej hali, gdzieś w Mińsku. To trzecia wersja kultowej realizacji w reżyserii Nikołaja Pinigina, który w 1990 r. przywrócił scenie tę sztukę Kupały, zakazaną przez sowiecką cenzurę z powodu „białoruskiego nacjonalizmu". „Następnego dnia do hali, w której pokazywano »Tutejszych«, wtargnęła policja. Nikogo nie znaleźli. Nie wiem, ile zagrano spektakli na żywo" – pisze białoruski krytyk, ukrywający się pod pseudonimem Matfiej Dymko.

12 października – internetowa premiera „Tutejszych" na YouTube. W ciągu pierwszego tygodnia spektakl miał ponad 300 tys. odsłon. „Wielu z widzów po raz pierwszy w życiu oglądało spektakl grany po białorusku" – pisze Dymko. „Kupała napisał komedię o ludziach, którzy zapomnieli o swoich białoruskich korzeniach. Pinigin wyreżyserował ten tekst jako tragedię małego narodu wciśniętego pomiędzy ambitne supermocarstwa. Nie szukał nowej interpretacji sztuki, lecz dostosował swój spektakl do młodych aktorów". Spektakl ciągle można zobaczyć w Internecie.

26 sierpnia 2021 r. – cyklem rozmów z „NOWIPROST" teatr inauguruje swój 102. sezon – na youtube'owym kanale „Купалаўцы". Przez rok pojawiały się tam kolejne premiery – spektakle, czytania dramatów, koncerty, rozmowy. Ten teatr żyje. Nie mam pojęcia, nie mamy tu w Polsce pojęcia – jakim sposobem. ©℗

Niezależna grupa teatralna Kupałowcy
Janka Kupała, „Tutejsi", reż. Nikołaj Pinigin, premiera: październik 2020 r.
Kanał YT: Купалаўцы
www.facebook.com/kupalaucy

eprasa.pl 21900df7cb

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

PORUSZAJĄCA ROZMOWA Z WETERANEM KAMPANII 1939 R.

Wojciech Szatkowski – **Zdrada Goralenvolk**
Piotr Zychowicz – **Góralski legion Waffen-SS**
Tomasz Stańczyk – **Kręta droga Krzeptowskiego**
Marek Gałęzowski – **Niemieckie oblężenie Warszawy**
Sławomir Koper – **Tajemnica śmierci Józefa Poniatowskiego**
Jacek Bartosiak – **Wojna mocarstw w Kosmosie**
Martin Dugard – **Biały podbój czarnej Afryki**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 21900df7cb

Ograny muzyk

Łukasz Warzecha

Prawdopodobnie widzimy właśnie końcowe rozdziały opowieści o politycznej przygodzie antysystemowego niegdyś muzyka

Jarosław Kaczyński uważa Pawła Kukiza za polityczną ciekawostkę, a nie partnera do długodystansowej gry FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Gdy w czerwcu Paweł Kukiz ogłaszał swoje przymierze z Jarosławem Kaczyńskim, zapowiadał, że zanim zagłosuje wspólnie z PiS w jakiejś istotnej sprawie – a było to jeszcze przed wyborem nowego rzecznika praw obywatelskich – PiS będzie najpierw musiał przegłosować jedną z ustaw kluczowych dla niegdysiejszego lidera zespołu Piersi.

Taki projekt został wniesiony 2 czerwca. Ma zmieniać Kodeks karny i niektóre inne ustawy, firmują go posłowie koła Kukiz'15, koła Polskie Sprawy i PiS. Od tego czasu odbyły się już dwa istotne dla partii rządzącej głosowania – właśnie w sprawie RPO oraz w sprawie nowelizacji Ustawy o radiofonii i telewizji. Paweł Kukiz i dwóch jego kolegów z koła głosowało zgodnie z linią PiS, wyłamał się Stanisław Tyszka. Tymczasem ustawa antykorupcyjna doczekała się na razie sprawozdania komisji sejmowej i tyle. Kiedy trafi ponownie pod obrady Sejmu – nie wiadomo. Kukiz wspominał w lipcu, że miałoby się to stać we wrześniu. I już ta sytuacja wystarczająco opisuje, jakie zasady współpracy pomiędzy PiS a Pawłem Kukizem narzucił Jarosław Kaczyński.

Jest jeszcze druga sprawa, o którą Paweł Kukiz walczy dłużej i której w dużej mierze zawdzięczał dobry wynik w pierwszej turze wyborów prezydenckich w 2015 r.: ordynacja wyborcza. Kukiz opowiadał się od lat za większościową, a więc taką, jaka obowiązuje w przypadku wyborów do Senatu. Teraz zapowiada, że we wrześniu zacznie prace komisja, która ma wypracować projekt zmian w ordynacji wyborczej. Jego głównym punktem – jak zapowiada Kukiz – ma być nadanie każdemu obywatelowi indywidualnego biernego prawa wyborczego. Oznaczałoby to, że w wyborach do Sejmu mogliby startować obywatele całkowicie indywidualnie, nie zaś – jak to jest dzisiaj – jedynie kandydaci, którzy mają poparcie komitetu wyborczego (nie musi to być partia polityczna, może to być również np. stowarzyszenie, nie da się jednak zgłosić swojej kandydatury po prostu jako Jan Kowalski). Kukiz nie wspomina jednak na razie o zmianie samego systemu wyborczego z proporcjonalnego na inny. Być może ten postulat na razie odpuścił.

Wziąwszy pod uwagę dotychczasowe wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego, gdyby w ogóle zmiany miały dotknąć tej sfery, na pewno w grę nie wchodziłby czysty system większościowy, taki jak w wyborach do izby wyższej, a najwyżej system mieszany. Tu zaczynają się schody, bo konfiguracja takiego systemu mieszanego, który zresztą może mieć wiele rodzajów, może zawierać w sobie mechanizmy sprzyjające ugrupowaniu obecnie rządzącemu, również za sprawą wyznaczania granic okręgów wyborczych. Te reguluje ustawa, a ich zmiany ograniczają terminy. Nie można tego robić na rok przed końcem kadencji (lub po jej skróceniu). Państwowa Komisja Wyborcza ma w tej sprawie prawo wnioskowania o zmiany, a tu z kolei trzeba przypomnieć, że od 2019 r. wyłaniana jest w nowy sposób i siedmioro spośród jej dziewięciorga członków wskazują kluby poselskie: troje rządzący, czworo opozycja. PKW stała się zatem organem równie politycznym jak np. Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji.

eprasa.pl 21900df7cb

Gdyby Jarosław Kaczyński miał się zgodzić na gruntowną reformę systemu wyborczego w Polsce, z całą pewnością dokładnie przeanalizowałby, co mu się opłaca. Jeden taki plan został już niemal zrealizowany, ale upadł z powodu weta prezydenta Andrzeja Dudy w 2018 r. Chodziło wówczas o ordynację wyborczą do Parlamentu Europejskiego. Proponowane wtedy przez większość rządzącą zmiany zaowocowałyby najpewniej wykluczeniem szans mniejszych ugrupowań.

TO NIE DRUGI GOWIN

Tyle że to wszystko hipotezy, bo najbardziej prawdopodobny jest scenariusz, który przed Pawłem Kukizem zarysował Borys Budka, wieszcząc, że postulaty muzyka nie zostaną spełnione, za to on sam zostanie cynicznie przez prezesa PiS wykorzystany. Na razie tak się właśnie dzieje. Jeżeli zaś faktycznie Kukiz jest Kaczyńskiemu potrzebny dla doraźnego wygrywania głosowań, aby pociągnąć do wyborów, które miałyby się odbyć przed terminem, wieszczenia Budki tym bardziej mogą się spełnić. Kadencja się skończy, nieprzegłosowane projekty przepadną (zasada dyskontynuacji), ale w paru sytuacjach Kukiz zdąży PiS uratować. Jak to mówią – i rubla nie zarobi, i cnoty nie uratuje.

Paweł Kukiz nie stanie się bowiem nowym Jarosławem Gowinem, choć patrząc na same liczby głosów, jest nawet blisko. Odchodząc z rządu, były wicepremier zabrał ze sobą jeszcze pięć osób. Kukiz mógłby przyprowadzić trzy oprócz siebie, gdyby nie to, że wymyka mu się Stanisław Tyszka, który wydaje się szukać własnego miejsca raczej po stronie opozycji. Kiedy ta odbywała spotkanie w sprawie ewentualnego kontrkandydata dla Elżbiety Witek na stanowisko marszałka Sejmu (wniosek o odwołanie marszałka musi być konstruktywny, a więc konieczny jest nowy kandydat), Tyszka pojawił się na nim, a dziennikarzom nie bardzo chciał odpowiedzieć na pytanie, czy występuje jako przedstawiciel swojego koła czy jedynie jako poseł Tyszka, wymieniany jako jeden z możliwych kandydatów. A więc czy właściwie jest jeszcze ze swoim dawnym patronem czy już niekoniecznie?

Szybko może się jednak okazać, że Kukiz reprezentuje jedynie sam siebie. Oprócz Tyszki w jego kole są jeszcze Jarosław Sachajko i Stanisław Żuk. PiS gotowy jest dzisiaj pójść bardzo daleko, jeśli chodzi o dopełnienie posiadanych obecnie 227 głosów, co pokazał żenujący casus posła Lecha Kołakowskiego, który najpierw PiS opuścił, a następnie do niego powrócił (w lipcu) i szybko odnalazł się jako doradca prezesa Banku Gospodarstwa Krajowego. Sachajko jest często wymieniany jako potencjalny następca znienawidzonego przez dużą część rolników Grzegorza Pudy, ministra rolnictwa będącego bliżej z organizacjami prozwierzęcymi niż wsią. Za dodatkowy głos można zapłacić i ministerialnym stanowiskiem, szczególnie jeśli dałoby się przy okazji choćby częściowo wygasić narastający konflikt z rolnikami, gdzie przywódcą jest Michał Kołodziejczak z Agrounii.

Trudno sobie wyobrazić, żeby Paweł Kukiz znalazł się na jakiejkolwiek liście wyborczej w następnej elekcji parlamentarnej

Stanisław Żuk z kolei też orbituje w kierunku partii Jarosława Kaczyńskiego – to dzięki niemu Elżbieta Witek mogła zarządzić niesławną reasumpcję głosowania w sprawie nowelizacji Ustawy o radiofonii i telewizji, ponieważ to on ogłosił, że się „pomylił". Może się więc rychło okazać, że te dwie osoby zasilają już bezpośrednio klub Zjednoczonej Prawicy, a Kukiz zostaje sam. Kaczyńskiemu brakowałoby wtedy jeszcze dwóch głosów w klubie do większości bezwzględnej. Zwykłą zapewne w większości sytuacji mógłby zebrać, wziąwszy pod uwagę, że Konfederacja głosuje różnie i nie bawi się w bycie opozycją totalną.

NIEWYKORZYSTANA SZANSA

Gowin miał podczas swojej obecności w koalicji pozycję czasem mocniejszą, czasem słabszą, jednak bez porównania lepszą, niż kiedykolwiek może mieć Kukiz – a więc też znacznie łatwiej było mu stawiać warunki i hamować takie rozwiązania jak zniesienie limitu 30-krotności w przypadku składek na ZUS dla lepiej zarabiających. Przez długi czas sojusz łączył go z Mateuszem Morawieckim, a resort najpierw nauki, potem rozwoju dawał mu mocne oparcie instytucjonalne, o funkcji wicepremiera nie mówiąc.

Kukiz takiej pozycji nigdy nie osiągnie. Nie tylko dlatego, że prawdopodobnie sam by nie chciał lub nie był w stanie poradzić sobie z rządową posadą, ale dlatego, że Jarosław Kaczyński uważa go za polityczną ciekawostkę, a nie partnera do jakiejkolwiek długodystansowej gry. Zdolność do jej prowadzenia przez Kukiza najlepiej recenzuje sam fakt, że muzyk wydaje się autentycznie wierzyć, iż prezes PiS z dobrą wolą zrealizuje jego postulaty.

Trudno pojąć, jak lider Kukiz'15 łączy to przekonanie – którego broni w kolejnych wywiadach – z pamięcią o pierwszej kadencji w Sejmie. Wówczas jego ugrupowanie było autorem wielu interesujących projektów ustaw, z których wszystkie były z punktu odrzucane przez większość tylko dlatego, że przygotował je ktoś inny.

Kukiz miał teraz właściwie jedną szansę na osiągnięcie swojego celu i pokazanie, że nie dał się ordynarnie wykorzystać: na samym początku współpracy z PiS mógł jasno zadeklarować, że warunkiem poparcia partii rządzącej w jakiejkolwiek istotnej sprawie będzie uchwalenie najpierw przynajmniej jednej z proponowanych przez niego ustaw, i twardo się tego warunku trzymać. Co przecież pierwotnie zapowiadał. Tak się jednak nie stało. Inna sprawa, czy Kukiz w ogóle ma kontrolę nad członkami swojego koła i czy mógł traktować głosy Sachajki i Żuka jak swój atut.

To prawdopodobnie końcowe rozdziały opowieści o politycznej przygodzie antysystemowego niegdyś muzyka, który przebojem wszedł do polityki sześć lat temu. Nawet gdyby jakimś cudem udało mu się doprowadzić do realizacji swoich najważniejszych postulatów, to nastąpi to najprawdopodobniej w postaci nieprzynoszącej mu chwały. Trudno sobie wyobrazić, żeby Paweł Kukiz znalazł się na jakiejkolwiek liście wyborczej w następnej elekcji parlamentarnej. Kaczyńskiemu do niczego już nie będzie potrzebny, nikt z opozycji na listy go nie weźmie. Chyba żeby do tego czasu weszła w życie zapowiadana przez niego reforma, pozwalająca startować do izby niższej indywidualnym kandydatom. Wtedy Kukiz mógłby spróbować skorzystać na własnym projekcie. Chociaż rezultat mógłby być dla niego bardzo bolesny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 21900df7cb

ks. Andrzej Kobyliński

Religia Holokaustu

Dlaczego oskarża się Polaków o współudział w Holokauście? W jaki sposób narodziła się nowa świadomość globalna, w której nie ma miejsca dla naszych ofiar? Dlaczego zbrodnie na jednym narodzie, na Żydach, nagle stały się jedynym symbolem uniwersalnego mordu?

eprasa.pl 21900df7cb

FOT. ADOBE STOCK

Od wielu lat oskarża się nasz naród o udział w zagładzie Żydów europejskich. Ostatnio tego rodzaju zarzuty pod adresem Polski pojawiły się w kontekście nowelizacji Kodeksu postępowania administracyjnego, której głównym celem było zatrzymanie „dzikiej reprywatyzacji". Nowe prawo zablokowało roszczenia dotyczące mienia bezspadkowego po ofiarach Holokaustu. Z taką zmianą w naszym systemie prawnym nie zgodziły się władze Izraela i Stanów Zjednoczonych. Najostrzejsze słowa krytyki padły ze strony Ya'ira Lapida, obecnego ministra spraw zagranicznych Izraela, który od wielu lat oskarża nasz kraj o współudział w eksterminacji Żydów w czasie drugiej wojny światowej. Podobne napięcie w relacjach między Warszawą i Tel Awiwem miało miejsce w 2018 r. Wówczas władze Izraela poddały ostrej krytyce przyjętą przez Sejm RP nowelizację ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej, która zawierała zapis umożliwiający karanie za publiczne i bezpodstawne przypisywanie narodowi polskiemu lub państwu polskiemu odpowiedzialności lub współodpowiedzialności za popełnione przez III Rzeszę zbrodnie nazistowskie. Z powodu presji międzynarodowej ostatecznie nasze władze usunęły z ustawy najbardziej kontrowersyjne przepisy dotyczące sankcji karnych.

MANIPULACJA PAMIĘCIĄ

Powracające jak bumerang oskarżenia pod adresem naszego narodu są przede wszystkim konsekwencją świadomości historycznej, która zdominowała cały świat. Zrozumienie głębokich zmian, które dokonały się w pamięci globalnej, ma dzisiaj kluczowe znaczenie dla naszych interesów narodowych. W tym kontekście lekturą obowiązkową powinna być książka Pawła Lisickiego z 2016 r. pt. „Krew na naszych rękach? Religia Holocaustu i tożsamość Europy". Niestety, w ostatnich miesiącach żaden z naszych polityków, komentujących oskarżenia izraelskie i amerykańskie, nie odwołał się do argumentów zawartych w tej publikacji. To zdumiewające. Uważam, że książka stanowi najważniejsze opracowanie ostatnich lat, gdy chodzi o relacje polsko-żydowskie, zbrodnie komunizmu i nazizmu czy obowiązek pamięci o ofiarach systemów totalitarnych XX w. Opracowanie budzi nasze społeczeństwo ze snu. Dlaczego? Ponieważ w przekonujący sposób pokazuje obecny stan świadomości globalnej, dotyczący wiedzy na temat Żydów, Polaków i drugiej wojny światowej, w której nie ma miejsca na pamięć o ofiarach narodowości polskiej. Bez tej książki trudno zrozumieć m.in. ostre reakcje Izraela i USA na nowelizację Kodeksu postępowania administracyjnego. Owszem, spór dotyczy pieniędzy i odszkodowań, ale jeszcze bardziej stanowi on odsłonę brutalnej walki o pamięć historyczną, która odgrywa coraz większą rolę w prowadzonych obecnie wojnach hybrydowych.

Lisicki słusznie zauważa, że czasy, kiedy Polacy mogli żyć w naiwnym przekonaniu, iż są postrzegani jako ofiary drugiej wojny światowej, dawno się skończyły. W ostatnich dziesięcioleciach dokonał się nowy podział ról. Od połowy ubiegłego wieku główną ofiarą stali się Żydzi. Mieszkańcy Stanów Zjednoczonych, Brazylii czy Włoch są przekonani, że barbarzyństwo ubiegłego stulecia należy ograniczyć de facto do Holokaustu. W tej nowej świadomości globalnej nie ma miejsca na polskie ofiary XX w. Niestety, w naszym kraju niewiele osób rozumie tę zupełnie nową sytuację. W ostatnich miesiącach potwierdziły tę prawdę reakcje naszych polityków czy dziennikarzy na oskarżenia płynące z Tel Awiwu i Waszyngtonu. Niestety, w Polsce stawia się bardzo często fałszywe diagnozy, gdy chodzi o przyczynę oskarżeń dotyczących polskiej współwiny za śmierć kilku milionów Żydów europejskich.

Dlaczego oskarża się Polaków o współudział w Holokauście? W jaki sposób narodziła się nowa świadomość globalna, w której nie ma miejsca dla naszych ofiar? Dlaczego Kościół katolicki w wielu krajach praktycznie uznał swoją winę za doprowadzenie do zbrodni popełnionych w ubiegłym stuleciu? W jaki sposób Polacy przestali być postrzegani przez inne narody jako ofiary drugiej wojny światowej? Dlaczego zbrodnie na jednym narodzie, na Żydach, nagle stały się jedynym symbolem uniwersalnego mordu? Lisicki twierdzi, że główną przyczyną tych radykalnych i bardzo niekorzystnych dla naszego kraju zmian jest powstanie tzw. religii Holokaustu, która w drugiej połowie XX w. najpierw zdominowała opinię publiczną krajów zachodnich, a następnie rozlała się bardzo szybko po całym świecie dzięki kulturze masowej i mediom elektronicznym. Ta nowa „religia" opiera się na czterech zasadach. Po pierwsze, Holokaust był zbrodnią nieporównywalną z żadną inną w historii ludzkości, zbrodnią najokrutniejszą i najstraszniejszą. Po drugie, uczestniczyła w tej zbrodni cała ludzkość: jeśli nawet bezpośrednimi sprawcami mordów byli Niemcy, to realizowali oni ukryte pragnienia milionów zwykłych ludzi w wielu krajach, aby pozbyć się ludności narodowości żydowskiej. Po trzecie, głównym źródłem tego krwiożerczego pragnienia było chrześcijaństwo, które od swych narodzin cechowało się wrogością do wyznawców judaizmu. Po czwarte, wszyscy ludzie, także ci, którzy żyli w krajach okupowanych przez Niemców, także Polacy, mają krew na rękach. Ci są podwójnie napiętnowani: raz jako katolicy, dwa – bo na ich ziemi doszło do mordu.

eprasa.pl 21900df7cb

Lisicki podkreśla, że „religia Holokaustu" zmieniła rozumienie drugiej wojny światowej, ideologii nazistowskiej, odpowiedzialności narodu niemieckiego za wymordowanie wielu milionów istnień ludzkich. Zgodnie z zasadami tej nowej „religii" Adolf Hitler nie był zbrodniarzem i mordercą ludzi różnych narodowości, ale wyłącznie zabójcą Żydów. W konsekwencji podbite narody, Polacy, Serbowie, Rosjanie czy Białorusini, to nie osobne ofiary, ale nieistotny nawóz historii, przypis do wielkiej tragedii Holokaustu. Owszem, byli jeszcze jacyś ludzie, którzy „Żydów ratowali, reszta jednak, cała wielomilionowa rzesza, przyglądała się biernie albo wręcz w mordzie uczestniczyła. Otoczeni przez mrowie chrześcijańskiej tłuszczy, która czyhała na ich życie i majątek, Żydzi ginęli samotnie. W tej opowieści Hitler przekształca się z Niemca, z niemieckiego nazisty, w wyraziciela ukrytych pragnień i dążeń zdeptanych przez niego ludów". Trzeba zdecydowanie odrzucić taką wizję historii. Nie wolno zgodzić się z tezą o naszej współwinie za Holokaust, którą przypisuje się nam z dwóch powodów: jako Polakom i jako katolikom. W rzeczywistości Polacy byli tak samo ofiarami drugiej wojny światowej jak Żydzi.

JUDAIZM I CHRZEŚCIJAŃSTWO

Obszerną część książki stanowią niezwykle ciekawe i pełne erudycji analizy, dotyczące relacji chrześcijańsko-żydowskich na przestrzeni dwóch tysięcy lat. Lisicki odwołuje się do opracowań wielu zagranicznych intelektualistów, badaczy, filozofów, teologów, historyków, egzegetów. Przywołuje fragmenty opracowań m.in. takich autorów jak James Caroll, John Connelly, David R. Blumenthal, John D. Crossan, Harold Kaplan, Anthony J. Sciolino. Co wynika z analizy kilkudziesięciu ważnych opracowań naukowych? Okazuje się, że w przeszłości różnego rodzaju spory między chrześcijanami i Żydami miały charakter nie tyle rasowy i etniczny, ile religijny i teologiczny. Dla Żydów wiara w Jezusa jako Syna Bożego, kogoś, kto zasiada obok Ojca po Jego prawicy, była uznawana od samego początku za herezję i bałwochwalstwo. Dlatego w kręgach żydowskich bardzo szybko narodziła się wrogość wobec wyznawców Chrystusa, której przejawem było m.in. tworzenie modlitw antychrześcijańskich.

Lisicki wykazuje, że różnego rodzaju postawy antyżydowskie wśród chrześcijan były reakcją na wrogość Żydów do wyznawców Chrystusa. Nie jest prawdą, że bakcyl antysemityzmu został zasiany już na kartach Nowego Testamentu i rozwijał się na przestrzeni dziejów. To fałsz, że Hitler był następcą dawnych chrześcijańskich nauczycieli, tym, który zrealizował ich testament. Niestety, zwolennicy „religii Holokaustu" próbują najpierw pokazać istnienie śladów antysemityzmu już na kartach Nowego Testamentu, a następnie dążą do tego, aby udowodnić, że dzieje stosunków Kościoła i Synagogi były jednym nieustannym pasmem „prześladowań narodu żydowskiego, dla których ideologiczną podstawę stanowiło przekonanie, że Żydzi zabili Chrystusa. W ten sposób dochodzą do Hitlera, który, mówią, zradykalizował stare przesłanie i wyciągnął z niego ostateczne konsekwencje".

Lektura książki Lisickiego rodzi wiele trudnych pytań dotyczących obecnego obrazu Polski w świecie i pamięci o polskich ofiarach ubiegłego stulecia. Polacy powinni sobie jak najszybciej uświadomić, że fałszywe informacje na temat naszej historii zazwyczaj nie są przejawem wpadek, przejęzyczeń, błędów korektorskich, złej woli, spisku czy niechęci do naszego narodu. Niestety, taka jest po prostu wiedza na całym świecie na temat naszej najnowszej historii. Dziennikarze w Szwecji, Argentynie, Hiszpanii czy Australii mówią o nas jedynie to, czego nauczyli się w szkole, na uniwersytetach, o czym mogą przeczytać w książkach i gazetach. Taka jest dominująca świadomość globalna – Polska była nie tyle ofiarą zbrodni drugiej wojny światowej, ile ich sprawcą.

EDUKACJA HISTORYCZNA

Na naszych oczach toczy się obecnie wściekła i bezwzględna walka o pamięć, którą przegrywamy. Dlaczego? Bo nie rozumiemy, jak zmienił się świat wokół nas w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Większość naszego społeczeństwa ciągle naiwnie myśli, że wszyscy na świecie pamiętają o naszych ranach, o zasługach, o krwi przelanej w czasie drugiej wojny światowej. To straszny błąd. Należy stanowczo podkreślić, że bolesnego problemu oskarżeń o naszą współodpowiedzialność za Holokaust nie wolno redukować do obecnego dość często w mediach międzynarodowych wyrażenia „polskie obozy śmierci". Owszem, warto reagować, gdy się ono pojawia, ale wyzwanie stojące przed nami ma zupełnie inny charakter. Jednym z głównych zadań, stających przed Polską w najbliższych dziesięcioleciach, jest cierpliwe, mozolne i stanowcze przekonywanie światowej opinii publicznej, że w ubiegłym stuleciu nasz naród nie był sprawcą, lecz ofiarą niewiarygodnych zbrodni. Od trafnej diagnozy tego problemu zależy podjęcie adekwatnych działań, które będą przywracać dobre imię naszego kraju. Pozytywny obraz Polski ma kolosalne znaczenie dla naszej pozycji w świecie w wymiarze politycznym, kulturowym i gospodarczym.

W tym miejscu chciałbym przywołać pewien wątek osobisty. W 1991 r. byłem kilka dni w Paryżu. Poznałem wówczas młodego historyka z Uniwersytetu Harvarda w USA. Wielogodzinna rozmowa z tym badaczem, szczera i życzliwa, była dla mnie wielkim wstrząsem. Po raz pierwszy w moim życiu odkryłem z przerażeniem, że w wielu środowiskach amerykańskich Polska jest uznawana za sprawcę zbrodni drugiej wojny światowej. To był dla mnie wielki szok intelektualny i emocjonalny. Następnie w latach 1992–1998 studiowałem we Włoszech, ale przebywałem także prawie rok w Niemczech oraz w Wielkiej Brytanii. W tych krajach przeglądałem podręczniki do historii, odwiedzałem biblioteki i księgarnie, słuchałem wykładów, śledziłem debaty medialne. Wnioski, do których wówczas doszedłem, pokrywają się zasadniczo z głównymi tezami książki Pawła Lisickiego. Niesprawiedliwy obraz Polski dominuje w świecie od ok. 80 lat. Nie wolno udawać, że jest inaczej. Należy podejmować wszystkie możliwe działania, które w perspektywie wielu dziesięcioleci mogą przynieść zmianę w tej materii.

Publikacja „Krew na naszych rękach? Religia Holocaustu i tożsamość Europy" ma 640 stron. Warto, żeby książka ukazała się ponownie w wersji znacznie skróconej, bardziej przystępnej dla szerszego kręgu odbiorców. Opracowanie powinno stać się jednym z ważnych narzędzi kształtowania świadomości historycznej w naszym kraju. Pamięć o przelanej krwi jest naszym obowiązkiem. Żydzi i Polacy byli ofiarami, Niemcy byli sprawcami zbrodni. Ma rację Lisicki, gdy ostrzega, że gdyby zaakceptować przekaz medialny i historyczny, obecny dzisiaj na wszystkich kontynentach, na temat drugiej wojny światowej, oznaczałoby to, że godzimy się z opinią, iż śmierć milionów naszych rodaków „była w jakimś stopniu gorsza i mniej wartościowa niż śmierć żydowska".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 21900df7cb

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

VI EDYCJA NAGRODY

JUŻ W GRUDNIU

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS:

Enea

eprasa.pl 21900df7cb

Joseph Goebbels na spotkaniu z marszałkiem Józefem Piłsudskim, Warszawa, czerwiec 1934 r. (pięć miesięcy po podpisaniu polsko-niemieckiej deklaracji o niestosowaniu przemocy) FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 21900df7cb

Z dr. Krzysztofem Rakiem, historykiem dyplomacji
rozmawia Maciej Pieczyński

Jak Piłsudski balansował między Stalinem a Hitlerem

MACIEJ PIECZYŃSKI: Dość powszechna jest opozycja: Piłsudski romantyk vs. Dmowski realista. Pan burzy ten stereotyp. Tytułowy bohater pańskiej książki „Piłsudski między Stalinem a Hitlerem" prowadzi pragmatyczną, zimną, wyrachowaną, pozbawioną abstrakcyjnego doktrynerstwa, a przede wszystkim skuteczną politykę zagraniczną.

DR. KRZYSZTOF RAK: Piłsudski miał nieomylny zmysł polityczny. Miał instynkt władzy, wiedział, gdzie ta władza jest i jak po nią sięgać. Skuteczność polityka polega na działaniu, a nie na głoszeniu idei, które często są dla tego działania jedynie przykrywką. Polityka zagraniczna bywa błędnie porównywana z szachami. W tej grze wygrywa ten, kto przewiduje jedno posunięcie dalej niż przeciwnik. W polityce nie jest to możliwe, bo liczba ruchów rywala jest nieograniczona. Dlatego najważniejsza jest realna ocena układu sił. Działanie oparte nie na sztywnej realizacji konkretnego planu, lecz na analizie rzeczywistości i wykorzystaniu okazji, które ona daje. Wszystko to ma na celu jeden nadrzędny cel: utrzymanie bytu państwa. Doktrynerzy z reguły przegrywają, a pragmatycy wygrywają. Jak mawiał Bismarck, męża stanu poznaje się po tym, że potrafi on dostrzec, kiedy Bóg przechodzi przez historię, złapać go za płaszcz, trzymać jak najmocniej tak, aby go Bóg jak najdalej na tym płaszczu pociągnął. Lenin, Stalin, Hitler chcieli być kreatorami rzeczywistości. Ich eksperymenty się nie powiodły. Skuteczny polityk jest pokorny wobec rzeczywistości i nie wchodzi w buty Pana Boga.

W 1926 r. Piłsudski wykorzystał do zdobycia władzy swoich i Polski śmiertelnych wrogów – komunistów. Czy chwytanie się akurat tego płaszcza nie było aby nazbyt ryzykowne?

Piłsudski ograł komunistów. Wmówił im, że wciąż jest rewolucjonistą, a zatem Moskwa powinna go poprzeć. Komuniści liczyli na to, że zamach stanu doprowadzi do wojny domowej. A w konsekwencji do rewolucji, która wyniesie ich do władzy. Piłsudski zdawał sobie sprawę z tego zagrożenia. Dlatego skorzystał ze wsparcia komunistów, ale nie spełnił ich nadziei – nie zalegalizował KPP i szybko ustabilizował sytuację w kraju, wygaszając i tak zresztą niezbyt powszechne nastroje rewolucyjne.

Józef Piłsudski skutecznie balansował pomiędzy Berlinem a Moskwą. W ciągu dziewięciu lat zawarł dwa pakty o nieagresji z bardzo agresywnymi sąsiadami (w 1932 r. z ZSRS, w 1934 r. z Niemcami), wobec których trzymał równy dystans, nie ustąpił ani kawałka ziemi, nie doszło też do żadnej wojny. Czy to wyłącznie zasługa jego geniuszu? Czy udało się to dzięki słabości mocarstw, które wtedy jeszcze były „na dorobku"? A może kluczem okazała się wspólnota interesów Polski – raz ze Stalinem, raz z Hitlerem?

Pod względem strategicznym pomiędzy Warszawą a Moskwą i Berlinem zawsze panowała absolutna rozbieżność interesów. Polska była dzieckiem traktatu wersalskiego, którego skutki Niemcy i ZSRS chciały unieważnić. Pod względem taktycznym natomiast było o co grać. Piłsudski miał świadomość, że Polska jest słaba, a zatem swoją pozycję może budować jedynie za pomocą techniki balansu dyplomatycznego, czyli równoważenia nie tylko wpływów Niemiec i Rosji, lecz także – o czym się zapomina – mocarstw zachodnich. Chodziło o to, by z każdym z tych państw z osobna mieć lepsze stosunki, niż one mają między sobą. Natomiast balansowanie pomiędzy Moskwą a Berlinem nie mogło trwać w nieskończoność. Było bowiem oczywiste, że w pewnym momencie któreś z mocarstw zorientuje się, że Warszawie nie zależy na trwałym zbliżeniu z nim, tylko na tym, by popsuć jego relacje z drugim mocarstwem. Pierwszy w grze Piłsudskiego

eprasa.pl 21900df7cb

zorientował się Stalin i w pierwszej połowie 1934 r. zastopował zbliżenie z Warszawą. Zauważmy, że Piłsudski mógł skutecznie balansować tylko dzięki dojściu do władzy Hitlera. Do roku 1933 Niemcy nie chcieli grać z marszałkiem, bo czekali, aż Polska upadnie, co umożliwi im rewizje granicy zachodniej. Wódz narodowych socjalistów zerwał z duchem Rapallo, zamiast sojuszu z Moskwą dążył do sojuszu z Warszawą. Piłsudski zyskał dzięki temu pole manewru. Korzystając z tego, że Hitler oddalił się od Stalina, marszałek zaczął sondować jednocześnie Hitlera i Stalina…

I w lipcu 1933 r. zaproponował Stalinowi, że jeśli Sowieci pomogą Polsce utrzymać Pomorze, to Polacy w zamian pomogą obronić Leningrad. Pańskim zdaniem to była oferta sojuszu. Nieszczera, bo miała posłużyć jako „haczyk", na który Piłsudski chciał złapać Stalina. Po co?

Żeby mógł skutecznie balansować. Dobre stosunki z ZSRS wzmacniały pozycję Polski nie tylko w relacjach z Niemcami, lecz także z mocarstwami zachodnimi. W dyplomacji działa zasada „do ut des" (daję, abyś dał). Piłsudski musiał coś dać Stalinowi, coś atrakcyjnego musiało być zawieszone na tym haczyku. I była to bardzo ogólnikowa propozycja sojuszu militarnego wymierzonego w Niemcy. Była ona niezwykle atrakcyjna, bo Sowieci wiedzieli, że celem strategicznym Hitlera jest krucjata przeciwko ZSRS. Ewentualny sojusz polsko-sowiecki w praktyce oddalał od nich tę groźbę. Co więcej, samo złożenie takiej propozycji było ważnym sygnałem dla Kremla, że Piłsudski nie myśli o wspólnym z Hitlerem ataku na ZSRS.

Czy można z całą pewnością powiedzieć, że to był wyłącznie blef, a Piłsudski nie miał zamiaru sprzymierzyć się na poważnie ani ze Stalinem, ani z Hitlerem?

Moim zdaniem tak. Gdyby Polska weszła w jedno z tych porozumień, automatycznie utraciłaby swoją niezależność na rzecz jednego z mocarstw, stając się satelitą. Piłsudski dobrze to rozumiał, dlatego balansował dopóty, dopóki mógł. Co ważne, po lipcu 1933 r. już nie wrócił do propozycji sojuszu antyniemieckiego, mimo że Stalin wyraźnie na to czekał. Z drugiej strony w grudniu 1933 r. jasno zakomunikował wysłannikowi Hitlera, że nie zgodzi się na sojusz antysowiecki, bo w interesie Polski leży pokój ze wschodnim sąsiadem, z którym ma ponad tysiąc kilometrów granicy. Stalin kilka miesięcy później zorientował się w manewrach Piłsudskiego i odpuścił tę grę. Hitlera otwarta odmowa nie zraziła i konsekwentnie, aż do 1939 r., próbował namówić Warszawę do wspólnej wyprawy przeciwko ZSRS. Miał bowiem świadomość, że bez pomocy Polski podbój tego kraju będzie bardzo trudny. Sojusz z Polską ułatwiłby mu też porozumienie z mocarstwami zachodnimi, które było konieczne, aby uniknąć wojny na dwa fronty. Być może Hitler, sprzymierzony z Warszawą, otrzymałby od Paryża i Londynu wolną rękę na wschodzie. Polska była słaba gospodarczo, ale dysponowała silną liczebnie armią, a jej geopolityczne położenie było na tyle znaczące, że determinowało układ sił na kontynencie.

> **Stalin jako pierwszy zorientował się, że balans dyplomatyczny Piłsudskiego zbytnio wzmacnia pozycję Polski**

W styczniu 1935 r. Piłsudski odrzucił propozycję wspólnej z Hitlerem krucjaty przeciwko ZSRS. Czy to była pańskim zdaniem słuszna decyzja?

Oczywiście, że tak. Sojusz z Hitlerem oznaczałby podporządkowanie Polski Niemcom. A przecież Niemcy były wówczas wciąż jeszcze relatywnie słabe, dopiero budowały swoją potęgę. Piłsudski, jak każdy skuteczny polityk, umiał grać na czas, który nieraz sam rozwiązuje problemy. Hitler mógł umrzeć, mogło dojść do zamachu stanu w Niemczech… Dlatego tak wczesny sojusz z nim nie miał sensu – stracilibyśmy możliwość balansu, a w zamian niewiele byśmy zyskali. Przypomnijmy, Polska wtedy znalazła się w układzie, w którym balansowała pomiędzy Berlinem a mocarstwami zachodnimi.

Dobrze, że było z kim balansować. Stalin na przełomie lat 1931 i 1932 chciał zbliżenia z Polską i dążył do niego wbrew antypolskiej i proniemieckiej postawie sowieckiego Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych. To chyba też była sprzyjająca Piłsudskiemu okoliczność?

LKSZ doktrynersko uzależniał wtedy całą dyplomację sowiecką od relacji z Niemcami. Maksym Litwinow i jego najbliżsi współpracownicy byli wówczas niepoprawnymi germanofilami. Stalin patrzył szerzej…

Prowadził politykę wielowektorową?

Zgadza się, jednym z jej wektorów było zbliżenie z Polską. Podobnie jak Piłsudski miał dobre wyczucie sytuacji międzynarodowej. Dojście Hitlera do władzy pokazało, że miał rację, twierdząc, iż ZSRS nie może budować swojej polityki tylko na relacjach z Berlinem.

Taktycznie chciał zbliżenia z Warszawą, ale strategicznie chyba nie powinniśmy mieć wątpliwości, że celem Stalina była światowa rewolucja, po „trupie Polski"?

Tak. Chciał doprowadzić do wojny imperialistycznej pomiędzy państwami kapitalistycznymi, czyli najlepiej pomiędzy Niemcami a Francją i Wielką Brytanią. Z czasem w zmęczonych konfliktem społeczeństwach zachodnich powstałaby sytuacja rewolucyjna. A wtedy do akcji wszedłby ZSRS i podbiłby osłabioną Europę. Dopóki jednak do takiej wojny nie doszło, a Sowieci dopiero budowali swoją potęgę, dopóty Stalin potrzebował porozumienia z Polską, bo tylko przez jej terytorium mogła przejść ewentualna antysowiecka interwencja.

Sam pan jednak pisze, że gdy Polska w 1935 r. odrzuciła ofertę takiej krucjaty, Stalin stracił zainteresowanie zbliżeniem z Warszawą. Dlaczego?

Stalin jako pierwszy zorientował się, że balans dyplomatyczny Piłsudskiego zbytnio wzmacnia pozycję Polski. Gdy w styczniu 1934 r. Warszawa podpisuje z Berlinem deklarację o niestosowaniu przemocy, Moskwa wymaga od Warszawy, w ramach równowagi, zawarcia wspólnego układu dotyczącego bezpieczeństwa państw bałtyckich. Polska odmawia. Gdy jednak w lutym tego samego roku szef MSZ Józef Beck przyjeżdża do Moskwy, jego sowiecki odpowiednik – Maksym Litwinow – wyciąga z ich spotkania ciekawe wnioski. Mianowicie: w jego ocenie sojusz polsko-niemiecki był w tamtym momencie niemożliwy. Stalin uznał wobec tego, że Polska jest mu niepotrzebna – zbliżenie z nią nie wzmocni i tak na razie pewnego bezpieczeństwa ZSRS, wzmocni natomiast pozycję samej Polski, a tego gensek nie chciał. Poza tym Moskwa miała wyraźną przewagę informacyjną nad Piłsudskim i Hitlerem. Rosjanie opublikowali niedawno kilkanaście dokumentów, z których wynika, że ambasada niemiecka w Warszawie była dogłębnie zinfiltrowana przez tamtejszą rezydenturę Razwiedupru, czyli sowieckiego

eprasa.pl 21900df7cb

wywiadu wojskowego. Sowieci byli doskonale poinformowani o stanie relacji polsko-niemieckich. Szybko dowiedzieli się o tym, jak w styczniu 1935 r. Piłsudski odmówił Göringowi udziału w krucjacie na wschodzie. Stalin zaglądał w karty przywódcom Polski i Niemiec.

Co Piłsudski mógł zrobić lepiej, balansując między Stalinem a Hitlerem?

Zrobił wszystko to, co w danej sytuacji można było zrobić. Prowadził politykę dobrze dopasowaną do bieżących realiów. Doprowadził do sytuacji, w której Polska, państwo stosunkowo słabe, przestała być przedmiotem, a stała się podmiotem stosunków międzynarodowych. A to wielka sztuka.

Pańskim zdaniem Józef Beck, kierujący polską dyplomacją u progu drugiej wojny światowej, „nie miał woli inicjatywy oraz sprytu" Piłsudskiego „i dlatego to nie Polska wybierała sojusze, a sama została przez nie wybrana". W programie „Historia realna" stwierdził pan, że Warszawa powinna blokować ekspansję Hitlera w Europie Środkowej, zamiast w niej pomagać. Co jeszcze pańskim zdaniem należało wtedy zrobić, żeby uniknąć hekatomby?

W przededniu wybuchu wojny Polska musiała zawrzeć jakiś sojusz. Najlepiej z blokiem państw, który okaże się zwycięski. I rzeczywiście tak się stało. Tyle że na zwycięstwie naszych sojuszników niewiele zyskaliśmy, a wiele straciliśmy. Trzeba było zacząć działać wcześniej. Jedyną sensowną polityką było powstrzymywanie ekspansji Hitlera w 1938 r., czyli uniemożliwienie albo przynajmniej opóźnienie anszlusu Austrii i rozbioru Czechosłowacji. Obrońcy polityki Becka chwalą go za to, że w 1939 r. postawił się Niemcom. Idąc tym tokiem rozumowania, powinni jednocześnie krytykować szefa polskiej dyplomacji za to, że rok wcześniej pomógł Hitlerowi w rozbiorze Czechosłowacji. Trzeba być konsekwentnym. Albo uznajemy, że ekspansja III Rzeszy w Europie Środkowej jest sprzeczna z interesem Polski, a wtedy robimy wszystko, aby tę ekspansję zatrzymać już na samym początku i nie pozwolić na wydłużenie granicy polsko-niemieckiej o granicę czechosłowacką; albo uważamy, że z Hitlerem warto się dogadać, a wtedy działamy na rzecz rozbicia Czechosłowacji i zajmujemy Zaolzie, a następnie przyjmujemy wszystkie jego warunki i ramię w ramię ruszamy na Moskwę. Uważam, że trzeba było wybrać wariant pierwszy. Jednak skoro już Beck początkowo postawił na tę drugą opcję, to powinien ją doprowadzić do końca. Po zajęciu Czechosłowacji mieliśmy już do wyboru wyłącznie albo nierównorzędny sojusz z Hitlerem, albo wojnę, a wystarczy spojrzeć na mapę, żeby zrozumieć, że w tej wojnie, okrążeni z trzech stron, byliśmy skazani na porażkę.

Tylko czy ta słaba Polska byłaby w stanie zatrzymać ekspansję III Rzeszy bez wsparcia Zachodu, który w Monachium się z tą ekspansją pogodził?

Trzeba było próbować. Hitler bez naszej pomocy wolniej trawiłby Czechosłowację, a to dałoby nam bezcenny czas na przygotowanie się do wojny. Nie wiem, co by było dalej, bo realistyczna polityka polega na wykorzystywaniu bieżącej, dynamicznie się kształtującej sytuacji, a nie na gdybaniu.

Aneksja Zaolzia jest też plamą na reputacji narodu, który przecież dba o wizerunek „ofiary totalitaryzmów". Do tej pory Rosjanie z ogromną satysfakcją powtarzają frazę Churchilla, który nazwał Polskę „hieną Europy".

Reputacją w ogóle bym się nie przejmował, gdybyśmy mieli jakąkolwiek realną korzyść z rozbioru Czechosłowacji. Ale nie mieliśmy. Zyskaliśmy dwa powiaty i przeszło 100 tys. obywateli, a Hitler stał się panem Europy Środkowej. W efekcie już rok później padliśmy ofiarą agresji, która pozbawiła nas państwowości i milionów obywateli.

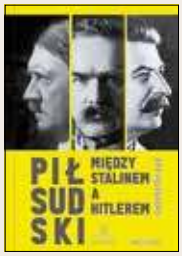

KRZYSZTOF RAK
„PIŁSUDSKI MIĘDZY STALINEM A HITLEREM"
BELLONA 2021

„Polityka Piłsudskiego – pod piórem dr. Raka – nie miała żadnych niewzruszonych zasad. Sprowadzała się do »kombinowania« między Niemcami a Sowietami. A skoro tak było, to znaczy, że Polska Piłsudskiego nie miała żadnej polityki zagranicznej godnej tego miana. Oczywiście nie ma na to zgody" – piszą profesorowie Kornat i Wołos na łamach „Sieci". Czy polityka zagraniczna musi mieć jakieś „szlachetne, niewzruszone zasady", żeby godna była miana polityki zagranicznej?

Na wstępie chciałbym zauważyć, że profesorowie w swoim artykule przypisują mi tezy, których nie głosiłem. Od kilku tygodni muszę więc wyjaśniać, że nie jestem wielbłądem. Wystąpienie Kornata i Wołosa nie ma nic wspólnego z polemiką naukową, ponieważ krytykują oni nie moje poglądy. Nie jest to więc dyskusja z moimi tezami, ale próba zdyskredytowania mnie jako autora książki. Mam wrażenie, że moi adwersarze nie rozumieją, czym jest polityka zagraniczna. Nie rozumieją, że nie jest ona zbiorem szczytnych zasad, tylko działalnością ukierunkowaną na realizację interesów państwa, a przede wszystkim na zachowanie jego bezpieczeństwa i istnienia. Piłsudski nie „kombinował", tylko balansował pomiędzy Niemcami a Rosją, żeby uchronić Polskę przed utratą podmiotowości i niepodległości. To jest proste jak drut, ale – jak widać – nie dla wszystkich.

Nie ma pan wrażenia, że współczesna polska polityka zagraniczna jest raczej tym, o czym piszą Kornat i Wołos, niż tym, co robił Piłsudski? Dużo patosu, ideowych deklaracji, doktrynerstwa, niewiele pragmatyzmu...

Będę jednak bronił współczesnych polskich polityków. Pamiętajmy, że Piłsudski był dyktatorem. A dyktatorowi o wiele łatwiej prowadzi się politykę zagraniczną. Nie musi bowiem liczyć się z różnicami zdań pomiędzy partiami. Demokracja jest pewnym utrudnieniem w dyplomacji. Szczególnie w relacjach z krajami rządzonymi silną ręką. Putin jako dyktator ma zawsze dyplomatyczną przewagę nad wybranym demokratycznie prezydentem USA. Inna sprawa, jak ją wykorzystuje. Naszym problemem nie jest nieudolność polityków, tylko niemożność osiągnięcia pewnego elementarnego konsensusu w warunkach zbyt ostrej – z punktu widzenia interesów państwa wręcz samobójczej – walki międzypartyjnej.

Dyktator nie musi też oglądać się na opinię publiczną.

No właśnie. Wyobraźmy sobie, że jakiś polski polityk, naśladując Piłsudskiego, wpadłby na pomysł jakiegoś tajnego manewru strategicznego w relacjach z Putinem. Przecież, gdyby taka inicjatywa wyszła na jaw, ten polityk zostałby zniszczony w oczach opinii publicznej i byłby skończony. Sposób prowadzenia polityki zagranicznej jest skorelowany z wewnętrznym systemem politycznym, panującym w danym kraju. Dlatego Piłsudski, jako dyktator, miał łatwiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Krzysztof Rak – historyk dyplomacji, historyk filozofii, tłumacz, publicysta.

eprasa.pl 21900df7cb

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Murzyn w PRL

W jednej z ostatnich scen „Misia" prezes Ochódzki mówi, że gdy był młody, był Murzynem i grał w kosza. Następnie przeistacza się w czarnoskórego zawodnika odbijającego piłkę o podłogę. Tę rolę w filmie Stanisława Barei zagrał Kent Washington. Amerykański koszykarz, który przyjechał do PRL, aby grać w polskiej lidzie w barwach Startu Lublin.

W nowym numerze „Karty" znalazł się fascynujący fragment jego wspomnień. Washington przyleciał do Polski w styczniu 1979 r. W sam środek burzy śnieżnej. Jeszcze większy szok przeszedł w hotelu.

„Zamówiono dla mnie przystawkę – wspomina Washington – lecz gdy tylko zobaczyłem, co jest na talerzu, wiedziałem, że nie mogę tego wziąć do ust. Byłem w stanie przyjąć, że to popularny polski przysmak, jednak jedzenie surowej wołowiny z surowym jajem na wierzchu nie mieściło mi się w głowie. »Czy możemy z tego usmażyć hamburgera?« – zapytałem nieśmiało".

Washington był zdumiony, gdy okazało się, że w PRL są tylko dwa kanały telewizyjne. Podczas swojego debiutu został przyjęty entuzjastycznie przez polską publiczność. Cała hala skandowała jego imię. A po ostatnim gwizdku rzucił się na niego tłum fanów. Ludzie chcieli go dotknąć, musnąć po włosach, wziąć autograf. Był prawdziwą sensacją.

Wkrótce Lublin ogarnęła – jak ujmowała to prasa – „kentomania". Na mecze (także wyjazdowe) waliły tłumy. Washington nie mógł zjeść spokojnie posiłku w restauracji, bo natychmiast dopadał go tłum kibiców. Jak podkreśla, w Polsce (poza jednym incydentem) nie zetknął się z objawami rasizmu. Wprost przeciwnie – czuł się w naszym kraju dobrze i bezpiecznie.

Po odejściu ze Startu Washington grał w Zagłębiu Sosnowiec. Wkrótce jednak wybuchł stan wojenny. Rozgrywki zostały zawieszone, a na ulice wyjechały czołgi. Mimo że koszykarz dostawał górnicze kartki na mięso i tak musiał spędzać całe godziny w sklepowych kolejkach. Wkrótce wyjechał do Szwecji.

To niejedyny ciekawy tekst w nowej „Karcie". Na uwagę zasługują fragmenty dziennika z frontu wschodniego napisanego przez niemieckiego lekarza Hermanna Türka. Zostały opatrzone zrobionymi przez niego kolorowymi fotografiami. ©℗

★★★★★★
„KARTA"
108/2021

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pierwsza polska elekcja

Tron polski od czasów Władysława Jagiełły nie był dziedziczony, ale to Jan Olbracht został pierwszym królem wybranym w drodze wolnej elekcji.

Elekcja monarchy była wynikiem rozbicia dzielnicowego, gdy po wygaśnięciu kolejnych linii Piastów możnowładcy wybierali następnego władcę. Wprawdzie z reguły decydowano się na księcia, który dysponował odpowiednią siłą zbrojną, ale nie mógł on panować wbrew woli możnych. Musiał dojść z nimi do porozumienia, a oni zaakceptować jego kandydaturę. W zamian gwarantował im zachowanie funkcji i majątków oraz obiecywał kolejne zaszczyty. Wykorzystywano przy tym coraz słabszą pozycję Piastów, którzy musieli zaakceptować stawiane warunki.

Rycerstwo nie zamierzało się spokojnie godzić z decyzjami możnych

Z czasem powstała przyboczna rada książęca, a potem królewska, której członkowie mieli decydujący głos w państwie. Oczywiście po śmierci Władysława Łokietka zatwierdzili sukcesję Kazimierza Wielkiego, ale gdy ostatni z Piastów na polskim tronie zmarł, nie doczekawszy się syna, sytuacja była już zupełnie inna.

Rycerstwo nie zamierzało się jednak spokojnie godzić z decyzjami możnych, dlatego to właśnie jego zjazd zatwierdził wybór Jagiełły na małżonka Jadwigi i na króla Polski. Jagiełło po bezpotomnej śmierci Andegawenki pozostał na tronie, ale już nie jako władca dziedziczny, tylko obieralny. Dlatego chcąc zapewnić następstwo swoim synom z ostatniego małżeństwa, musiał prosić szlachtę o zgodę, a w zamian wystawiać kolejne przywileje. Nie oznaczało to jednak automatycznego wyboru, gdyż syn Jagiełły, Władysław, zwany później Warneńczykiem, po śmierci ojca musiał zostać formalnie okrzyknięty królem. Z kolei negocjacje w sprawie wyboru na krakowski tron Kazimierza Jagiellończyka ciągnęły się aż dwa lata, a w tym czasie w Polsce trwało bezkrólewie.

Jego długie panowanie nic nie zmieniło w sprawach dziedziczenia korony. Dlatego Kazimierz umierając, mógł tylko polecić na tron polski Jana Olbrachta, natomiast władzę na Litwie przekazać Aleksandrowi. Z tego też powodu po śmierci króla odbyła się formalna elekcja i 27 sierpnia 1492 r. w Piotrkowie ogłoszono osobę nowego władcy. Przed zgromadzonych wystąpił jeden z członków rady królewskiej i trzykrotnie zapytał, czy wybór Jana Olbrachta jest ich wolą. Za każdym razem wznosiły się ręce rycerstwa i rozlegał się chóralny okrzyk, potwierdzający wybór. Następnie, wśród ogłuszającego dźwięku trąb, dostojnicy wraz z królem udali się do kościoła, by podziękować Bogu za pomyślną elekcję. ©℗

eprasa.pl 21900df7cb

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

STRAŻNIK PAMIĘCI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

eprasa.pl 21900df7cb

Europejska forteca

Jacek Przybylski

Polscy żołnierze rozpoczęli budowę płotu na granicy polsko-białoruskiej. Sporo przed nami „mury" mające chronić przed inwazją imigrantów zaczęły wznosić takie kraje jak Hiszpania, Grecja, Słowenia, Austria czy Węgry

Polscy wojskowi rozpoczęli w ubiegłym tygodniu budowę ogrodzenia na granicy polsko-białoruskiej. „Płot zwiększy jej szczelność i znacznie utrudni próby nielegalnego przekraczania" – ogłosił na Twitterze minister obrony Mariusz Błaszczak. Solidny płot ma mieć 2,5 m wysokości.

Jak wyjaśniał na konferencji prasowej premier Mateusz Morawiecki, prace potrwają kilka, kilkanaście tygodni.

– Będziemy zabezpieczać na samym początku ten odcinek, który jest najłatwiejszy do nielegalnego przejścia, a trudniejszy do nadzorowania – czyli odcinek lądowy. Z naszej liczącej 418 km granicy białoruskiej to jest ok. 180–190 km. Od niego zaczynamy – ogłosił szef rządu.

I chociaż opozycja naśmiewa się z planów polskiego rządu, to obecnie nawet instytucje unijne nie są już tak skore do nawoływania do obowiązkowego przyjmowania uchodźców i imigrantów ekonomicznych. Przeciwnie: urzędnicy w Brukseli przekonują, że konieczna jest ścisła ochrona zewnętrznych granic Wspólnoty. Dziś sam Charles Michel, belgijski przewodniczący Rady Europejskiej, znany z krytyki rządów w Budapeszcie czy Warszawie, niemalże cytuje członków rządu Viktora Orbána, apelując o to, by nie tworzyć nowego rynku dla przemytników ludzi, i dopominając się, aby z determinacją kontrolować przepływy migrantów.

WYSOKOŚĆ PŁOTU: 12 METRÓW

Mimo że lewica próbuje przekonywać, że stawianie murów na granicy „nie jest żadnym rozwiązaniem", to przed Polską wysiłki, których celem było uszczelnienie granic, podjęło już wiele innych europejskich państw. Opublikowany w roku 2018 raport „Fortress Europe" wskazywał, że od czasu upadku muru berlińskiego w 1989 r. kraje Unii Europejskiej wzniosły ponad tysiąc kilometrów ogrodzeń, płotów i murów, aby chronić swoje granice. W 2019 r. według raportu Transnational Institute w Amsterdamie różnego rodzaju systemy umocnień na swoich granicach miało już 10 unijnych państw.

Ogrodzenia, płoty i mury znajdowały się już wówczas m.in. na granicy Słowenii i Chorwacji (od roku 2016), Bułgarii i Turcji (z 2014 r.), Austrii ze Słowenią i Włochami (Austriacy postawili je w 2016 r.) oraz Macedonii z Grecją (postawione przez Macedończyków w 2015 r.).

Do miejsc, w których potok nielegalnych przybyszów z Afryki jest największy, należą m.in. hiszpańskie eksklawy w Ceucie i Melilli. Aby chronić hiszpańską i jednocześnie unijną granicę w okolicach „afrykańskich wrót do Europy", władze zdecydowały się wybudować „mur". I to nie byle jaki. Składa się on z dwóch ustawionych równolegle metalowych płotów. W Ceucie ściśle chroniony odcinek mierzy 8 km. Początkowo – jeszcze w latach 90. – mierzył on 3 m wysokości. I chociaż na szczycie ogrodzeń Hiszpanie umieszczali drut kolczasty, to okazywało się, że zapora jest zbyt łatwa do pokonania. Z biegiem lat „mur" sukcesywnie podwyższano, najpierw z 3 do 6 m, a potem jeszcze bardziej.

Obecnie wysokość ogrodzenia wynosi w tym rejonie ok. 10 m. Jeszcze wyższe są płoty w Melilli. Tu wielokilometrowe zasieki mają nawet 12 m, a na wielu odcinkach ogrodzenie składa się nie z dwóch, ale z trzech równolegle do siebie postawionych płotów. Oczywiście tradycyjne ogrodzenia, uzbrojeni strażnicy i wieżyczki strażnicze to tylko element rozbudowanego systemu ochrony. Najbardziej

eprasa.pl 21900df7cb

W obawie przed imigrantami w hiszpańskiej Melilli wysokie płoty stoją na granicy od wielu lat

FOT.NURPHOTO/GETTY IMAGES

newralgiczne odcinki granicy Hiszpanie naszpikowali nowoczesnymi technologiami. Dostępu do kraju bronią więc nie tylko nowoczesne kamery na podczerwień oraz kamery termiczne, lecz także systemy radarowe, czujniki ruchu i dźwięku oraz automatyczne rozpylacze gazu łzawiącego.

CYFROWE FORTECE

Jeszcze przed rozpoczęciem obecnego kryzysu migracyjnego Grecy zakończyli budowę na granicy z Turcją mierzącego 5 m wysokości potężnego muru zwieńczonego drutem kolczastym i uzbrojonego w najnowsze technologie nadzoru. Długość tej instalacji to aż 40 km. Grecy chcieli dobrze się przygotować na kolejne uderzenie, są bowiem pomni doświadczeń z poprzednich kryzysów migracyjnych, gdy w stronę żołnierzy broniących granicy migranci rzucali nie tylko kamienie i butelki, lecz także koktajle Mołotowa, wspierani przez tureckich żołnierzy w cywilnych ubraniach, którzy w stronę Greków wystrzeliwali pojemniki z gazem łzawiącym.

Nowy mur wspierają systemy czujników, które przekazują dane do centrum sterowania, w którym algorytmy sztucznej inteligencji podpowiadają, czy wykryte zachowanie może być potencjalnie niebezpieczne, jeszcze zanim przed murem zgromadzi się agresywny tłum. Aby lepiej chronić granice, ustawiono również wieżyczki obserwacyjne, których załogi wyposażone są w noktowizory i zaawansowane kamery dalekiego zasięgu. Wojsko może również liczyć na zdjęcia przesyłane przez drony nad lądem, morzem, a także na obrazy spod powierzchni wody.

Greckie wojska są także uzbrojone w nowoczesne urządzenia do bezkrwawej walki z napierającym tłumem, takie jak np. działka akustyczne dalekiego zasięgu (Long Range Acoustic Device, w skrócie LRAD). Są to niewielkie urządzenia emitującego przeraźliwe dźwięki, wywołujące ból zmuszający napierające grupy do zakrywania uszu i jak najszybszego wycofania się.

Tego typu urządzenia są używane m.in. przez amerykańską policję do rozpraszania agresywnych demonstrantów.

W 2016 r. za ponad 2 mln euro Francja i Wielka Brytania zbudowały „wielki mur w Calais", czyli betonowy mur o długości 1 km, wysokości 4 m i gładkich bokach, aby utrudnić wspinanie się. Mur powstał w pobliżu miejsca, w którym nielegalni imigranci urządzili tzw. dżunglę, z której przedostawali się na teren Wielkiej Brytanii, skacząc na ciężarówki jadące w kierunku Wysp.

W 2015 r. tamę nielegalnym imigrantom postawił rząd premiera Węgier Viktora Orbána. Początkowo były to głównie zasieki z drutu kolczastego. Obecnie granica węgiersko-serbska i węgiersko-chorwacka chroniona jest ogrodzeniem o wysokości 4 m. Na wielu odcinkach równolegle ustawione są dwa wysokie płoty, a żołnierzy i policjantów pilnujących granicy wspiera system kamer i głośników przestrzegających w wielu językach przed podjęciem próby nielegalnego wkroczenia na teren Węgier. Efekt: udało się ograniczyć chaos i zmniejszyć liczbę osób wdzierających się do UE. Mimo to tylko od stycznia do sierpnia 2021 r. Węgrzy zatrzymali już ponad 54 tys. osób próbujących nielegalnie przekroczyć unijną granicę.

Można się również założyć o niemałe pieniądze, że choć zarówno przed rządem w Budapeszcie, jak i po nim ogrodzenia wznosiło wiele państw, to jedynym płotem granicznym, o którym słyszał przeciętny europejski czytelnik, jest właśnie ten na granicy węgiersko-serbskiej. Za obronę swego kraju przed kolejnymi falami nielegalnych migrantów Orbán trafił bowiem w 2015 r. pod pręgierz unijnych lewicowców.

I chociaż nikt nie ukrywa, że mur czy wysokie ogrodzenie nie jest definitywnym rozwiązaniem problemu, to pomaga konkretnym rządom zarządzać falami migrantów i ogranicza niekontrolowany przepływ ludzi. Budowę nowych fizycznych barier na zewnętrznej granicy Unii Europejskiej rozważają również Łotysze i Estończycy. Parafrazując słowa piosenki, obecnie na świecie mury rosną, rosną, rosną, by ochronić „stary świat". Można jednak wątpić, by wystarczyły do tego, aby powstrzymać hybrydowe ataki mocarstw celowo angażujących się w nielegalny przerzut ludzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ZAPRASZAMY DO PIWNICZNEJ!

FESTIWAL BIEGOWY

10-12 WRZEŚNIA
PIWNICZNA-ZDRÓJ

3 DNI • PONAD 20 BIEGÓW • PONAD 300 km TRAS
PULA NAGRÓD 450 000 PLN • LOSOWANIE AUTA

WWW.FESTIWALBIEGOW.PL

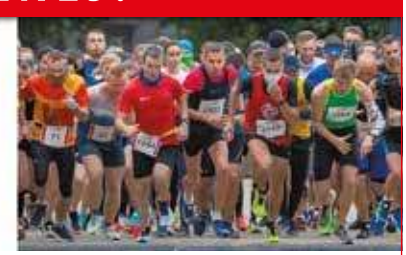

PARTNERZY

Miasto i Gmina Piwniczna-Zdrój
Nowy Sącz
Gmina Rytro
newac
Koral
Muszynianka
POWER CANVAS

eprasa.pl 21900df7cb

FOT. JOHN CHAPPLE/SPLASH NEWS/EAST NEWS

PROCES ZA FOTKĘ Z ALBUMU NIRVANY

Niejaki Spencer Elden od dawna brylował w mediach, dlatego że gdy był bobasem, to jego zdjęcie (nagiego noworodka pływającego w basenie) wykorzystano do okładki jednego z muzycznych albumów wszech czasów – „Nevermind" zespołu Nirvana. Co parę lat pozował w basenie, by uczcić 10., 20. czy 25. rocznicę wydania albumu. A teraz pozwał żyjących członków zespołu (a także wydawcę i fotografa). Jego prawnik twierdzi, że „oskarżeni celowo i w komercyjnym celu reklamowali dziecięcą pornografię Spencera i wykorzystywali szokujący charakter jego wizerunku, by promować siebie i swoją muzykę jego kosztem". Elden żąda po 150 tys. dol. od każdego z muzyków.

MYŚLI PREZYDENTA LEKTURĄ SZKOLNĄ

Chińczycy od małego aż do studiów obcować będą z myślami swojego prezydenta Xi Jinpinga. Ministerstwo edukacji Chin poinformowało, że przemyślenia Xi na temat socjalizmu będą przedmiotem nauczania w szkołach i na uczelniach. Książka „Myśli Xi Jinpinga dla nowej ery socjalizmu o chińskiej specyfice", obowiązkowo prezentowana młodym, ma w nich wzmacniać „determinację do słuchania Partii i podążania za jej zaleceniami". Resort edukacji uważa też, że nowe materiały będą umacniać w uczniach uczucia patriotyczne.

DYSKRYMINACJA PO SZWEDZKU

Gazeta „Dagens Nyheter" zrobiła prowokację w Szwecji. Dziennikarze dzwonili do ośrodków opieki medycznej i sprawdzali, czy mogą uniknąć leczenia przez lekarzy, którzy nie są „etnicznymi Szwedami". Okazało się to proste. W wielu miejscach nawet dokładnie instruowano ich, co robić, by nie trafić na wizytę do „kolorowego lekarza". Zdaniem szwedzkich mediów to tylko wierzchołek góry lodowej systemowego rasizmu.

NIESZCZEPIONYCH NIE WYLECZY

W USA głośno o lekarzu z Alabamy. Niejaki doktor Jason Valentine z kliniki w Mobile zamieścił na Facebooku zdjęcie z tabliczką. Na niej napis: „Od 1 października 2021 r. dr Valentine nie będzie przyjmował pacjentów, którzy nie są zaszczepieni przeciw COVID-19". Twierdzi, że po takim komunikacie już trzech jego pacjentów poprosiło go o adresy placówek, gdzie mogą się zaszczepić.

NIE JEDZCIE LEKÓW DLA ZWIERZĄT!

Amerykańska Agencja ds. Żywności i Leków uznała, że konieczne jest ostrzeżenie obywateli. Wydała oficjalny komunikat, w którym przestrzega ludzi przed przyjmowaniem leków przeznaczonych dla zwierząt. Pojawiło się bowiem wiele doniesień o ludziach, którzy trafili do szpitali, gdy samodzielnie „leczyli" się z COVID-19 iwermektyną przeznaczoną dla koni. Agencja tłumaczy, że leki dla zwierząt skalowane są na dużo większą masę ciała. „Nie jesteś koniem. Nie jesteś krową. Naprawdę. Przestańcie" – napisali przedstawiciele Agencji na Twitterze. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Jak Biden talibów uzbroił

Mimo uspokajających komunikatów płynących z ust elegancko ubranych urzędników amerykańskiej administracji sytuacja w Afganistanie jest tragiczna. Wycofanie zachodnich wojsk z tego kraju za rządów Joe Bidena przeprowadzono tak nieudolnie, że talibowie nie tylko błyskawicznie odbili z rąk tzw. wojsk rządowych większość kraju, lecz także przejęli tysiące sztuk amerykańskiego uzbrojenia podarowanego afgańskim wojskom rządowym.

Dzięki temu islamscy radykałowie mogą w tysiącach przejętych terenowych opancerzonych Humvee cieszyć się zapachem nowego auta. Talibowie korzystają też z setek tysięcy karabinków szturmowych, kilkudziesięciu tysięcy bojowych wozów piechoty, transporterów, czołgów, tysiąca pojazdów odpornych na wybuch min oraz kilkudziesięciu samolotów. Islamiści wykorzystują też przejęte uzbrojenie do drwin z Amerykanów. Talibowie chętnie urządzają sobie loty widokowe na pokładzie przejętych śmigłowców Black Hawk.

Trzech muzułmańskich bojowników ubranych w amerykańskie hełmy, plecaki, gogle noktowizyjne etc. sparodiowało zaś legendarną scenę z czasów drugiej wojny światowej, gdy żołnierze US Army umieszczali flagę USA na górze Suribachi na wyspie Iwo Jima.

Jednostka komandosów, tzw. oddział Badri 313, opublikowała zaś serię propagandowych zdjęć swych żołnierzy, którzy porzucili turbany i kałasznikowy na rzecz najnowocześniejszego umundurowania i uzbrojenia członków amerykańskich wojsk – od butów i nakolanników poczynając, poprzez kamizelki, na goglach skończywszy. Sprawna machina PR talibów pokazuje, że Ameryka kolejny raz nie doceniła przeciwnika. Oby całe NATO nie powtórzyło tego błędu w stosunku do innych wrogów Zachodu. ©℗

eprasa.pl 21900df7cb

XXX Forum Ekonomiczne

7 – 9 WRZEŚNIA 2021, KARPACZ

FORUM EKONOMICZNE

EUROPA W POSZUKIWANIU PRZYWÓDZTWA

DOLNY ŚLĄSK

Organizowana od 30 lat najważniejsza konferencja w Europie Środkowo-Wschodniej

Liderzy polityki i biznesu z Europy, Azji i USA wśród gości Forum Ekonomicznego

Ponad 200 debat – makroekonomia, biznes i zarządzanie, energetyka, innowacje

Hotel Gołębiewski w Karpaczu – nowe miejsce spotkań elit gospodarczych i politycznych. Ponad 3000 gości

Znajdź nas na Facebooku!

www.forum-ekonomiczne.pl

kontakt: forum@isw.org.pl

eprasa.pl 21900df7cb

Obronić

Karol Gac

Chociaż od niekorzystnej dla Polski decyzji Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w sprawie kopalni w Turowie minęło już kilka miesięcy, to walka o nią wciąż trwa. W tej grze nie chodzi tylko o środowisko. W tle są ogromne pieniądze i potężne interesy

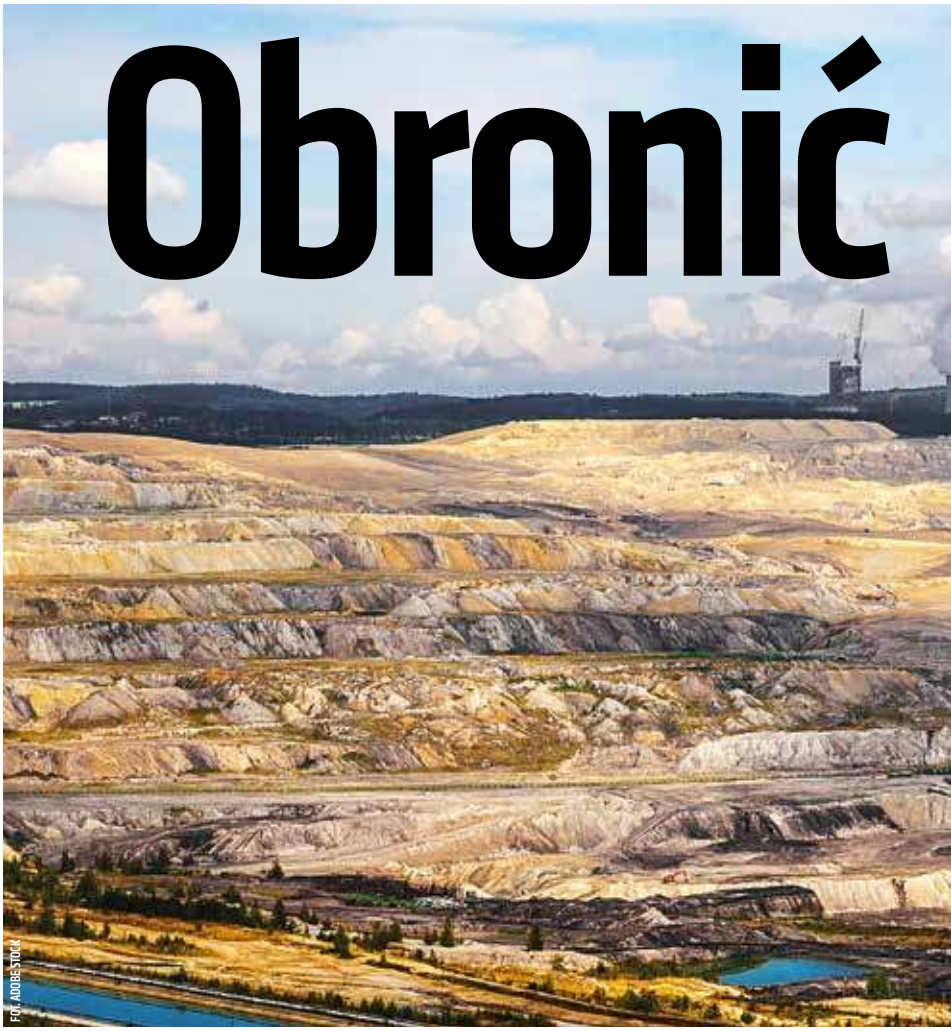

FOT. ADOBESTOCK

Spór o kopalnię w Turowie trwa od kilku lat, choć dopiero za sprawą majowej decyzji TSUE zrobiło się o nim wyjątkowo głośno. I trudno się dziwić. Wiceprezes Trybunału Rosario Silva de Lapuerta jednoosobowo zdecydowała, że Polska ma – w ramach środka tymczasowego do czasu pełnego wyroku – natychmiast zaprzestać wydobycia węgla brunatnego w Turowie. To jedna z niewielu spraw w historii UE, gdy państwo członkowskie zostało zaskarżone nie przez Komisję Europejską, ale przez inne państwo. Dlaczego tak się stało? Czesi przekonują, że kopalnia w Turowie ma negatywny wpływ na życie mieszkańców graniczących z Polską regionów. Chodzi o – ich zdaniem – postępujące obniżanie się wód gruntowych, zapylenie i hałas. Te argumenty podzieliła wiceprezes TSUE. „Szkoda dla środowiska naturalnego i zdrowia ludzkiego ma co do zasady nieodwracalny charakter, ponieważ najczęściej naruszeń takich interesów nie można, ze względu na ich charakter, usunąć ze skutkiem wstecznym" – napisano w uzasadnieniu.

To nie przekonuje jednak ekspertów, którzy zwracają uwagę, że decyzja TSUE była niezwykle rygorystyczna i zbyt daleko idąca. – Nie przemawia do mnie uzasadnienie TSUE, które wskazuje, że Polska będzie w stanie skompensować ubytek Elektrowni Turów poprzez swój system. Łatwo o okoliczności, w których taka opcja jest po prostu niemożliwa – wtedy Polska byłaby zdana na import. Ponadto postanowienie w takim kształcie jest groźnym precedensem, na mocy którego TSUE wkracza de facto w traktatową swobodę kształtowania miksu energetycznego – tłumaczy „Do Rzeczy" Jakub Wiech z portalu energetyka24.com.

Część polityków obozu rządzącego przekonuje także, że w rzeczywistości chodzi o coś zupełnie innego. – Decyzja TSUE to testowanie scenariusza zatrzymania przez eurokratów planów budowy elektrowni jądrowych w Polsce, przeciwko którym występują Niemcy, zainteresowani sprzedażą do Polski rosyjskiego gazu z Nord Stream [...]. W tej sprawie nie chodzi o to, aby ją rozwiązać, ale o to, aby trwała, robiąc wrażenie naruszeń po stronie polskiej. Oczywiście po to, aby później atakować Polskę za kolejne pozorne naruszenia prawa europejskiego – mówi Janusz Kowalski, przewodniczący Parlamentarnego Zespołu ds. Suwerenności Energetycznej, poseł Solidarnej Polski.

JEDEN Z DZIESIĘCIU

Kopalnia w Turowie, wraz z pobliską elektrownią, jest istotnym elementem Krajowego Systemu Elektroenergetycznego. Kompleks dostarcza ok. 7 proc. krajowej produkcji energii elektrycznej, co pokrywa potrzeby ok. 3,2 mln gospodarstw domowych. Turów jest więc jednym z największych wytwórców energii elektrycznej w Polsce. Już choćby z tego powodu wyłączenie kopalni byłoby niemożliwe. Zwracał na to uwagę m.in. premier Mateusz Morawiecki. „Od jej stabilnego działania zależy możliwość funkcjonowania polskich domów, szkół, szpitali i przedsiębiorstw. Jej stabilne działanie ma wpływ na bezpieczeństwo, zdrowie i życie milionów obywateli Polski. Zależy od niej normalne życie obywateli naszego kraju" – pisał w oświadczeniu w maju.

– Łącznie Polska posiada nieco ponad 50 GW mocy zainstalowanych, z czego nieco ponad 30 GW w elektrowniach węglowych. Istotna część bloków zasilanych węglem dobiega powoli kresu swego żywota. To jednostki stare, awaryjne [...], patrząc z tej perspektywy, w polskim systemie elektroenergetycznym łatwo może dojść do sytuacji, w której te 2 GW w Elektrowni Turów będą decydowały o wszystkim – opisuje Wiech. Nie mówiąc już o tym, że zgodnie z wyliczeniami

eprasa.pl 21900df7cb

Turów

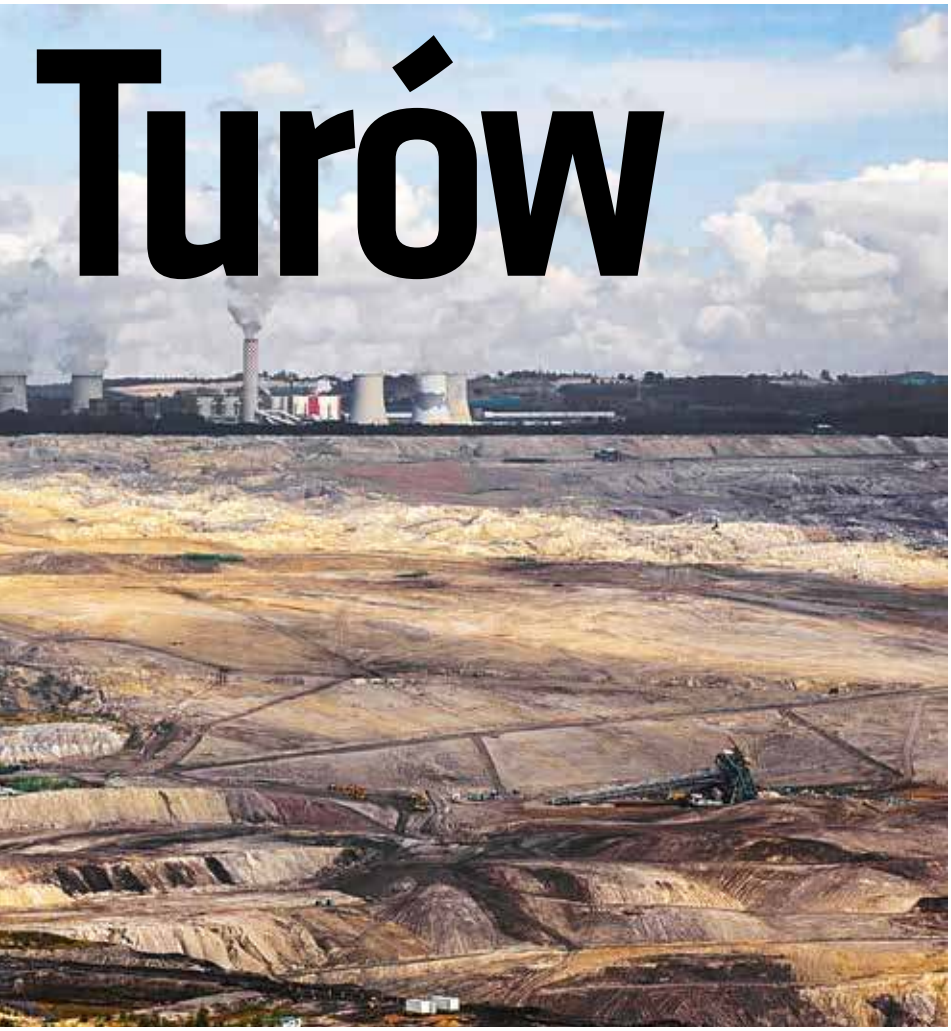

PGE wstrzymanie wydobycia węgla brunatnego w Turowie spowodowałoby szkody sięgające nawet 13,5 mld zł.

Jednak, co ważne, w bliskim sąsiedztwie Turowa, w tzw. trójstyku granic, funkcjonuje dziewięć dużych kopalni – pięć na terenie Czech i cztery w Niemczech. I niemal wszystkie są od polskiej większe. Tyle tylko że cała dyskusja jest skupiona na Turowie, jakby nie dostrzega się, że węgiel brunatny odgrywa istotną rolę również w energetyce Czech i Niemiec, pozostając jednym z kluczowych źródeł energii elektrycznej.

WODA, HAŁAS I PYŁ

Jednym z głównych zarzutów strony czeskiej jest obniżający się poziom lustra wody w przygranicznych miejscowościach, a tym samym potencjalne problemy z dostawami wody pitnej do kraju libereckiego. Ma być za to rzekomo odpowiedzialna kopalnia w Turowie. Sprawa nie jest jednak taka oczywista. Po pierwsze, zgodnie z informacjami czeskiego Instytutu Hydrologicznego nasi południowi sąsiedzi zmagają się z największą od 500 lat suszą, co w oczywisty sposób wpływa na stan i poziom wód. Z podobnymi skutkami zmaga się zresztą również Polska. Jednocześnie polski Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej stwierdził, że eksploatacja w kopalni Turów nie ma wpływu na stan wody w niecce żytawskiej. – Z merytorycznego punktu widzenia te argumenty są chybione. A już na pewno łatwe do rozwiązania przy odrobinie dobrej woli ze strony Czech. Trudno sobie wyobrazić, aby w rejonie, w którym funkcjonuje kilkanaście kopalni odkrywkowych, akurat ta jedna była źródłem wszelkich negatywnych konsekwencji – ocenia Janusz Kowalski.

Niezależnie od tych argumentów PGE podjęła się budowy ekranu przeciwfiltracyjnego, który ma zabezpieczyć sąsiadujące z kopalnią tereny po czeskiej stronie granicy przed potencjalnym odpływem wód gruntowych. Jego głównym zadaniem będzie ochrona ujęcia wody pitnej w miejscowości Uhelna. Inwestycja będzie gotowa we wrześniu, a jej koszt to blisko 17 mln zł. Podobny ekran, o długości ponad 4 km, funkcjonuje już od 1987 r. na terenie kopalni wzdłuż granicy z Niemcami. Po ukończeniu inwestycji skuteczność podziemnej przesłony będzie monitorowana przez hydrogeologów zarówno z Polski, jak i z Czech.

Kopalnia w Turowie zainwestowała też dziesiątki milionów złotych, by zmniejszyć hałas oraz ograniczyć emisję pyłów. Obecnie trwają też prace nad budową ekranu przeciwwiatrowego. Dodatkowo kopalnia prowadzi także rekultywację terenów pogórniczych, na których nie jest prowadzona już działalność wydobywcza. Łączny koszt inwestycji na rzecz zmniejszenia wpływu kopalni na okolicę w latach 2016–2021 wynosi blisko 90 mln zł.

Warto też wspomnieć, że tuż przed orzeczeniem TSUE otwarto w Turowie najnowocześniejszy w całej grupie PGE niskoemisyjny blok węglowy o mocy 496 MW, na który wydano ponad 4,3 mld zł.

DYPLOMATYCZNA DOGRYWKA

Obecnie trwa polityczny impas w rozmowie z Czechami. Polska delegacja do Pragi jeździ niemal co tydzień, a mimo tego wciąż nie udało się wypracować satysfakcjonującego kompromisu. – Rozmawiamy i posuwamy się do przodu. Jesteśmy znacznie bliżej porozumienia niż jeszcze kilka tygodni temu, ale wciąż pozostało sporo kwestii do ustalenia – mówi „Do Rzeczy" Paweł Jabłoński, wiceminister spraw zagranicznych, który przewodniczy polskiej dyplomacji.

Według informacji „Dziennika Gazety Prawnej" główną osią sporu są kary, które Polska miałaby płacić za nieprzestrzeganie konkretnych zapisów porozumienia. Sytuacji nie ułatwia też fakt, że wkrótce u naszych sąsiadów odbędą się wybory parlamentarne. – Te wieloletnie spory związane są z agresywnym działaniem konkurencji na rynku energetycznym i korporacji prawniczych, niestety pracującymi z polskimi politykami oraz aktywistami, ośmielonymi przepisami prawa klimatycznego i przedstawieniem pakietu „Fit for 55". Fakt wyborów w Czechach dodatkowo skomplikował sytuację i doprowadził do absurdalnej eskalacji – ocenia europoseł PiS Anna Zalewska, która od dawna zaangażowana jest w obronę kopalni w Turowie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 21900df7cb

TEST „DO RZECZY": KAMERA WEWNĘTRZNA EZVIZ C6W

Znakomita jakość obrazu, matryca 4 MP, możliwość automatycznego obracania kamery w zakresie 360 stopni, funkcja śledzenia wykrytych osób z czterokrotnym przybliżeniem obrazu, łatwość obsługi oraz świetny stosunek ceny do oferowanych funkcji – to największe zalety uchylno-obrotowej kamery wewnętrznej firmy Ezviz.

Testowane urządzenie jest wielkości pomarańczy (jej wymiary to 9,58 x 9,06 x 9,58 cm) i waży 513 g. Wzornictwo czarno-srebrnej kamery jest na tyle ciekawe, że można ją powiesić w nowocześnie urządzonych wnętrzach. Sama kamera jest ukryta za warstwą plastiku, dzięki czemu goście w domu nie powinni od razu po wejściu mieć wrażenia, że znaleźli się wewnątrz tajnego więzienia CIA.

Obrotowa głowica umożliwia sprawne monitorowanie domu, a w razie włamania uzyskanie materiału dowodowego dla policji (która zapewne nic z nim nie zrobi) i ubezpieczyciela (dzięki czemu zakład ubezpieczeń raczej nie będzie mógł odmówić wypłaty należnego odszkodowania). Dodatkową zaletą testowanego modelu jest opcja automatycznego śledzenia poruszających się osób wraz z czterokrotnym zbliżeniem na sylwetkę intruza, którą wykryły czujniki ruchu kamery. Oczywiście po wykryciu ruchu lub jedynie ruchu człowieka (algorytmy sztucznej inteligencji Ezviza bardzo dobrze radzą sobie z odróżnianiem człekokształtnych od innych mieszkańców domu) na smartfona użytkownika może przyjść powiadomienie. Urządzenie może również sygnalizować naruszenie chronionej strefy krótkim sygnałem dźwiękowym lub dźwiękiem przypominającym syrenę alarmową.

Obiektyw o jasności F/2.0 zapewnia znakomitą jakość obrazu w dzień z żywymi kolorami. Maksymalna rozdzielczość wynosi 2560 x 1440 Mpix. W nocy obraz jest już czarno-biały, ale za sprawą dwóch silnych lamp na podczerwień jest nadal bardzo wyraźny, dzięki czemu kamera nadal może pełnić funkcję automatycznego stróża.

Wyposażona w mikrofon oraz głośnik kamera oferuje również możliwość dwustronnej komunikacji. Jakość dźwięku jest przyzwoita. Można więc np. siedząc w biurze, nakazać psu, aby przestał zjadać ulubione kapcie pana, i usłyszeć prychnięcie niezadowolonego z takiego obrotu sprawy szczeniaka. Można też w ten sposób zdalnie przywitać się z żoną wracającą z pracy lub próbować przestraszyć ewentualnego włamywacza.

Zdjęcia i nagrania można zapisywać na karcie microSD o pojemności do 256 GB albo w chmurze (ta funkcja po okresie próbnym jest już jednak płatna; dobrze jednak, że przesyłane filmy są szyfrowane hasłem, do którego dostęp ma w teorii wyłącznie użytkownik).

Wady? Urządzenie nie ma w komplecie karty microSD, co zapewne ma skłaniać do wykupienia płatnego abonamentu w chmurze Ezviza. Dla pojedynczej kamery przy płatności na cały rok z góry jest to koszt 209,99 zł, jeśli chcemy mieć dostęp do nagrań siedem dni wstecz, lub 419,99 zł, aby zyskać dostęp do nagrań z ostatnich 30 dni. W przypadku abonamentu na wiele kamer (maksymalnie cztery) cena subskrypcji wynosi odpowiednio 349,99 zł i 690,99 zł rocznie. Dużo taniej wyjdzie więc zakup własnych kart pamięci – wówczas za odtwarzanie nagrań nie trzeba płacić żadnego abonamentu. Minus drugi: kamera nie ma wbudowanej żadnej baterii, więc bez energii z gniazdka od razu ślepnie.

Ezviz C6W jest jednak godny polecenia dla każdego, kto szuka dobrej jakościowo i stosunkowo taniej kamery do monitorowania domu, psa, dzieci, małżonka etc. Cena: 369 zł. ©℗

Jacek Przybylski

INTELIGENTNA SKARPETA

Owlet Smart Sock to skarpeta stworzona dla niemowląt z myślą o zatroskanych współczesnych rodzicach, którzy chcą widzieć na ekranach swych smartfonów na bieżąco aktualizowane informacje o tętnie dziecka, poziomie natlenienia krwi oraz o tym, czy maluch wystarczająco dobrze śpi. Mądra skarpeta współpracuje z jeszcze mądrzejszą aplikacją, która ostrzeże, gdy któryś ze wskaźników jest poniżej lub powyżej normy. Gadżet tak bardzo się spodobał, że na rynku jest już dostępna trzecia generacja inteligentnej skarpety dla dzieci do 18. miesiąca życia (za 399 dol.), a niedawno producent wprowadził do sprzedaży skarpetę dla dzieci w wieku o zera do lat pięciu (za 479 dol., czyli równowartość 1,9 tys. zł). Gadżet stał się też lżejszy i zyskał minimalistyczny wygląd.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZEGAREK ZMIERZY TKANKĘ TŁUSZCZOWĄ

To gadżet dla fanatycznych miłośników fitnessów, odchudzania i kontroli wszelkich funkcji życiowych. Nowy inteligentny zegarek Samsunga – Galaxy Watch 4 – potrafi według producenta nie tylko sprawdzić liczbę spalonych podczas treningu kalorii, lecz także zmierzyć ilość tkanki tłuszczowej w organizmie, oszacować wagę mięśni szkieletowych, obliczyć zawartość wody w organizmie i wyliczyć BMI. Oprócz tego zegarek potrafi m.in. zrobić pomiar EKG, zmierzyć tętno, sprawdzić poziomu saturacji i oczywiście monitorować ciągłość i jakość snu (wraz z funkcją wykrywania chrapania). Cena zegarka (w zależności od rozmiaru i łączności LTE lub jej braku) waha się od 1169 zł do 1999 zł. Premiera w sklepach: 27 sierpnia 2021 r. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 21900df7cb

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl 21900df7cb

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Artykuł 76 jak Paragraf 22

Jak wiadomo, im bardziej „nie ma" pandemii COVID-19, tym bardziej potrzebne są instrumenty do jej zwalczania – w oczekiwaniu na nadejście jej kolejnych fal (piątej, osiemnastej, sto dwudziestej piątej itd.), naturalnie w ślad za pojawieniem się następnych mutacji koronawirusa (lambda, sigma, tau, ipsylon itd.). W warunkach Polski – państwa na tyle nadzwyczajnego, że stany nadzwyczajne nie są mu do niczego potrzebne, najlepiej do tego służy tradycyjna, polska prowizorka – w postaci covidowej specustawy, która rządzi w Polsce – i to bez jednego dnia przerwy – od kwietnia 2020 r., a więc za pół roku będzie można świętować drugą rocznicę jej dyktatury. A w kwietniu 2023 r. – trzecią, bo przecież i wtedy będzie dyktować warunki, zwalniając od odpowiedzialności za wszystko, co trzeba, każdego, kogo trzeba.

No bo proszę przeczytać tylko art. 76 covidowej specustawy:

Art. 76. 1. Nie popełnia przestępstwa określonego w art. 231 lub art. 296 ustawy z dnia 6 czerwca 1997 r. – Kodeks karny [...], deliktu, deliktu dyscyplinarnego ani czynu, o którym mowa w art. 4 ust. 1 pkt 4 ustawy z dnia 17 grudnia 2004 r. o odpowiedzialności za naruszenie dyscypliny finansów publicznych [...], kto realizuje w interesie publicznym obowiązki i zadania związane ze zwalczaniem skutków COVID-19, w tym społeczno-gospodarczych, nałożone imiennie na reprezentowany przez niego podmiot w drodze ustawy lub na gruncie postanowień umowy, o której mowa w art. 21a ust. 5 ustawy z dnia 4 lipca 2019 r. o systemie instytucji rozwoju [...], jeżeli kieruje się zwalczaniem tych skutków.

2. Do osób realizujących obowiązki i zadania, o których mowa w ust. 1, przepisu art. 483 par. 1 ustawy z dnia 15 września 2000 r. – Kodeks spółek handlowych [...] nie stosuje się w zakresie realizacji tych obowiązków i zadań.

A teraz proszę samemu sobie odpowiedzieć na pytanie: Czy taki – taki jak powyżej, mam na myśli art. 76 specustawy covidowej – cymesik można, ot tak, wyrzucić do kosza? Przecież zgodnie z nim, kto działa w imię antycovidowej wyższej konieczności – a cóż nią nie jest? – nie popełnia przestępstwa, choćby je popełnił! Toż to brzmi prawie jak osławiony Paragraf 22 z powieści Josepha Hellera.

Czy można, i to z tak błahego powodu, że na przykład latem – zarówno w 2020 r., jak i w 2021 r. – zakażeń covidowych notowano w Polsce jakoś tak (jak na pandemię) dziwnie mało – zrezygnować (choćby czasowo) z czegoś tak poręcznego, tak bardzo ułatwiającego zarządzanie nawą państwową? Czy można art. 76 po prostu unieważnić, przyjmując blokowany przez rządzących od lipca 2020 r. projekt ustawy autorstwa posłów opozycji znoszący ten zapis? I wrócić do świata, w którym prawo obwiązuje wszystkich? W którym za popełnienie czynu zabronionego także polityk i urzędnik ponoszą odpowiedzialność?

No przecież to niepodobna! ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wyprowadzanie kozy

Chociaż Jarosława Gowina nie ma już w koalicji, a więc nie może wymuszać na rządzących zmian w sztandarowej (i na razie jedynej) ustawie wynikającej z Polskiego Ładu, to wiele wskazuje na to, że w jednym punkcie rząd się jednak podda: składka zdrowotna miałaby wynieść nie 9, a jedynie 3 proc. Czy dla przeciwników drastycznego wzrostu obciążeń nie byłoby to jednak zwycięstwo pyrrusowe?

Mowa jest o tym, żeby nie oskubać kury od razu, ale stopniowo, w końcu przecież i tak doprowadzając ją do stanu oskubania całkowitego

Przede wszystkim jakoś trudno uwierzyć, że obniżka miałaby być stała i na zawsze – a i pojawiające się informacje sugerują, że tak by nie było. Jest raczej mowa o tym, żeby nie oskubać kury od razu, ale stopniowo, w końcu przecież i tak doprowadzając ją do stanu oskubania całkowitego. Czyli aby dojść do owych 9 proc. składki (wciąż nieodliczanej od dochodu) po paru latach. Zresztą nawet trzyprocentowa nieodliczana składka oznacza dla wielu wzrost obciążeń.

Pytanie brzmi również, czy faktycznie okres przejściowy trwałby kilka lat, skoro publiczne finanse są w stanie prawdopodobnie znacznie gorszym, niż chwali się rząd. Od momentu opuszczenia obozu Zjednoczonej Prawicy mówi o tym już całkiem wprost Jarosław Gowin, wskazując jako rok graniczny, gdy może nastąpić tąpnięcie, rok 2023.

Trzeba też pamiętać, że Polski Ład to niejedynie zmiany w składkach, ale mnóstwo innych regulacji, które stopniowo wychodzą na jaw w miarę, jak eksperci i analitycy przekopują się przez projekt skomplikowanego aktu prawnego. Okazało się np., że składka na ubezpieczenie zdrowotne miałaby być przez przedsiębiorców odprowadzana nie tylko od dochodów z ich działalności, lecz także od wszystkich innych. Jeżeli np. firma będzie chciała sprzedać używane auto, to i tu będzie musiała zapłacić 9 proc. składki. Tak wynika z ustawy o PIT i zawartej tam definicji przychodów (które są podstawą do wyliczenia dochodu).

Manewr z ewentualnym obniżeniem składki na początku wygląda zatem na klasyczne wyprowadzanie kozy. Przypomnijmy jednak, że w dobrze znanym szmoncesie po pozbyciu się jej z mieszkania za sprawą rady mądrego rabina metrów kwadratowych Szmulowi nie przybyło. ©℗

eprasa.pl 21900df7cb

Nauka i biznes mają sobie wiele do zaoferowania

Kamil Goral, ekspert ekonomiczny Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

Mam przyjemność koordynować projekt konkursowy, który Grupa Inwest realizuje we współpracy z Politechniką Poznańską. Celem ogólnym tego przedsięwzięcia jest postawienie trwałych fundamentów pod współpracę między nauką i biznesem. Jednym z elementów jego realizacji jest ufundowanie nagród dla autorów najlepszych prac dyplomowych poświęconych tematyce nowoczesnych technologii w budownictwie mieszkaniowym. Dla młodych ludzi, którzy finalizują pewien etap swojej edukacji, praca dyplomowa jest czymś szczególnie ważnym. To ich pierwsze poważne dzieło, nad którym pracują rok, czasem dwa lata. Podczas seminariów prezentują swoje pomysły, konsultują je z opiekunami naukowymi, doprecyzowują tezy i szlifują zebrany materiał. Uczą się warsztatu pracy naukowej. Część z nich będzie kontynuowała swoje badania w ramach przygotowania rozprawy doktorskiej. Jednak już na etapie magisterium, licencjatu czy pracy inżynierskiej mogą dokonać ciekawych odkryć. Nie można zatem tego rozdziału ich rozwoju intelektualnego lekceważyć. Wręcz przeciwnie, to najlepszy moment, aby zarazić pasją, pokazać, że to, nad czym teraz się pracuje, ma sens i niekoniecznie musi wylądować na dnie szuflady. Warto o tym pamiętać i – jak sądzę – taka idea przyświecała władzom Grupy Inwest.

W ramach wspomnianej współpracy otrzymałem zaproszenie na konferencję na Politechnice Poznańskiej, w której uczestniczyli także goście z Niemiec. Byli nimi nauczyciele szkół średnich o profilu budowlanym. Celem spotkania była wymiana polsko-niemieckich doświadczeń, także w temacie współpracy na linii nauka–biznes. Moje wystąpienie dotyczyło projektu, który koordynuję w Grupie Inwest, i ku mojemu zadowoleniu spotkało się ono ze sporym zainteresowaniem. Po prezentacji rozpoczęła się ożywiona dyskusja, w ramach której zastanawialiśmy się, jakie są głównie bariery, jeśli chodzi o kooperację akademików i przedsiębiorców. Co ciekawe, niemieccy goście zwrócili uwagę na to, że także u nich jest ona niewystarczająca i wciąż jest wiele do zrobienia, aby ją rozwijać. Wydaje się, że problemem jest ciągle bariera mentalna. Wciąż daje o sobie znać przekonanie, że nauka i biznes to światy jednak trochę obce i skrócenie dystansu między nimi budzi pewien niepokój. Czy nauka nie utraci czegoś ze swojej misji, czy nie stanie się jedynie narzędziem do zarabiania pieniędzy? A z drugiej strony, czy biznes nie uwikła się w teoretyczne analizy bez praktycznego przełożenia? Czy nie ugrzęźnie w naukowych dysputach, zamiast iść naprzód i zarabiać pieniądze?

Z dyskusji wyniknęła konkluzja, że chociaż takie obawy są, to nie można nadto im ulegać. Współpraca zaś przynieść może pozytywne rezultaty całemu społeczeństwu, mogą bowiem powstać bardziej wydajne miejsca pracy, przedsiębiorcy zyskają szansę na poprawę konkurencyjności i wzbogacenie oferty, skorzysta też państwo, które będzie zasilane większym strumieniem podatków. Większe zyski to przecież wyższa baza podatkowa i w konsekwencji więcej pieniędzy trafia do publicznej kasy. Płynące z takiej kooperacji inspiracje to także motor do kolejnych odkryć naukowych czy nowego obszaru badań. A to z kolei przyczynek do wzrostu znaczenia polskiej nauki. Widać zatem wyraźnie, że razem możemy zdziałać więcej, a beneficjentami mogą być także inni liczni interesariusze.

Im więcej przedsięwzięć na linii nauka–biznes, tym łatwiej będzie przełamać barierę wzajemnego braku zaufania. W długim okresie, w ramach gospodarki wolnorynkowej, oba środowiska są w pewnym sensie na siebie skazane. Skazane w jak najbardziej pozytywnym sensie tego słowa. To znaczy – ich partnerstwo to wymóg rozwoju, i im wcześniej zostaną zawiązane odpowiednie więzi, tym lepiej dla wszystkich. Nie ma bowiem czasu do stracenia. Mentalna bariera oporu powinna ustąpić gotowości do wspólnych działań. Państwo zaś ma obowiązek stworzyć jak najlepsze warunki, aby oba środowiska mogły iść ręka w rękę. Warto zachęcać także przedsiębiorców, by przełamali strach i śmiało weszli w mury akademii, coraz więcej wskazuje bowiem na to, że są tam jak najbardziej mile widziani.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 21900df7cb

Liderzy ochrony zdrowia w Polsce z optymizmem patrzą w przyszłość

Z Michałem Grzybowskim, prezesem Philips Polska
rozmawia Joanna Musiałek

JOANNA MUSIAŁEK: W przygotowanym na zlecenie firmy Philips raporcie Future Health Index 2021 oddano głos kadrze zarządzającej placówkami medycznymi i liderom tego sektora. Jakie kwestie poruszone w raporcie najbardziej odróżniają polskich liderów ochrony zdrowia od ich odpowiedników w innych krajach?

MICHAŁ GRZYBOWSKI: Z szóstej edycji raportu Future Health Index, w którym trzeci rok z rzędu udział wzięli przedstawiciele polskiej służby zdrowia, jasno wynika, że liderzy ochrony zdrowia w naszym kraju, mimo trudnej sytuacji wywołanej pandemią, z dużym optymizmem patrzą w przyszłość, wierząc w siłę nowych technologii, budowę zrównoważonego systemu i współpracę. Częściej niż koledzy z pozostałych badanych krajów określają inwestycje w elektroniczną dokumentację medyczną jako priorytet. Dwukrotnie częściej przyznają także, że ich placówka medyczna wymaga inwestycji w przyszłościowe technologie medyczne. Przy czym co trzeci polski lider inwestuje obecnie w jakąś formę sztucznej inteligencji, a 61 proc. chciałoby, aby taka inwestycja w przyszłości stała się priorytetem dla rozwoju ich placówki medycznej. Te dane pokazują, że cyfrowa technologia medyczna, gwarantując nieprzerwane świadczenie usług zdrowotnych, w niewiarygodnie trudnych warunkach pandemii miała kolosalne znaczenie. Myślę, że dziś już wszyscy zdajemy sobie sprawę, że cyfrowa rewolucja w ochronie zdrowia stała się faktem i jest niezbędna do dalszego budowania efektywnego systemu.

Z wniosków przedstawionych w raporcie wynika także, że rodzimi liderzy ochrony zdrowia zdecydowanie częściej podkreślają konieczność edukacji personelu. Ten aspekt został jasno podkreślony także w zeszłorocznej edycji raportu. Pokazuje to, jak bardzo ważny i ciągle jeszcze niewystarczająco zagospodarowany jest ten obszar w polskim systemie ochrony zdrowia.

Z raportu wynika, że liderzy ochrony zdrowia są optymistami. Z czego wynika ich optymizm? Jak oceniają swoją zdolność i zdolność systemu do zapewnienia wysokiej jakości opieki zdrowotnej?

Zdecydowanymi optymistami. Siedmiu na 10 liderów jest przekonanych, że krajo-

eprasa.pl 21900df7cb

wy system opieki zdrowotnej jest w stanie zapewnić wysoką jakość opieki zdrowotnej w przyszłości. I chociaż wartość ta jest o 10 proc. niższa niż średnia z 14 krajów objętych badaniem, uważam, że to bardzo pozytywna prognoza. Dodatkowo trzy czwarte liderów zgadza się, że obecna polityka państwa, a co za tym idzie – plany dotyczące zmian w służbie zdrowia, przyczynia się do budowania elastycznego sytemu opieki. Możliwe, że optymizm ten wynika ze spodziewanego dofinansowania służby zdrowia i planowanego wzrostu wydatków publicznych z 4,6 proc. do 6 proc. PKB w 2023 r. oraz do 7 proc. w 2027 r. Ale nie możemy zapominać o wparciu rządowych inicjatyw, dzięki którym przewiduje się przyspieszenie inwestycji w sztuczną inteligencję. Transformacja cyfrowa systemu zdecydowanie przyspieszyła podczas pandemii. I o ile do niedawana pozostawaliśmy w tyle, jeśli chodzi o inwestycje w telemedycynę, o tyle obecnie połowa liderów wyraźnie widzi taką potrzebę w przyszłości.

Czy mamy szansę na wprowadzenie w Polsce w najbliższych latach opieki zdrowotnej opartej na wartości? Czy raczej nadal szpitale i inne placówki będą dostawały pieniądze za ilość, a nie jakość?

Ostatnie lata w Polsce to czas rosnącego zainteresowania opieką zdrowotną opartą na wartości. Powoli, ale konsekwentnie przechodzimy na taki właśnie system. Przykładem jest chociażby opieka koordynowana i oparta na wartości (VBHC). Ministerstwo Zdrowia podejmuje działania w celu wspierania innowacji w sferze modeli zarządzania opartych na płatności za jakość usługi medycznej. Wprawdzie ogromne obciążenie związane z COVID-19 spowodowało, że co czwarty lider polskiej ochrony zdrowia przyznał, iż przejście na model opieki zdrowotnej opartej na wartości stało się w tym momencie mniej priorytetowe, jednakże aż jedna trzecia respondentów, mimo wszelkich trudności związanych z obecnym kryzysem, przyznała, że obecnie realizuje plan przejścia na opiekę zdrowotną opartą na wartości lub ma takie plany w przyszłości.

Jakie perspektywy ma cyfrowa transformacja w służbie zdrowia? Co nas czeka po e-recepcie i e-skierowaniu? Jakie są dziś e-priorytety w naszej opiece zdrowotnej?

Jak pokazują dane z raportu przygotowanego na zlecenie Philips, obecnie w Polsce inwestycja w rozwój cyfrowej dokumentacji medycznej jest uważana przez liderów ochrony zdrowia za najwyższy priorytet. Sprawnie działający system w szpitalu pozwala nie tylko na lepszą, dokładniejszą opiekę nad pacjentem, lecz także na bezproblemową komunikację z innymi podmiotami medycznymi. Jest to szalenie ważne, ponieważ pandemia wyraźnie unaoczniła nam potrzebę współpracy pomiędzy wszystkimi grupami zaangażowanymi w kształtowanie ochrony zdrowia. Na takie postrzeganie cyfrowych technologii medycznych mógł wpłynąć też obowiązek e-zwolnień, e-recept czy e-skierowań. Pojawiają się również oczekiwania względem dalszych inwestycji w telemedycynę. W przyszłości w obrębie telemedycyny liderzy ochrony zdrowia będą koncentrować się m.in. na takich rozwiązaniach jak np. kioski telemedyczne, służące do diagnozowania pacjentów za pomocą urządzeń, z których chorzy sami korzystają, a także wideokonsultacje.

Czy SI, kolejne cyfrowe rozwiązanie, zawita do polskiej ochrony zdrowia? Będziemy w nią inwestować?

To już się dzieje. Polski rząd wspiera wdrażanie sztucznej inteligencji w opiece zdrowotnej poprzez inicjatywy takie jak „Polityka dla rozwoju sztucznej inteligencji w Polsce od roku 2020", która ma za zadanie wesprzeć tworzenie i komercjalizację innowacyjnych rozwiązań w zakresie sztucznej inteligencji. Część liderów ochrony zdrowia już teraz inwestuje w jakąś formę sztucznej inteligencji, a większość chciałaby, aby ich placówka medyczna robiła to w przyszłości. Liderzy ochrony zdrowia spodziewają się wielu korzyści z wykorzystania sztucznej inteligencji. Optymalizacja wydajności operacyjnej i przewidywanie przebiegu chorób za trzy lata znajdą się wśród kluczowych obszarów inwestycyjnych.

Co jest najważniejszą przeszkodą we wprowadzaniu innowacji?

Mniej więcej połowa ankietowanych za główną przeszkodę na drodze do innowacji uznaje brak doświadczenia personelu medycznego w zakresie korzystania z nowych technologii. Potwierdzeniem tego są także dane z raportu Future Health Index z 2020 r., z których wynika, że ok. jednej trzeciej młodego personelu medycznego w Polsce nie potrafi korzystać z cyfrowych danych pacjentów podczas świadczenia usług zdrowotnych. Wśród innych istotnych przeszkód wymienia się ograniczenia finansowe, braki kadrowe czy problemy z łańcuchem dostaw.

Czy takie globalne trendy jak zrównoważony rozwój czy ekologia będą widoczne również w polskiej służbie zdrowia?

Z uwagi na skutki trwającej pandemii zarówno zrównoważona opieka zdrowotna, jak i ekologia nie są obecnie priorytetem dla liderów ochrony zdrowia. Jednak połowa z nich oczekuje, że w przyszłości wdrażanie ekologicznych praktyk w ich szpitalu lub placówce medycznej stanie się absolutnym priorytetem. Liderzy polskiej ochrony zdrowia oczekują, że w przyszłości rutynowa opieka medyczna będzie świadczona poza szpitalem. Dzięki telemedycynie czy cyfrowej dokumentacji medycznej stanie się to możliwe w środowiskach pozaszpitalnych czy w domach pacjentów, gdzie czują się najlepiej.

Jakie są dla pana najważniejsze wnioski z raportu?

Po pierwsze, mimo wyraźnych trudności związanych z pandemią COVID-19 liderzy ochrony zdrowia z optymizmem patrzą w przyszłość i w dużej części realizują najważniejsze inwestycje. Po drugie, wyraźnie widać, że pandemiczna rzeczywistość przyspieszyła w Polsce cyfrową transformację, która została uznana za jeden z głównych priorytetów rozwoju polskiego systemu zdrowia. Liderzy ochrony zdrowia w Polsce wierzą w swoje placówki medyczne i system opieki zdrowotnej jako całość. To bardzo pozytywne wnioski, pokazujące, że znajdujemy się w kluczowym momencie rozwoju służby zdrowia w kierunku opieki przyszłości. I choć nikt nie może być pewien, co przyniesie przyszłość, raport Future Health Index 2021 pokazuje, że liderzy ochrony zdrowia chcą budować przyszłość ochrony zdrowia, która jest zrównoważona, zdolna do adaptacji i, ponad wszystko, gotowa do stawiania czoła kolejnym wyzwaniom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Pobierz Future Health Index 2021

eprasa.pl 21900df7cb

Jacek Komuda

Reszel – od twierdzy do rezydencji biskupiej

Klimat prawdziwego zamku krzyżackiego można było kiedyś poczuć w Gniewie, cały czas czuć go w rozsławianym w przewodnikach i książkach Malborku, a także w mało znanym Reszlu koło Kętrzyna, który choć położony na uboczu, zachował wiele z dawnego wyglądu. Piękne jest również samo miasteczko, w którym – choć prawie pozbawionym murów – przetrwał średniowieczny układ zabudowy

Zamek w Reszlu został zbudowany na miejscu dawnej warowni pruskiego plemiona Bartów. Najpierw w połowie XIII w. Krzyżacy wznieśli tam gródek, spalony i opuszczony w czasie powstania Prusów. Dopiero w drugiej połowie XIV w., a więc bardzo późno, kiedy w pobliżu rozwinęły się osada i miasteczko, zbudowano tutaj zamek biskupów warmińskich, ufundowany przez Jana I z Miśni i Jana Strypocka. Stacjonowała w nim załoga krzyżacka, a budowla miała kształt podobny do innych twierdz zakonu – czworobok murów i zabudowań z wielką wieżą w narożu. Pomimo upływu czasu i kilkukrotnej przebudowy, obniżenia części zabudowań i dewastacji na przestrzeni wieków zamek dobrze pokazuje dziś klimat średniowiecznej warowni wzniesionej w charakterystycznym pruskim stylu ceglanego gotyku.

Wielokrotnie rozbudowywane przez biskupów zamek i miasto Reszel były twierdzą strzegącą dostępu do Prus przed Litwinami. W 1410 r., po bitwie pod Grunwaldem, poddał się pod władzę króla Jagiełły, szybko jednak powrócił znowu do Krzyżaków. Już wówczas był znany jako ciężkie więzienie. Tutaj przetrzymywano np. niedobitków z polskiej załogi Elbląga, która poddała się zakonowi, ale wbrew układom została przez nich częściowo wymordowana. Jeńcy polscy i zapewne litewscy przebywali tutaj jeszcze w 1411 r., kiedy upominał się o nich książę Witold. Zakonnicy wykręcali się, że uwięzili ich, ponieważ w trakcie powrotu do kraju zaczęli rabować miejscową ludność.

W 1454 r. mieszkańcy Reszla przystąpili do Związku Pruskiego, jednak miasto i zamek zostały już w roku następnym odbite przez wojska zakonne i przekazane biskupowi warmińskiemu Pawłowi Legendorfowi, który z kolei… sam przeszedł na stronę króla Kazimierza Jagiellończyka, a w trakcie rozmów w sprawie drugiego pokoju toruńskiego stał się głównym przeciwnikiem Krzyżaków. Ostatecznie dopiął swego – Warmia razem z Reszlem została przyłączona do Królestwa Polskiego, z którym pozostawała połączona aż do pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej.

POD WŁADZĄ POLSKICH KRÓLÓW

Reszel był oblegany tylko raz – w czasie tzw. wojny popiej, w 1479 r., kiedy doszło do konfliktu Mikołaja Tungena, powołanego na biskupa warmińskiego przez papieża i popieranego przez Krzyżaków, z królem Kazimierzem Jagiellończykiem. Tungen usiłował zdobyć zamek, jednak bezskutecznie. Ostatecznie na mocy rokowań w Piotrkowie uznał zwierzchność władcy Królestwa Polskiego i złożył mu hołd. Twierdza wkrótce stała się przestarzała, dlatego w nowym stuleciu, ok. 1505 r., została przez bp. Łukasza Watzenrodego przebudowana i dostosowana do wykorzystania broni palnej. Wówczas na zewnątrz starych, ceglanych fortyfikacji wzniesiono nowy mur obwodowy zaopatrzony w okrągłe basteje. Resztki tych umocnień zachowały się do dzisiaj – jako kamienne pozostałości murów otaczających zamek; bardzo dobrze widoczne są zwłaszcza od strony miasta i głównego wejścia do Reszla.

Watzenrode był postacią doprawdy nietuzinkową. Skłócony z Krzyżakami zamierzał pozbyć się pokonanego zakonu, który ciągle snuł plany oderwania się od Polski i odzyskania dawnych ziem. Dlatego biskup zaproponował królowi Janowi Olbrachtowi przeniesienie Krzyżaków na Podole – do walki z Tatarami – i wcielenie Prus Książęcych do Polski. Być może dlatego przerażony tymi planami wielki mistrz krzyżacki Jan von Tieffen wyjątkowo gorliwie wypełniał obowiązki lenne i wyruszył z królem Polski na wyprawę do Mołdawii w 1497 r. Po porażce w lasach Bukowiny zmarł we Lwowie 25 sierp-

eprasa.pl 21900df7cb

FOT. ADOBE STOCK

RYS. PEGAZ

nia 1497 r. W tamtych czasach częstym gościem w Reszlu był Mikołaj Kopernik, siostrzeniec biskupa oraz jego sekretarz i lekarz, otoczony protekcją Watzenrodego, który umożliwił mu studia.

Kolejną przebudowę przeprowadzono dopiero pod koniec XVI w. z inicjatywy kard. Andrzeja Batorego. Reszel, którego wartość jako twierdzy była wówczas znikoma, został przekształcony w rezydencję myśliwską i przetrwał aż do czasów potopu, w czasie którego został ograbiony i zdewastowany przez Szwedów.

Ostatecznie zamek podupadł wcale nie z powodu rządów I Rzeczypospolitej, ale pruskich. Po pierwszym rozbiorze został zamieniony w siedzibę sądów i więzienie. Największym jednak nieszczęściem okazały się dwa pożary – w latach 1806 i 1807 – z których drugi wzniecili ponoć sami więźniowie. Kataklizmy zniszczyły kompletnie miasto i zamek, do odbudowy Reszla wykorzystano później materiał pozyskany po rozbiórce kamiennych murów obwodowych. W latach 20. w południowym skrzydle ulokowano kościół ewangelicki, zabudowania obniżono, przebito lub powiększono istniejące otwory okienne. Rozebrano bramę wjazdową i basztę w narożniku północno-zachodnim. A jednak pomimo tych wszystkich strat zamek zachował wiele z surowego, pierwotnego klimatu średniowiecza, tak lubianego przez rekonstruktorów.

LEGENDA CZAROWNICY ZDUNK

Z pożarami, które zniszczyły Reszel na początku XIX w., związane jest podanie o spalonej tutaj ostatniej w Europie czarownicy, której egzekucja odbyła się 21 sierpnia 1811 r., gdzieś przy drodze łączącej miasteczko z Korszami. Legenda, gdyż – jak to zwykle bywa w podobnych przypadkach – anegdota przesłoniła prawdę historyczną.

Ofiarą prześladowania stała się niejaka Barbara urodzona koło Bartoszyc, córka pastucha. Była to niewiasta swobodnego prowadzenia się, która już w wieku 17 lat nawiązywała romanse i poślubiła żołnierza nazwiskiem Zdunk (lub Sdunk), jednak jej małżeństwo wkrótce się rozpadło. Barbara prowadziła dalej rozpustne życie, a jednym z jej kochanków został Jakob Auster, parobek, młodszy od niej o 16 lat. Kiedy jednak wzgardził starzejącą się kobietą, mającą w dodatku gromadkę nieślubnych dzieci, kochanka z zemsty podpaliła dom, w którym mieszkał. Wszystko to rozegrało się we wrześniu 1807 r. i nie ma pewności, czy próba podpalenia lub sama tylko groźba miały faktyczny związek z pożarami, które trapiły miasto. Adolf Poschmann, niemiecki historyk Warmii, podaje, że została złapana i uwięziona, co stało się początkiem jej wielkiej tragedii. Przetrzymywaną przez prawie dwa lata dozorcy zmuszali do pracy jako prostytutkę, tak że jesienią 1809 r. urodziła, twierdząc, iż ojcem jest mistrz piekarski Hirsch. Co gorsza, Barbara miała inne dzieci, którymi nie miał się kto opiekować, oskarżono ją o morderstwo jeszcze jednego noworodka; na szczęście sąd oddalił sprawę z powodu braku dowodów. Jednak w kwestii podpalenia władze nie ustąpiły.

Bez wątpienia w procesie i skazaniu Barbary Zdunk ogromny udział miała zbiorowa histeria mieszkańców Reszla. Miasteczko bowiem ogromnie podupadło w okresie wojen napoleońskich, w wyniku pożarów, przemarszu wojska i zarazy. Ktoś musiał stać się kozłem ofiarnym, na kogoś należało zrzucić winę. Zrzucono ją zatem na nielubianą Barbarę, pomawianą o czary matkę kilkorga nieślubnych dzieci. Wyrok otrzymała jednak nie za uprawianie magii, ale za podpalenie domu Austena; nie było mowy o tym, że jest czarownicą. Najciekawsze, że zatwierdził go sąd w Królewcu, a także sam król Prus Fryderyk Wilhelm III, a więc władze, które dotąd uważały się za oświecone i chętnie oskarżające wcześniej o takie praktyki szlachtę i sądy dawnej Rzeczypospolitej.

21 sierpnia 1811 r. zapłonął stos dla Barbary, jednak złożono na nim tylko jej ciało, gdyż wcześniej kat dyskretnie udusił skazaną. Podobnie jak w przypadku rzekomej sprawy o czary w Doruchowie dopiero po latach legenda i ludzka wyobraźnia dopisały do tego procesu wątek czarostwa. Samą sprawę badało wielu historyków i dziennikarzy, w ostatnich czasach Adam Węgłowski, który nie natrafił na żaden wątek potwierdzający oskarżenie o uprawianie magii. Ciekawe jednak, że niespodziewanie w Niemczech znalazły się rzekomo zaginione akta procesu. Być może po ich udostępnieniu ujawnione zostaną nowe, nieznane fakty w sprawie rzekomej ostatniej czarownicy spalonej w Europie w majestacie prawa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 21900df7cb

ŚLIMAKI? TO NASZA KULINARNA TRADYCJA WARMII I MAZUR!

Mówi się, że to Francuzi jedzą najwięcej ślimaków, ale tak naprawdę na ich talerzach pojawiają się one od święta. Za to niewiele osób wie, że w Polsce popularne były już wieki temu...

Ślimakami zajmuję się już prawie 20 lat, udało mi się je wprowadzić na listę Dziedzictwa Kulinarnego „Warmia Mazury Powiśle", a także na ministerialną listę produktów tradycyjnych naszego regionu. Śmiało więc można powiedzieć, że to tu się zaczęła „Ślimaka kulinarna podróż...".

Jednak w Polsce wciąż mięso ślimaków uważane jest za... kontrowersyjne. Nie trzeba go jeść codziennie, niektórzy je pokochają, innym nie przypadnie go gustu, ale z pewnością jest to jeden z tych produktów, których koniecznie trzeba spróbować! Polecam wypróbować jeden z wielu sposobów podawania ślimaków – po myśliwsku.

Składniki (5–6 porcji):

- 30 dag ślimaków mazurskich (gotowe filety)
- 0,5 l bulionu warzywnego
- 1 cebula
- 15 dag świeżych grzybów leśnych
- kilkanaście muszelek (od ślimaków)
- 0,5 szklanki słodkiej śmietany

Przygotowanie:

Ślimaki mazurskie (filety) gotujemy w bulionie warzywnym ok. 30 min. Po ugotowaniu siekamy w paski i podsmażamy na patelni z dodatkiem pokrojonej cebuli i grzybów. Gotowym farszem nadziewany muszelki. Farsz nadaje się także jako nadzienie do pierogów.

Propozycja podania:

Podajemy polane sosem na bazie grzybów i śmietany.

Grzegorz Skalmowski – propagator powrotu ślimaków na polskie stoły. Autor książki kulinarnej „Ślimaka kulinarna podróż – o tym, co zapomniane, a przypomnienia warte". W branży i przez turystów zwany „Panem Ślimakiem".

FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA SKALMOWSKIEGO

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

Tak tylko pogadać

No i musiała przyjechać z Niemiec, żeby matką się zająć. Alzheimer. Przecież nie odda do domu opieki...

To były ostatnie zdania rozmowy, którą niechcący podsłuchałam, podchodząc do kiosku w miasteczku L. Rozmawiała kioskarka ze znajomą, która przyszła, żeby coś w kiosku kupić albo po prostu tylko pogadać z koleżanką. Znajoma sprzedawczyni na mój widok grzecznie się odsunęła. Zaczeka, aż odejdę, i panie będą kontynuować rozmowę.

To przecież tutaj normalne. Małe miasto, ludzie się znają, gadają ze sobą nie przez komórki, ale na żywo, na rynku, w aptece, na skwerku przy fontannie, gdzie przysiadły panie obarczone siatkami z zakupami oraz dwójką dzieci. Można parę zdań wymienić w biedronce z kasjerką, która wprawdzie nie da nic na zeszyt, ale zawsze miło się uśmiechnie. Widok pań i panów rozmawiających na ulicy nikogo nie dziwi. Gadają dzieci i nastolatki w kolejce po lody i potem liżąc te lody przed budką. Raz po raz ktoś się zatrzymuje na ulicy, bo spotkał znajomego. Jeśli spytasz o ulicę, to zaraz będą trzy osoby, żeby pomóc.

L. to nie takie małe miasto, ale też wystarczająco małe, żeby zapewnić ludzkie kontakty między ludźmi. Z listonoszem, który już teraz przynosi tylko korespondencję urzędową, bo prywatnej nie ma, a do paczek są paczkomaty, z którym też czasem można pogadać. Z panią

FOT. ADOBE STOCK

doktor, która zna pół miasta, z miłą panią w sklepie z galanterią, bielizną i kosmetykami, która, gdy nie ma klientów (bo zabrał ich Rossmann), staje przed sklepem i patrzy na przechodniów, popalając papierosa, a czasem do kogoś zagada. Albo ktoś do niej.

Człowiek dąży do kontaktu z drugim człowiekiem. Duże miasto zabrało mu ten kontakt. Już tylko w PRL-owskich osiedlach starzy lokatorzy nie są dla siebie anonimowi. Przysiądą na ławce, pogadają. W apartamentowcach sąsiedzi się nie znają. Wiadomo to, kto mieszka, a kto wynajmuje? Lepiej się nie wtrącać. Chronić prywatność.

Nie będzie się przecież gadać z nieznajomymi na przystanku, na ulicy, w tramwaju. Nawet o godzinę nikt nie spyta, bo wszyscy mają telefony. W metrze siedzą z nosami w smartfonach, niektórzy z książką, wpatrzeni w przestrzeń.

Czasem tylko trafi się jakiś, ktory wejdzie do wagonu i zaczyna gadać. Trochę do siebie, trochę do wszystkich, zagaduje pasażerów. Przemawia, woła. Ludzie nie wiedzą, co z tym zrobić. Uśmiechają się, milczą, odsuwają, wzruszają ramionami. Pewnie wariat jakiś. Bo kto będzie tak gadał z obcymi? ©℗

rusa.pl 21900df7cb

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Kot a sprawa polska

Ni z tego, ni z owego nagle mamy kryzys imigracyjny. Gdy patrzyłem, co się stało, że właśnie teraz, to wyszło mi tylko jedno – korelacja jest wyraźna ze zdjęciami z kabulskiego lotniska i dramatem, który widział cały świat. Nagle piechurzy pokonali w tydzień 5 tys. km i wylądowali pod polską granicą. Dlaczego? No przecież już nawet szczerzy entuzjaści przyjmowania jak leci („a później się ustali, kim są" – posłanka Hartwich) nie zaprzeczają procederowi. Wiadomo, że uchodźcy są transportowani wcale nie z Afganistanu, tylko z Iraku, samolotami do Mińska i odprowadzani pod polską granicę przez straż graniczną Białorusi. A więc jak to jest, że wiedząc to wszystko, wciąż można obstawać, by tych nieszczęśników przyjąć?

Obserwujemy nagłe wzmożenie. Jak pisałem – zadziwiająco nagłe, bo nic się nie dzieje, nie ma żadnej fali, co najwyżej badania szczelności granicznej tamy, zanim ruszy nawała. A więc jeszcze bardziej cyniczne działania. Ale wzmożeni epatują pięknoduchostwem: trzeba przyjąć uchodźców z powodów humanitarnych, Polacy to faszyści, żołnierze to śmieci. Trzeba się pochylić nad każdym istnieniem i „ani jednej łzy". Jest to okropna naiwność w służbie złych ludzi, którzy jadą na niej jak na starej kobyle. Wracają demony roku 2015 z tą samą argumentacją. Ale – o dziwo – Zachód wyciągnął już z tego wnioski i mocno się okopał, ale nasi akolici, w nuworyszowskim zapale, jeszcze nie wyczuli mądrości etapu i dalej wysadzają pociągi niepoprawności politycznej.

Odziwo, obie strony – humanitarna i zamordystyczna – obrzucają się podobnymi argumentami. Że każda z nich jest depozytariuszem interesów Łukaszenki. Jednych rozumiem, kiedy mówią wprost, że to działania na osłabienie Polski, pokłócenie narodu. To nowa postać wojny, gdzie lawina uchodźców może być skuteczniejszą bronią niż czołgi i rakiety. No bo jak nie pomóc komuś w humanitarnej potrzebie? Ale drugiej strony nie rozumiem – jak polscy pogranicznicy mogą realizować scenariusz Łukaszenki, który właśnie by zrealizowali, wpuszczając te 40 osób, a sygnał, że „w Polsce puszczają", poszedłby w świat, a Bat'ka zorganizowałby wtedy cały most powietrzny pod naszą granicę? To bronienie Polski przed czymś takim jest scenariuszem pisanym cyrylicą? Myślę, że to są takie popłuczyny absurdu jak atakowanie Kaczyńskiego za scenariusze kremlowskie, a jednocześnie popieranie Niemiec w realizacji Nord Stream 2. To się jednak da pogodzić, ale chyba tylko w mocno skołowanych głowach.

Dzisiaj mamy ikonę-kapiszon. Matka Boska Afgańska z Kociątkiem. Okazało się, że by ocieplić wizerunek uchodźców, trzeba było zagrać „na ciepło". A któż jest lepszy od futrzaka, w dodatku rasowego anglika?

No i ikona, bo ta zawsze musi być. Musi być jakiś obraz, który otworzy serca i granice. Podobna ikona zadziałała w 2015 r., kiedy zdjęcie utopionego dzieciaka, Aylana Kurdiego, zobaczył cały świat. Zdjęcie dziecięcego trupka, ciało bezwładnie zwisające z ramion greckiego pogranicznika było czymś, co media ulokowały w sercach wszystkich, i humanitarnie otwarto się na przyjazd milionów wcale nie dzieciaków. Potem w mediach, które się interesowały, a więc rzadkich, wyszła smutna historia całego zdarzenia, po której to ojciec Aylana powinien pójść siedzieć za narażenie swej rodziny na śmierć. Tato z rodziną nie płynął przecież z okupowanej Syrii, tylko wynajął ponton, by z Turcji, gdzie przebywał i pracował od roku, poszukać lepszego świata. Ale wygrała prawda ekranu, a nie prawda czasu.

Dzisiaj mamy ikonę-kapiszon. Matka Boska Afgańska z Kociątkiem. Okazało się, żeby ocieplić wizerunek uchodźców, trzeba było zagrać „na ciepło". A któż jest lepszy od futrzaka, w dodatku rasowego, anglika? Onet zaepatował, że kot szedł za rodziną uchodźców 5 tys. km, co jak na kota – a znam się – to jest wynik. Ciekawe, czy wrażliwe dla 40 uchodźców pięknoduchy przyniosą także na granicę karmę dla kotów?

Dziś zmarło na świecie z głodu ponad 24,6 tys. ludzi. To jednak anonimowe ofiary, dalekie od nas i kamer. My poniesiemy koce dla 40 osób, które nie uciekają przed śmiercią, ale ze smartfonami szukają lepszego życia. Mamy więc taki humanitaryzm bezpośredni, który jest odwrotnie proporcjonalny do odległości od pokrzywdzonego. ©℗

eprasa.pl 21900df7cb

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Sposób na ojkofoba

Często i dużo mówi się teraz o ojkofobach. Bo faktycznie wyłażą z każdej dziury i strasznie są wkurzający. Tak się jednak składa, że znam kilku ludzi, którzy nie znoszą Polski, a jeszcze bardziej Polaków. I większość z nich (bo przyznaję, że nie wszyscy) to bardzo mili, serdeczni i zacni ludzie. A ja choć powinienem ich nie lubić, to ich lubię. Nawet więcej – ja im współczuję.

Dlatego, że ich ojkofobia bierze się z pewnego bardzo wyrazistego obrazu Polaków, który najczęściej został ukształtowany pod wpływem traumatycznych przeżyć z dość odległej przeszłości (np. skiny zaatakowały ich na koncercie w Jarocinie za czasów cara Aleksandra III). Obraz ten ma dziś już niewiele albo bardzo mało wspólnego z rzeczywistością, bo Polska od czasów festiwali w Jarocinie ździebko się zmieniła, a te skiny może już nawet nie żyją. Oni jednak nie są w stanie zaktualizować swego spojrzenia na rzeczywistość i wciąż funkcjonują na archaicznym oprogramowaniu.

Ale jeszcze smutniejsze jest to, że oni swe imaginacje biorą za prawdę. I autentycznie się boją. Boją się polskiej tłuszczy, która nagle wyciągnie zza pazuchy maczety i inne niebezpieczne narzędzia i podniesie na nich mocarną rękę wytatuowaną w swastyki łamane przez Polski Walczące. Kiedyś byłem z takim ojkofobem na warszawskiej Pradze. Kiedyś była to dzielnica żuli, cinkciarzy i półświatka niegardzącego mokrą robotą. Ale teraz jest dzielnicą modnych knajp, w której chętnie osiedlają się artyści oraz wielkomiejskie snoby. O ile tylko ich stać. I wiecie co? Mój znajomy dygotał ze strachu. Jak osika. On naprawdę wierzył, że w tej krainie brodaczy, którzy dopiero wyszli z barber shopów, i panienek z iPhone'ami w wymanicurowanych dłoniach nagle eksploduje polski żywioł i urządzi nam pogrom. Bo wiadomo – Praga to dzielnica marginesu społecznego.

Na ten lęk nic nie można było poradzić. Podobnie, gdy dyskutujemy, żadne statystki dowodzące, że Polska to jeden z najbezpieczniejszych krajów na świecie (tak jak cały nasz region, dzikiej i zacofanej Europy Środkowej), nie są w stanie skruszyć niezachwianej pewności, że po naszym kraju panoszą się hordy nacjonalistów kontrolujących napletki przechodniów, by wykryć tych obrzezanych, a następnie zatłuc ich bejsbolami. Oczywiście te brutalne mordy lub chociaż okrutne pobicia dotyczą także wszelkich ludzi o nieco ciemniejszym kolorze skóry i tych, którzy nie znają gwiazd disco polo okazywanych w czasie kontroli.

Nasz syn w dzieciństwie został wystraszony przez psa. Nawet nie ugryziony, ale trauma była tak głęboka, że przez lata każdy merdający ogonem spaniel wzbudzał w nim histerię. Dopiero kiedy sprawiliśmy sobie psa do domu, Tymon pokochał psy, a po traumie nie został nawet ślad. Może w podobny sposób dałoby się uleczyć i ojkofobię? ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Nasze wojny domowe

Małgośka – mówią mi – Polska jest za mała na dwa wrogie plemiona. Musicie się wynieść na wschód z waszym eurosceptycyzmem. Tak gościnnie przemawia inteligencja, zwłaszcza z okolic Wilanowa. Słyszy się nawet, że rozpoczęto już segregację młodocianej ludności, bo dzieci „pisiorków" nie są zapraszane na kinderbale. I tylko patrzeć, kiedy zaczną nam wydawać jakiś rodzaj kenkarty w stolicy.

Wysyłają mnie na wschód, choć akurat zdarzyło mi się zwiedzić ok. 50 najsłynniejszych katedr Europy od Włoch do Portugalii, a kaligrafii uczyłam się u Francuzów, aby potem wykonywać ją dla Hiszpanów. Ale wszystko to na nic w oczach mieszkańców Wilanowa, których obraża już samo oddychanie tym samym powietrzem z wyborcami prawicy. Im się niestety zdaje, że już sam fakt wyznawania tej samej nienawiści do nas czyni ich jakąś „rasą panów" i daje mandat do udzielania nam lekcji z zakresu historii, katechizmu, „europejskości". Jestem jednak w tej wyjątkowej sytuacji, że będąc dla nich „reżimową dziennikarką", jestem zarazem od 13 lat osobą odpowiedzialną artystycznie za projekt i kaligraficzne wykonanie Księgi Honorowych Obywateli Warszawy i to począwszy od Piłsudskiego. Zastanawiam się więc, kiedy włodarze Warszawy uznają, że trzeba tę Wołczyk „wygwiazdkować" z funkcji. Owszem, jest to robota zaledwie na dwa tygodnie lata, którą wykonuję najlepiej, jak umiem, choć przecież tacy honorowi jak Rzepliński czy Tokarczuk nie wzbudzają mojej admiracji, ale wszystkich kaligrafuję z jednakową rzetelnością pióra i pędzla, ponieważ szanuję wyroki demokracji (w przeciwieństwie do moich adwersarzy).

Wszyscy widzimy, jak daleko zaszły sprawy: nawet wojna hybrydowa na granicy jest pożądana, skoro uderza w znienawidzony rząd. Dawniej pytałam Hiszpanów, jak można żyć „pod jednym dachem" z agresywnymi separatystami, którzy zabili w demokracji tysiąc osób, jak można żyć z agresywną lewicą, która miota kamieniami w liderów VOX i usuwa krzyże z przestrzeni publicznej. A dziś sama pytam siebie – jak to możliwe, że żyję w kraju, gdzie tylu ziomków chce „wypier....." innych ziomków tylko dlatego, że ci mają poglądy niezmienne od pokoleń i z tą samą czcią wypowiadają te same trzy słowa.

Jak mamy żyć „pod jednym dachem"? I co, jeśli Herbert mylił się, mówiąc: „Nawet w bardzo złych momentach nie było sadyzmu, nihilizmu. Polacy tego okrucieństwa w sobie nie mają. Jest lelum polelum, miękkość, brak konturów [...], rozpalą się, a potem powiedzą: »A tam, Panie, czas kończyć«". A co, jeśli oni dopiero zaczynają?! ©℗

eprasa.pl 21900df7cb

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Kłamstwa wrześniowe

Ze strony Ministerstwa Edukacji i Nauki padają deklaracje wprowadzenia do polskich szkół nowego przedmiotu (a w związku z tym i nowych podręczników) pt. „Historia dwudziestego wieku". Każdy, kto uważnie obserwuje nasilającą się w ostatnich latach kampanię dyfamacyjną przeciw Polsce, posługującą się pomówieniami o „współudział Polski w Holokauście" i co rusz odwołującą się do „polskich obozów zagłady", przyzna, że pomysł jest bardzo dobry. Wypada tylko mieć nadzieję, że tym razem droga od słów do czynów będzie znacznie krótsza, aniżeli jest to w przypadku innych zapowiedzi obecnego kierownictwa resortu edukacji i nauki. Medialne wystąpienia same w sobie nie mają siły sprawczej.

Zanim zaczęto w XXI w. oskarżać Polskę o współuczestnictwo w zbrodni ludobójstwa na ludności żydowskiej, na początku drugiej wojny światowej w wielu prasowych tytułach na całym świecie pisano o „faszystowskiej Polsce"

Józef Szujski – jeden z krakowskich stańczyków – mawiał, że „fałszywa historia jest mistrzynią fałszywej polityki". Ostatnie „kontrowersje" z rządem Izraela wokół nowelizacji naszego Kodeksu postępowania administracyjnego raz jeszcze udowodniły zasadność tego spostrzeżenia XIX-wiecznego historyka. Kłamstwa o „polskim współudziale" w ludobójczej polityce realizowanej na naszych ziemiach po 1 września 1939 r. przez państwo niemieckie przyniosły efekt w postaci ochłodzenia relacji Izraela z państwem, które do tej pory czyniło bardzo dużo, aby występować w roli najlepszego „sojusznika naszych sojuszników" (to w kontekście relacji polsko-amerykańskich).

Ta zakłamana historia ma zresztą długie korzenie. Zbliża się kolejna rocznica tragicznego września 1939 r. Warto więc przypomnieć, że zanim zaczęto w XXI w. oskarżać Polskę o współuczestnictwo w zbrodni ludobójstwa na ludności żydowskiej, na początku drugiej wojny światowej w wielu prasowych tytułach na całym świecie pisano o „faszystowskiej Polsce".

Taka była bezpośrednia konsekwencja dyrektywy udzielonej przewodniczącemu Międzynarodówki Komunistycznej G. Dymitrowowi przez Stalina. 8 września 1939 r., a więc gdy od tygodnia Rzeczpospolita zmagała się z niemieckim najazdem, sowiecki dyktator oświadczył w rozmowie z szefem Kominternu, że zniszczenie Polski doprowadzi do tego, iż „będzie o jedno burżuazyjne faszystowskie państwo mniej". Tego samego dnia Komintern opublikował deklarację głoszącą, że w czasie toczącego się konfliktu zbrojnego „międzynarodowy proletariat nie może popierać Polski, która jest państwem faszystowskim, uciskającym inne narodowości".

Dyrektywa obowiązywała nie tylko na obszarze Związku Sowieckiego, lecz także wśród komunistów we Francji, w Wielkiej Brytanii oraz Stanach Zjednoczonych. Infiltracja zachodnich mediów czy amerykańskiego przemysłu filmowego przez komunistów jest od lat dobrze opisana w literaturze przedmiotu. Obraz „Polski faszystowskiej" był więc powielany w Hollywood czy w brytyjskich dziennikach sympatyzujących z komunistami nie tylko w latach 1939–1941, lecz także po tym, jak Hitler zdecydował się na zerwanie sojuszu ze Stalinem.

Nad wyrobieniem skojarzenia „Polska – agresja, Polska – ucisk mniejszości" usilnie pracowała również propaganda niemiecka. Dyrektywa Goebbelsa z 11 września 1939 r. dla prasy niemieckiej nakazywała eksponowanie na pierwszych stronach informacji o „prześladowaniu mniejszości niemieckiej w Polsce". Motyw „polskiej przemocy" dodatkowo wzmacniało nagłaśnianie przez niemieckie ministerstwo propagandy „krwawej niedzieli w Bydgoszczy" (termin ukuty i nakazany do rozpowszechniania przez Goebbelsa), czyli pacyfikacji przez oddziały Wojska Polskiego dywersji volksdeutschów w Bydgoszczy w pierwszych dniach września 1939 r.

Z kolei w większości tytułów prasy liberalnej na Zachodzie kłamano o tym, że rozpoczęta 1 września 1939 r. wojna toczy się tylko o Gdańsk, nie widząc, że stawką jest cała Europa Środkowa, a tym samym panowanie na Starym Kontynencie. Po 17 września 1939 r. te same tytuły oraz gabinety dyplomatyczne na Zachodzie kłamliwie dostrzegać będą tylko jednego agresora (Niemcy). W ten sposób nasi „wypróbowani sojusznicy" ruszyli w podróż do Teheranu, Jałty i Poczdamu. U jej kresu Stalin otrzymał dokładnie to samo, co dostał od Hitlera w ponurą noc 23 sierpnia 1939 r. ©℗

eprasa.pl 21900df7cb

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Z KABULU

Wojciech Cejrowski korespondencja z USA

Żaden amerykański generał nie postawił się Bidenowi. Dziwne! Żaden nie odmówił wykonania głupich rozkazów i nie podał się do dymisji. Kilku generałów w stanie spoczynku gotowych jest natychmiast wrócić do Afganistanu i zaradzić sytuacji. Wiedzą jak i to nie byłoby nic trudnego. Brak jedynie rozkazu Bidena. Nawet nie rozkazu, ale zwykłego zezwolenia.

W tej chwili ratowaniem cywilów zajmują się firmy prywatne. Za darmo. Różne wojskowe agencje do wynajęcia, emerytowani pracownicy CIA i elitarnych jednostek. Skrzyknęli się w sieci, korzystają z tego, co mają, i nie jest tego mało. Mają podgląd satelitarny na lotnisko w Kabulu i prowadzą swoich rodaków oraz afgańskich kolegów dookoła posterunków wystawionych przez taliban. Zgodnie z zasadą NIE ZOSTAWIAMY NIKOGO!

Posługują się prostymi sposobami, bo Biden nie zezwala na stosowanie sprzętu amerykańskiej armii i służb. Sceny jak z filmów. Afgański towarzysz broni odbiera instrukcje na zwykłym telefonie komórkowym. Jest prowadzony przez amerykańskiego kolegę weterana. Walczyli razem. Ucieka z rodziną. Skręć w lewo. W LEWOOO, bo tam, gdzie teraz idziesz, taliby was zabiją.

Amerykański żołnierz walczył ramię w ramię z Afgańczykiem i stara się go ratować – wbrew rozkazom własnego prezydenta.

***

Nie trzeba wojskowych geniuszy, by wiedzieć, jak należało opuścić Afganistan. Plan był gotowy dawno, opracowany za Trumpa.

Trump gadał z talibami. Powiedział im wprost, co im zrobi, jeżeli będą przeszkadzać. Najpierw wycofujemy wszystkich cywilów – Amerykanów i Afgańczyków zagrożonych śmiercią za współpracę z USA. Potem wycofujemy większość wojskowych i cały sprzęt, zwijając się stopniowo do mocnej bazy i lotniska Bagram. Na samym końcu odlatują ostatnie jednostki i bombardują bazę i lotnisko – tak, aby w rękach wroga nie pozostało nic. Płonące rumowisko w miejscu, gdzie były urządzenia wojskowe.

Biden zrobił na odwrót.

Najpierw wycofał wojsko, kazał porzucić bazy, sprzęt i lotnisko Bagram. Taliban dostał w prezencie uzbrojenie, które wystarczy im na 20 lat. Są w tej chwili najlepiej wyposażoną armią w regionie.

Biden cywili zostawił na koniec. Porzucił w strefie wojennej kilkanaście tysięcy swoich obywateli. Administracja nie umie nawet powiedzieć, ilu Amerykanów zostało – podają szacunkowo pomiędzy 10 a 15 tys. osób.

Bagram jest jedynym dużym lotniskiem w Afganistanie, a lotnisko w Kabulu jest małe. To tak, jakby najpierw opuścić Okęcie, a potem ewakuować tysiące ludzi z małego lotniska na Bemowie.

Weterani wojny w Afganistanie mówią otwarcie, że za tę akcję Biden powinien iść pod sąd wojenny.

***

Ludzie z Afganistanu uciekają masowo. Wielu do krajów ościennych. I jakiś głupek w Unii już zapowiedział, że „powinniśmy dla nich stworzyć korytarz prowadzący do Europy". NIE powinniśmy. Ci uchodźcy powinni osiąść w krajach podobnych kulturowo i położonych w pobliżu ojczyzny. Tadżykistan, Uzbekistan, Turkmenistan… Tam, czyli tuż pod własną granicą, niech czekają na możliwość powrotu. Europa ma zobowiązania wyłącznie wobec tych, którzy pracowali dla armii sojuszniczych.

Podobnie nie mamy żadnych obowiązków wobec imigrantów koczujących na granicy białoruskiej. Sprowadził ich tam Łukaszenka, niektórych z Afryki, innych z Afganistanu. Sprowadził w złej intencji i wziął za to forsę – za wepchnięcie tych ludzi na teren UE – a teraz pilnuje od tyłu, żeby nie zaczęli wracać do niego.

Polskim obowiązkiem jest pilnowanie granic RP i niewpuszczanie fali uchodźców ani ze wschodu, ani tych z zachodu, których zaprosiła Merkel i których chce poupychać w innych krajach.

I głupoty gada Rzecznik Praw Obywatelskich, że „nieprzyjmowanie wniosków o ochronę międzynarodową od cudzoziemców przebywających w strefie przygranicznej stanowi naruszenie prawa". NIE stanowi! Gdy dwa przepisy stają w konflikcie, wówczas zwycięża dobro większe. W tym przypadku bezpieczeństwo obywateli Polski zwycięża nad chęciami cudzoziemców, by wejść na teren RP.

***

Obowiązek moralny, mamy jedynie wobec tych Afgańczyków, którzy pracowali dla nas, zaryzykowali życie swoje i swoich rodzin. Tych ludzi mamy obowiązek ratować. Ewakuować do Polski i niech tutaj czekają na okazję powrotu do swojego kraju.

W podobnej sytuacji byli lotnicy z Dywizjonów 303, 302... Walczyli w bitwie o Anglię, a po wojnie Brytyjczycy zachowali się jak świnie, gdy odmawiali tym bohaterom prawa pobytu i proponowali powrót do komunistycznej Polski, czyli wyroki śmierci lub stalinowskie więzienia. Albo wyjazd na koniec świata do Australii lub Argentyny. Tak właśnie do Argentyny trafił Tony Halik, który w trakcie wojny latał wciśnięty z głową w dół w ogonie brytyjskiego myśliwca i robił zdjęcia lotnicze niemieckich umocnień i wojsk. Ryzykował życie, był zestrzelony nad Francją i tak dalej. Nie ma bardziej delikatnego słowa na to, jak nas po wojnie potraktowali Angole – po świńsku.

Jeżeli teraz my nie chcemy być świniami wobec Afgańczyków, którzy pracowali dla polskiego wojska lub ambasady, to mamy obowiązek moralny ich ewakuować i dać tymczasowy azyl na terenie RP. To nie są imigranci zarobkowi. Nie ci, których ewakuujemy. Ci są porządnie wykształceni, to kadry do budowania państwa, a nie kandydaci do jeżdżenia na uberach i pobierania socjalu. Nikt z nich nie chciał emigrować, oni chcą walczyć o odzyskanie ojczyzny.

Jeden z moich przyjaciół pracuje tam – przy ewakuacji – i napisał mi tak: „Te osoby nie są przypadkowe. Cały miejscowy personel dawnej ambasady (zlikwidowanej w 2014 r.), dużo ludzi współpracujących z wojskiem i innymi instytucjami polskimi. Są też ludzie z elity. Za plecami zostawiają domy, biznesy. Chcą wracać, bo mają do czego".

Ktoś był kierowcą u Polaka i za to talibowie chcą go zabić – dlatego Polska go ewakuuje. ©℗

eprasa.pl 21900df7cb

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIĘ
KSIĄŻKA

ALINA PETROWA-WASILEWICZ
„URATOWAĆ TYSIĄC ŚWIATÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~711 ZŁ~~

311,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 400 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 21900df7cb

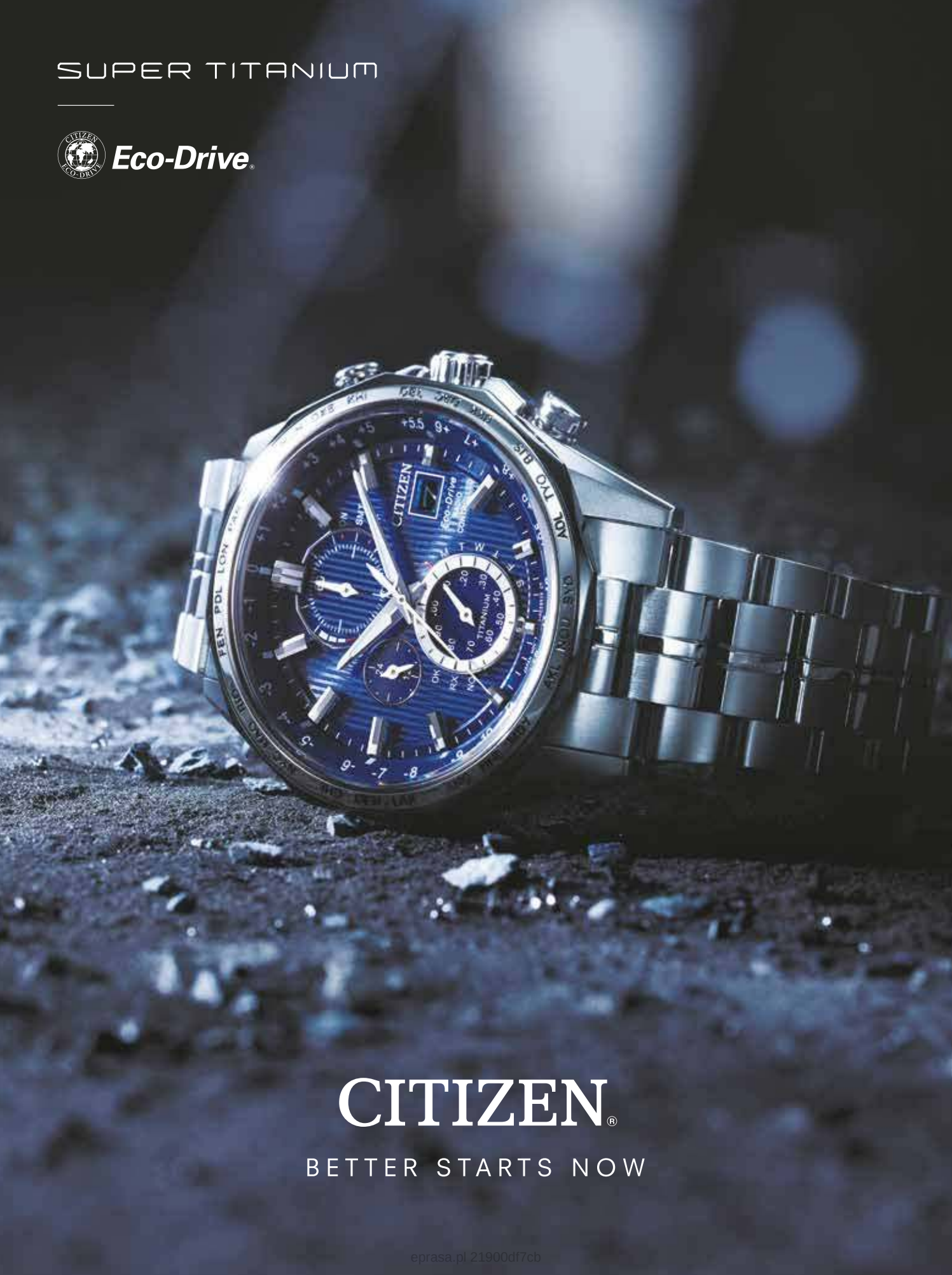

eprasa.pl 21900df7cb